SIECI

UJAWNIAMY: TOMASZ MRAZ BEZ WĄSÓW, CZYLI KAPISZONY TAJNEGO AGENTA GIERTYCHA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
24 (602) 2024
10–16 czerwca 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

JAK OBROŃCY POLSKICH GRANIC ZOSTALI

ZDRADZENI PRZEZ TUSKA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 17 VI 2024 r.

polsat box plus

TV + Światłowód

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.

Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** smartDOM jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 5.06.2024 r.

eprasa.pl 17872d6a24

Dlaczego dawni prawicowcy stają się liberalnymi talibami?

„Osoby homoseksualne powinny mieć te same prawa, powinny zakładać rodzinę, możemy rozmawiać też o adopcji dzieci" – ogłosił były polityk NOP, ZChN, AWS, PiS, a dziś senator PSL Michał Kamiński. To ten sam Kamiński, który kiedyś wojował z „pedałami" (według jego własnego określenia) i składał hołdy gen. Pinochetowi. Takie słowa trochę śmieszą, trochę brzydzą, gdy pamięta się innego Kamińskiego, ale już nie dziwią. Przywykliśmy to tego, że niektórzy fanatyczni konserwatywni radykałowie dokonali zwrotu o 180 st. i stali się zajadłymi głosicielami haseł progresywnych.

Lista nawróconych na postępowy liberalizm dawnych prawicowych zakapiorów jest już długa. Obok Kamińskiego widzimy jego bliskiego przyjaciela, czyli Romana Giertycha. Nie ma sensu przytaczać jego wypowiedzi z czasów, gdy przewodził Młodzieży Wszechpolskiej i LPR. Wielu je pamięta, a i tak to bez znaczenia, bo dzisiaj Giertych jest szarą eminencją rządu Donalda Tuska i człowiekiem, który programuje politykę medialną tego obozu. Jego agresywna użyteczność w bieżącej wojnie politycznej jest dla świata liberałów wartością nieporównanie większą niż wyznawane tam poglądy.

Wybaczenie dawnych grzechów uzyskały takie osoby, jak Stefan Niesiołowski, Kazimierz Marcinkiewicz, Paweł Kowal. Także publicyści: Cezary Michalski, Eliza Michalik, wreszcie dawny naczelny talib RP Tomasz Terlikowski. Każda z tych osób musiała przejść odpowiednie rytuały oczyszczenia i zdecydowanie odciąć się od dawnego świata. Ich dalsza pozycja zawodowa zależy od tego ostatniego, czyli muszą stale atakować wartości, które niegdyś głosili, i środowiska, z których się wywodzą. Jako neofici nie będą mieli prawa wygłaszania neutralnych i stonowanych opinii. Potrzebni są jako pałkarze, a nie symetryści.

Lista neofitów to już trend, który domaga się systemowej analizy. Jedno wyjaśnienie jest oczywiste. To koniunkturalizm i oportunizm wyżej wspomnianych. Brak miejsca na liście wyborczej stawał się powodem do „przewartościowania" całego dotychczasowego życia. To jeśli chodzi o polityków. Ludzie związani z mediami uznawali, że tradycyjne wartości stają się przeżytkiem, więc stracą odbiorców, chleb i status społeczny. Widać to w przypadku Terlikowskiego. To człowiek uzależniony od rozgłosu, w ciągłej pogoni za tym, co dzisiaj nazywa się atencją. Kilka lat temu ze skrajnie konserwatywnych pozycji ganił papieża Franciszka. Później uznał, że sekularyzacja społeczeństwa postępuje tak szybko, że straci czytelników. Zatem autor, który zaczął od książki „Homoseksualna herezja w natarciu", dzisiaj pisze o zmierzchu „swojego" Kościoła lub apologię „apostoła" Judasza.

Jest też sprawa poważniejsza, systemowa. Dzisiaj liberalizm funkcjonuje jak zazdrosna religia. Stosunek do „praw społeczności LGBT+" jest testem. Systemem rozpoznawczym swój–obcy. Podobnie jest z aborcją. Już nie ma miejsca na twierdzenia, że jest ona mniejszym złem. Od pewnego czasu jest „prawem człowieka". Dlatego Paweł Kowal, kiedyś ostentacyjny katolik, „absolutnie" poparł aborcję na życzenie. Kilkanaście lat temu przejście z PiS do PO było zmianą legitymacji partyjnej. Dzisiaj jest to już jak zmiana jednej religii na drugą.

Większość wymienionych tu osób w starym wcieleniu funkcjonowała jako radykałowie, od których na prawo była tylko ściana. Możliwe, że szczerze wierzyli w to, co głosili. Jednak było w tym coś nienaturalnego, niezgodnego z tradycyjną polską mentalnością i wyśmiewanym ludowym katolicyzmem. Fanatyczny dogmatyzm oraz nieżyciowe i prowokacyjne hasła to rzeczy obce polskiej tradycji. Przeciętny Polak-katolik, taki, z którego drwią liberalne elity, to człowiek, który musi twardo stąpać po ziemi. Wie, że ludzie bywają słabi, że upadają, ale wie też, że po upadku trzeba się podnieść. Ma tolerancję wobec grzeszników, ale nie wobec grzechu. Wie, że nie można ustępować w sprawach zasadniczych, ale nie będzie robił awantur o kwestie drugorzędne. „Talibowie" tak nie potrafili, więc, mówiąc kolokwialnie, coś im w głowach się przegrzało, pękła jakaś żyłka. Ich osobisty problem polega na tym, że nie potrafią inaczej. Jest więc wielkie prawdopodobieństwo, że znów im popękają żyłki. Tym razem z powodu liberalnego fanatyzmu. A ten jest dużo bardziej szkodliwy dla zdrowia psychicznego niż ten staromodny, konserwatywny.

Piotr Gursztyn

Reklama | 12/0324/F

eprasa.pl 17872d6a24

SIECI

spis treści

26 Na celowniku Rosji
Marek Budzisz

36 Coraz mniej szkoły w szkole
Dorota Łosiewicz

66 Kopanie Europy
Stanisław Janecki

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 BOBAS KIEROWNIKA
Krzysztof Feusette

9 PIŁOWANIE KATOLIKÓW
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 PRODUKOWAĆ AMUNICJĘ JUŻ!
Jan Pietrzak

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 DEMOKRACJA I WOLNY RYNEK IDEI
Bronisław Wildstein

14 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

15 ZASADY A WYROKI
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 WALIZKA DR. KAROLA NAWROCKIEGO
Michał Korsun

18 UŚMIECH PUTINA
Samuel Pereira

19 KABARET W LIKWIDACJI
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 ROZBROJONA GRANICA
Marek Pyza

23 CYNICZNA GRA NASZYM BEZPIECZEŃSTWEM
Konrad Kołodziejski

KRAJ

26 NA CELOWNIKU ROSJI
Marek Budzisz

29 NAJWIĘKSI NIEUDACZNICY III RP
Stanisław Janecki

32 MRAZ, CZYLI OPOWIEŚCI TAJNEGO AGENTA GIERTYCHA
Wojciech Bierdoń

36 CORAZ MNIEJ SZKOŁY W SZKOLE
Dorota Łosiewicz

38 KS. POPIEŁUSZKI PRZESŁANIE NA DZIŚ
Goran Andrijanić

40 Z PROF. MARKIEM KORNATEM
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

OPINIE

43 SCENARIUSZ DESTABILIZACJI ZACHODU
Dariusz Matuszak

46 Z DERKIEM JANEM EPPINKIEM
rozmawia Michał Karnowski

ŚWIAT

49 WIELKA GRA O KOMISJĘ EUROPEJSKĄ
Jan Rokita

52 FRANCISZEK W OGNIU KRYTYKI
Grzegorz Górny

HISTORIA

54 POLSKI SMOK U BRZEGÓW NORMANDII
Andrzej Rafał Potocki,
Paweł Mikołaj Rozdżestwieński

SIECI KULTURY

57 OPEROWY SEN O WARSZAWIE
Jolanta Gajda-Zadworna

60 ŚWIĘTO KLAKIERÓW I KONFORMISTÓW
Maciej Walaszczyk

62 ZWIEDZIONY ZWODZICIEL
Robert Tekieli

64 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

SPORT

66 KOPANIE EUROPY
Stanisław Janecki

69 KRÓLEWSCY REKORDZIŚCI
Małgorzata Wołczyk

PODRÓŻE

72 MOJE SZLAKI: MARTYNA SKIBIŃSKA
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

73 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 KOMISJA NA DK63
Wojciech Reszczyński

76 LUKA NOWACKIEJ
Aleksander Nalaskowski

77 NIC SIĘ NIE STAŁO? TO TYLKO SPORT?
Ryszard Czarnecki

78 ZERWAĆ OWOC?
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 2/0624/F

eprasa.pl 17872d6a24

STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

NBP INFORMUJE

„

NARODOWY BANK POLSKI
NIEZALEŻNY OD RZĄDU I PARLAMENTU
ORAZ STABILNA WŁASNA WALUTA
SĄ FINANSOWĄ PODSTAWĄ
ROZWOJU GOSPODARCZEGO POLSKI
I WZROSTU DOBROBYTU JEJ OBYWATELI.

„

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 17872d6a24

Sygnalista nadaje

Warszawski wiec Donalda Tuska, zwołany w rocznicę częściowo wolnych wyborów i również w rocznicę zeszłorocznego marszu PO, zakończył się frekwencyjną klapą. Według mediów bliskich władzy na pl. Zamkowym w Warszawie pojawiło się 15 tys. osób, według władz stolicy 30 tys., a według doświadczonych obserwatorów mniej niż 10 tys. Na samym placu było luźno, a okoliczne ulice były puste. Co więcej, przyszli głównie starsi wyborcy. A to wszystko ledwie pół roku po wyborach. W sumie żałosny widok.

Tym bardziej że, jak to ujęła ***Beata Szydło***, „wyraźnie poirytowany Tusk wypluwał słowa nienawiści, straszył, groził". Zapowiedział także dalsze „rozliczanie zła": „Chcecie szybciej? Będzie szybciej. Zobaczcie, każdego dnia dochodzą nowe fakty, każdego dnia mi i moim ludziom udaje się pobudzić do działania urzędników, prokuraturę, policję". Nie wskazał, jak konkretnie wygląda „pobudzanie do działania" prokuratury, a szkoda. Kiedyś ktoś to wyjaśni. Może niezależna prokuratura?

I jeszcze jeden fragment z wypowiedzi Tuska: „Powiem wam szczerze, dlaczego idzie powoli. Bo ktoś z koalicji rządzącej powie: »A może te rozliczenia niepotrzebne«. Bo jakiś prokurator pomyśli: »A może oni znowu przegrają wybory« [...]. A jakiś urzędnik sobie myśli: »Ja się może schowam cicho, poobserwuję, bo nie wiadomo, na którą stronę się przechyli«". Ludzie słusznie nie chcą przykładać ręki do prześladowań opozycji, do polowania na czarownice. I również słusznie nie zakładają, że ta władza będzie trwała wiecznie. Ostateczna odpowiedź na pytanie, czyja ma być Polska, jeszcze nie padła.

Na wiecu pojawili się także przedstawiciele inicjatywy „Tak dla CPK". Wyciągnęli transparenty i spokojnie stali. „Na początku ludzie po prostu patrzyli i szeptali, ale potem, kiedy Donald Tusk mówił coraz więcej o wojnie polsko-polskiej, o wojnie z Rosjanami, że albo wybierzemy Europę, albo Rosję, w ludziach emocje zaczęły buzować. W końcu tym ludziom się »ulało«. Rzucili się na nas, na te nasze kartony. Po szarpaninie te kartony nam zniszczyli i byli z siebie zadowoleni. Ubliżali nam, wyzywając od rosyjskich kacapów i wszarzy, przez to, że ja mam długie włosy" – tak przebieg zdarzeń relacjonuje Adam Czarnecki, dodając: „Niestety, politycy generują negatywne emocje". Nie wszyscy politycy. Tusk jest w tym mistrzem. Ale tylko w tym.

W czasie zorganizowanej przez neo-TVP debaty wyborczej (tak, wiemy, że mało kto oglądał) prowadzące wydarzenie dziennikarki Justyna Dobrosz-Oracz oraz Dorota Wysocka-Schnepf zwróciły się do polityków po angielsku z pytaniem, kto z nich chciałby powiedzieć coś w języku Szekspira. Kto zareagował? Zupełnie przypadkiem był to Borys Budka, który wyrwał się do odpowiedzi: „Yes, of course!". Sytuacja nie spodobała się Stanisławowi Żółtkowi. Były europoseł pytał: „Czy dużo będzie tych popisów w języku angielskim, czy jesteśmy w Polsce? A polski można olać?". Cóż, jesteśmy w Polsce, ale i w neo-TVP, i całym kraju, rządzą ludzie z ogromnymi kompleksami. Ludzie, dla których akceptacja ze strony zagranicy jest najważniejsza.

Ordo Iuris poinformowało, że podpisane przez ***Rafała Trzaskowskiego*** rozporządzenie, na podstawie

eprasa.pl 17872d6a24

którego zakazano m.in. wieszania krzyży w warszawskim ratuszu i stawiania go na biurkach urzędników, zostało przygotowane przez fundację Instytut Miast Praw Człowieka. Oczywiście nie za darmo. Dokładnie za 129 910 zł! (to nie pomyłka). W radzie fundacji zasiadają m.in. Marta Abramowicz i Anna Strzałkowska – aktywistki LGBT+, autorki wypowiedzi wzywających do zniszczenia Kościoła katolickiego. Nim ogłoszono wynik konkursu, do zarządu fundacji dołączyła Katarzyna Wilkołaska, wcześniej pełnomocnik ds. kobiet w warszawskim ratuszu, a także asystentka europoseł Sylwii Spurek. To są jawne transfery publicznych pieniędzy do środowisk skrajnej lewicy.

Andrzej Domański, minister finansów, na antenie Polsat News był pytany o to, czy znajdą się pieniądze na finansowanie nielimitowanych świadczeń przez NFZ, ponieważ wojewódzkie oddziały Funduszu już informują o braku środków. Minister nie potrafił udzielić konkretnej odpowiedzi na to pytanie. „To jest jednak temat, który musi być rozstrzygnięty wspólnie z Ministerstwem Zdrowia. [...] Mogę zagwarantować to, że wydatki na ochronę zdrowia jako całość będą z całą pewnością rosły zgodnie z ustawą". Pieniędzy w NFZ brakuje jednak już teraz i chodzi o – jak podkreślił prowadzący – miliardy złotych. „Będę rozmawiał z panią Leszczyną na temat sytuacji. Na pewno będziemy szukać rozwiązania". Na pewno znajdą rozwiązanie. Ta władza w wygaszaniu Polski nie ma sobie równych.

Dziennikarka Aleksandra Fedorska alarmuje: strona niemiecka odsyła coraz więcej imigrantów do Polski. Podaje liczby: „Niemcy wydały do Polski w samym okresie od 1 stycznia do 30 kwietnia 2024 r. 3578 osób. Teraz to może być już daleko ponad 5 tys. osób!". I dodaje: „Należy sprawdzić, co to są za ludzie, którzy są odsyłani. Na jakiej podstawie osoby są zwracane stronie polskiej? Chciałabym się dowiedzieć, jakie przesłanki świadczą o tym, że ktoś zostaje w Niemczech, a ktoś jest oddawany stronie polskiej. MSZ nie udzieliło mi odpowiedzi, dlaczego strona polska wszystkich tych ludzi przyjmuje". Przyjmuje, bo musi. A musi, bo to władza osadzona z zewnątrz, potężnie zadłużona.

Jeśli Polacy nie zmienią tego rządu, wkrótce uderzy w nasz kraj potężna fala imigracji z Azji i Afryki. Są już dowody: Podlaski Urząd Wojewódzki zwrócił się do starostów i prezydentów miast, by wskazali „miejsca/obiekty możliwe do wykorzystania przy masowym napływie cudzoziemców innych niż objętych pomocą na podstawie ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym". Podobne dokumenty rozsyłają także inne urzędy wojewódzkie. Tusk jak zawsze: co innego mówi, co innego robi. Już wkrótce zapłacimy bardzo wysoką cenę za fatalną decyzję z dnia 15 października 2023 r. Nikt nie powinien mieć wątpliwości: to naprawdę była katastrofa narodowa.

Na tym tle szczególnie żałośnie cynicznie wygląda tzw. afera wizowa, która była po prostu kreacją. Zdaniem lidera PiS – międzynarodową. „Jest jednym wielkim kłamstwem, i to międzynarodowym, bo przecież kanclerz Scholz musiał wiedzieć, że to wszystko nieprawda, pani komisarz Johansson też musiała prawdopodobnie wiedzieć, że to wszystko nieprawda. To był międzynarodowy spisek, oczywiście udany, żeby nam odebrać władzę, i to uderzenie było celne, rzeczywiście przyniosło nam poważne straty wyborcze. Bez tego prawdopodobnie układ w parlamencie byłby inny". To prawda. Przed tą sprawą PiS przebijało 40 proc. poparcia i zyskiwało. Obecna ekipa doszła do władzy na kłamstwie. Ordynarnym.

Wicemarszałek Senatu z Trzeciej Drogi ***Michał Kamiński*** w wypowiedzi dla RMF: „Jeszcze będąc w PiS, parenaście lat temu, opowiedziałem się za związkami partnerskimi. Nie zmieniłem w tej sprawie zdania. Czy nazwiemy to małżeństwem, czy związkiem... Chodzi mi o to, żeby pary homoseksualne miały te same prawa rodzinne, mogły zakładać rodzinę. Uważam, że absolutnie można rozmawiać także o adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Jeżeli tylko kryteria adopcyjne będą dobrze, mądrze sformułowane". Pomijając imponującą ewolucję poglądów Michała Kamińskiego, hasło o „mądrze sformułowanych" zasadach adopcji jest ściemą. Raz uchylisz drzwi, to już ich nie domkniesz.

Tomasz Terlikowski promuje swoją książkę pt. „Arcybiskup. Kim jest Marek Jędraszewski". W wywiadzie dla tygodnika „Polityka" mówił tak: „Jak błędny rycerz chce przywrócić świat, którego już nie ma. A którego może nigdy nie było. [...] Don Kichot walczył z wiatrakami, w których widział smoki, a Jędraszewski smoki widzi w ideologiach. To nie tak, że Polki nie rodzą dzieci, bo są pod wpływem ideologii singlizmu, przyczyny są bardziej złożone. To nie tak, że pojawiły się postulaty środowiska LGBT+, bo przyszła zła ideologia gender, coś się w społeczeństwie wydarzyło. Nie ma powrotu do tego, co było. Jest rycerzem przegranej sprawy". Wszystko się powtarza. Tak samo pisano o prymasie Wyszyńskim. A przecież abp Jędraszewski po prostu jest wierny Ewangelii, Polsce i normalności. I jest człowiekiem niezwykle dzielnym. Nie ma w nim krztyny tej niedojrzałości i chwiejności, która Terlikowskiego miota od ściany do ściany. Cóż, wiara w „konieczność dziejową" wciąż potrafi ukąsić.

Fot. Andrzej Wiktor (3x), Julita Szewczyk, materiały prasowe

eprasa.pl 17872d6a24

Bobas kierownika

Krzysztof Feusette

– Jaśnie... jaśnie...
– Ja śnię chyba?
– Jaśnie... panie...
– Ja śpię! Jaśniej!
– Jaśniej, panie...
– Bobas, to ty?
– Jaśnie panie przewodniku... przewodniczący... premierze zdrady ministrantów... ministrów... Gasisz?
– Ale co?
– Poszar?
– Czyli?
– No, jak się pali!
– Ale co?!
– Ziemia!
– W sensie, że planeta płonie? Z takimi rzeczami to do Rafała.
– Pod nogami nam się pali!
– Ale komu?
– No mnie!
– Co się dzieje, Bobas? Ktoś cię skrzywdził?
– O to chodzi! Pan przewodniczący mnie skrzywził!
– Skrzywił?
– Skrzywził! Od krzydwy!
– Krzywdy?
– Oj, są, i to wielkie. Mój start jest zagroszony...
– Na igrzyskach?
– Do europarle... parle... No, w tym... Lęborku... Salzburgu...Hamburgu...
– Strasburgu! Przecież dostałeś jedynkę!
– Z czego?
– Ty coś kojarzysz w ogóle? Startujesz z jedynki w Warszawie!
– Skąd?
– Z jedynki.
– Ale czemu?
– Bo uznałem, że za bardzo podskakiwałeś jako sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej oraz szef jej struktur w stolicy.
– In... synu... synku... nu, nu, nu... nujesz. Insynuujesz, synku. Kto mi kazał „Dupiarza" grillować?
– Powiem ci szczerze, że przez ten pogłos niewiele słyszę.
– So?
– Pogłos. Zniekształcenie mowy.
– Ja mam znieszkał... zmieszkał... K..., dzień straszaka, dzień świstaka. To so ja mam?
– Zadzwoń później.
– Później będzie za późno. Szłowieku, przecież ja ci budkę przewracałem. A teraz byle Szerpa mnie posuwa... przesuwa...
– Ty jesteś w Himalajach?
– Być mosze. Nie wiem.
– To kto cię, za przeproszeniem...
– Szczerba! Przesuwa mnie na niebiorące, rozumiesz? A myśmy się umawiali!
– Na co?
– O, właśnie. Teraz każdy powie: na so mi Bobas. Szecież on ma półgłos.
– Pogłos.
– Znowu?! Kto mi ten mikrofon wsadził?
– Sam sobie wsadziłeś. Poseł Szczerba jest oddanym członkiem...
– O, to, to. Właśnie tego słowa mi brakowało.
–... naszej partii. Z wciskania guzika wywiązuje się bez zarzutu.
– A kto zdradził, że nie było wiz ze straganów?
– Bo nie było.
– No i fajnie. To czemu pan przewodniszący twierdził, że były?
– Głupiś, Bobas, jak, kurdej, szatan. Wtedy była kampania!
– Teraz też jest. I mnie przegania koleś, który nawet w kiblu nie potrafi się zachować! Wie pan premier zdrady ministrów, jak ja się szuję?!
– Pewnie mi powiesz.
– Jak Tusk po wyborach prezydenckich.
– Słucham?
– Jak... taki szegrany... Mosze mi się nazwiska pomyliły...
– To dwóch się naucz: Gronkiewicz i Waltz. Ona też cię przegania.
– To jest ta, co kamienice dwustulatkom oddawała?
– A my dzięki temu mamy kontakty w sądach takie, że mucha nie siada.
– So jest Szymona, to jest nasze, tak pan premier mówił...
– A co jeszcze mówiłem?
– Szeby uwaszać.
– Na so? To znaczy: na co?
– Na szystko. Szy nie śledzą, szy nie fotografują, nie podsłuchują.
– A ty co zrobiłeś? Z nawalonym mikrofonem do ludzi poszedłeś?
– O, szepraszam. Jeśli pan przewodniszący chce mi pojedzieć, sze... No i zapomniałem... Sze, ten Szerpa, Szczerba, to znaczy Scerba, gdyż, nomen women, pozbawił mnie jedynki, sze on jest ode mnie lepszy, to ja się pytam: w szym?!
– Wyborców zapytaj.
– Mam teraz chodzić po domach i im w alkonosy dmuchać? Panie pszewodniszący, królu złoty rady europańskiej, towarzyszu premierze, szyja...
– Nie rozumiem.
– Szyja...
– Daliście w szyję, tak?
– Szyja... jestem... gorszy?
– Tu nie o to chodzi, kto jest lepszy, kto gorszy. Jednego Europa potrzebuje, innego mniej, a jeszcze innego nie potrzebuje nawet własna partia. Cóż ja wam mogę, tak prywatnie, doradzić? Walczcie do końca, bo my, w sensie zarządu partii, jesteśmy bardzo za wami. Również z tego powodu, że w rządzie już się dla was miejsca nie znajdzie, a jednocześnie kogoś rolnikom trzeba będzie rzucić. Wyście ich pałowali, to się nadacie na obornik wspólnej sprawy idealnie. Wiecie, oczywiście, o jaką wspólną sprawę rzecz się toczy?
– Ja?
– Nie – kto się z listy stoczył, tylko o co gra idzie.
– Oszywiście, że wiem. Gra izie... Izabelli... nie, jeszcze raz... gra izie o to, szeby... Jakaś podpowieść?
– Ech, wy to jesteście, Kierwa, taka cwana gapa. Niby da się was ograć, jak głośny Hollandowej przy stole, a jednocześnie czuję, że wyście wiedzieli.
– O szym?
– Że z tej Brukseli to wam giewu wyjdzie. Wy jesteście za bardzo stąd, nawet te memy z wami, w marynarce po fest wuju, idealnie do was pasują. I może to jest dla was szansa? Może byście, z powodu waszej obecnej sytuacji politycznej, przyłączyli się do protestu rolników? Ciągnikiem, bo ciągnikiem, ale przynajmniej byście sobie tę Brukselę, tak na pożegnanie, zwiedzili?

eprasa.pl 17872d6a24

Piłowanie katolików

Nauczanie religii jest obecne w szkołach 23 krajów UE i stanowi jeden ze standardów pluralistycznego społeczeństwa demokratycznego

Ograniczenie prac domowych, liczby lektur, okrojenie podstawy programowej – to tylko niektóre pomysły resortu edukacji. MEN chce także zmian w nauczaniu religii. Lekcji ma być mniej, ocena z tego przedmiotu nie będzie wliczana do średniej, a religii będą się mogły jednocześnie uczyć dzieci w różnym wieku.

„Szkoła jest od kształcenia, a nie od formacji religijnej" – uważa minister edukacji narodowej Barbara Nowacka, która wielokrotnie deklarowała w mediach, że jest zwolenniczką zredukowania lekcji religii do jednej godziny w tygodniu.

Zupełnie inne zdanie mają katecheci i wielu rodziców. W liście, który wystosowało Stowarzyszenie Katechetów Świeckich do prezydenta Andrzej Dudy, marszałka Sejmu Szymona Hołowni i szefowej MEN Barbary Nowackiej, czytamy: „Wobec rosnących problemów młodego pokolenia, żyjącego pod coraz większą presją multimediów, w których ginie przekaz uniwersalnych i duchowych wartości oraz doświadczającego negatywnych skutków rozpadu więzi rodzinnych i ogólnospołecznych, uważamy, że polska szkoła winna jeszcze bardziej wesprzeć rodziców w procesie wychowania ich dzieci, co posłuży zarówno ich indywidualnemu, jak i społecznemu dobru. Dlatego nawiązując do Preambuły Konstytucji RP, w której czytamy »my, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł [...] w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem lub przed własnym sumieniem« postulujemy wcielenie w życie naszego apelu w imię wzajemnego szacunku i społecznego porozumienia".

Projekt nowelizacji rozporządzenia w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach zakłada, że łączone lekcje religii lub etyki będzie można organizować w klasach, w których na zajęcia zgłosiło się więcej niż siedmiu uczniów. Jak zaznaczono w uzasadnieniu do projektu, chodzi o większą elastyczność organizowania nauki religii w szkołach i przedszkolach w przypadku, gdy liczba zgłoszonych uczniów jest niewielka. Nowe przepisy pozwolą na łączenie grup z klas, w których zgłosiło się mniej niż siedmiu uczniów z klasami, w których na religie planuje uczęszczać więcej niż siedem osób. Łączenie grup będzie możliwe wyłącznie w ramach danego etapu edukacyjnego, czyli klasy I–III albo klasy IV–VIII.

„Oznacza to, że w jednej grupie na lekcje religii bądź etyki będą uczęszczać uczniowie klas czwartych z siódmymi czy ósmymi albo pierwszych z trzecimi. Takie rozwiązanie zaproponowane przez MEN całkowicie ignoruje poziom rozwoju emocjonalnego i intelektualnego uczniów oraz ich realne potrzeby w tym zakresie, a także zdobytą przez nich do tej pory wiedzę" – mówił Piotr Janowicz, przewodniczący Stowarzyszenia Katechetów Świeckich, przy okazji protestu, który jeszcze w maju odbył się w tej sprawie pod Sejmem. „Dzięki temu rozporządzeniu może dojść także do sytuacji, w której uczniowie będą zmuszeni do pozostawania na tym samym poziomie wiedzy przez kilka lat, bez szansy na poznawanie materiału dostosowanego do ich wieku, rozwoju, potrzeb i oczekiwań" – wskazywał Janowicz.

Rozporządzenie MEN z 23 marca br. spowodowało już zmianę statusu religii i etyki w szkołach przez m.in. usunięcie wliczania ocen z tych przedmiotów do średniej. Zdaniem oburzonych katechetów uczniowie czują się z tego powodu dyskryminowani, a zdobyta przez nich wiedza pomniejszana.

Według nauczycieli religii ze Stowarzyszenia Katechetów Świeckich proponowane przez MEN zmiany dotyczące lekcji religii w szkołach są daleko posuniętą dyskryminacją, segregacją oraz wykluczeniem ludzi o odmiennych przekonaniach, a zatem także osób wierzących, z przestrzeni publicznej. A przecież nauczanie religii jest obecne w szkołach 23 krajów Unii Europejskiej i stanowi jeden z przejawów wolności religii w świetle współczesnych standardów pluralistycznego społeczeństwa demokratycznego.

W nowej, uśmiechniętej Polsce zapowiadane przez Sławomira Nitrasa „piłowanie katolików" idzie pełną parą.

Dorota Łosiewicz

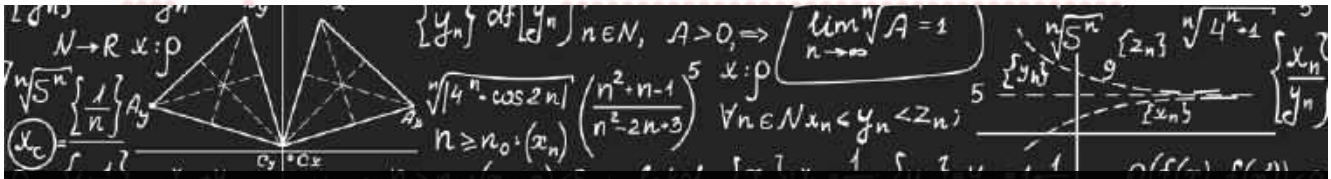

Chińskie aplikacje odrabiają lekcje

USA

W ub.r. gwałtownie wzrosło wykorzystanie sztucznej inteligencji (AI) w amerykańskim szkolnictwie – zarówno wyższym, jak i na wcześniejszych etapach edukacji. Dlatego kilka okręgów szkolnych w USA, m.in. w Seattle, Los Angeles i Nowym Jorku, zakazało uczniom dostępu do narzędzi AI, wymagając od nich „oryginalnego myślenia i pracy", a nie produkcji plagiatów.

Egzekwowanie zakazu poza szkołą okazało się bardzo trudne i nic dziwnego. Przykładowo godzinny koszt korepetycji z matematyki wynosi – w zależności od stanu – od 60 do nawet 180 dol. i jest droższy od rocznej subskrypcji programu Answer.AI – jednej z kilku popularnych aplikacji, które pomagają uczniom we wszystkim: od pisania prac z historii po rozwiązywanie problemów z fizyki. Dzięki niej w ciągu kilku sekund narzędzie zainstalowane na smartfonie wygeneruje odpowiedź wraz ze wszystkimi szczegółami rozwiązanego zadania, np. rachunku różniczkowego.

Korzystanie z tego typu aplikacji jest coraz bardziej powszechne wśród amerykańskiej młodzieży. W amerykańskim sklepie App Store program Answer.AI znalazł się wśród 20 najpopularniejszych aplikacji edukacyjnych, z których aż pięć to narzędzia sztucznej inteligencji pomagające uczniom w odrabianiu zadań domowych. W opinii jednej z uczennic taki sztuczny korepetytor nie dość, że nie irytuje się niewiedzą ucznia (może generować reakcje głosowe w różnych stylach emocjonalnych), to jest zaangażowany, cierpliwy, a w ciągu pół roku, odkąd zaczęła go używać, poprawiły się jej oceny z matematyki. Oczywiście narzędzie wciąż ma ograniczenia, ponieważ nie jest w stanie odpowiedzieć na wszystkie zagadnienia, generując niekiedy błędne odpowiedzi.

Bardzo popularne są chińskie produkty, takie Zuoyebang oraz Gauth związany z ByteDance, macierzystą firmą TikToka, które zostały pobrane już na ponad 10 mln smartfonów. Obie aplikacje podbijają rynek w USA m.in. dlatego, że w 2021 r. w Chinach ograniczono prawnie udzielanie prywatnych korepetycji, także za pomocą narzędzi online. Ich producenci zwrócili się więc ku klientom zagranicznym, szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Dziś chińskie aplikacje odrabiają zatem lekcje uczniom na Zachodzie.

Maciej Walaszczyk

Katolicki kraj, antykatolicka władza

W XX stuleciu wielu politologów zastanawiał fakt, jak to możliwe, aby w Meksyku, kraju na wskroś katolickim, przez ponad 70 lat mogło nieprzerwanie rządzić ugrupowanie radykalnie antykatolickie, czyli Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna. Ów fenomen tłumaczono tym, że zdobyła ona władzę i utrzymywała ją, sięgając po niedemokratyczne metody.

Po ostatnich wyborach w tym kraju eksperci mają jednak nową zagadkę, ponieważ tym razem – już w warunkach w pełni demokratycznych – miażdżące zwycięstwo znów odniosła formacja prezentująca program wrogi nauczaniu katolickiemu, czyli Ruch Odrodzenia Narodowego (MORENA), rządzący od 2018 r. Różnica polega na tym, że starą lewicę zastąpiła nowa.

Prezydentem kraju została Claudia Sheinbaum, zwolenniczka aborcji, homomałżeństw, ideologii gender, feminizmu i polityki klimatycznej (była nawet ekspertem IPCC – Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu). Sama deklaruje się jako osoba niewierząca, choć ma korzenie żydowskie (jedni jej dziadkowie wywodzą się z sefardyjskiej rodziny z Bułgarii, drudzy z aszkenazyjskiej z Litwy). Poza tym Morena wraz ze swymi sojusznikami zdobyła ponad dwie trzecie mandatów w Izbie Deputowanych i Senacie, co daje jej większość konstytucyjną, otwierającą możliwość do przeprowadzania radykalnych, głębokich i trwałych zmian politycznych. Partia odniosła też sukces na szczeblu lokalnym, obsadzając stanowiska 23 z 31 gubernatorów oraz burmistrza 22-mln stolicy.

Znamienne, że w sprawach światopoglądowych Claudia Sheinbaum właściwie niczym nie różni się od dwójki jej największych rywali (Xóchitl Gálvez i Álvarez Máynez), którzy uplasowali się na podium tuż za nią. Cała trójka popiera aborcję, eutanazję i postulaty środowisk LGBT+, a także opowiada się za ograniczeniem wolności sumienia, swobody słowa i praw rodzicielskich. W meksykańskiej polityce brakuje zatem znaczących sił reprezentujących interesy i wrażliwość katolicką. To jeszcze jeden rezultat wieloletniego wypchnięcia tamtejszego Kościoła z życia publicznego.

Grzegorz Górny

Fot. Paola Garcia 1/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl 17872d6a24

RPA

Pyrrusowe zwycięstwo

Afrykański Kongres Narodowy (ANC), który nieprzerwanie sprawował władzę w RPA od upadku apartheidu w 1994 r., stracił większość parlamentarną. To rewolucja na tamtejszej scenie politycznej, a jej skutki mogą okazać się opłakane.

W wyborach parlamentarnych 29 maja ANC uzyskał 159 mandatów na 400 miejsc. I choć to najlepszy wynik spośród wszystkich partii startujących w wyborach, pierwsza pozycja Kongresu jest pyrrusowym zwycięstwem. Kongres stracił bowiem 71 miejsc w Zgromadzeniu Narodowym, a w efekcie zdolność do samodzielnych rządów.

Gwałtowny spadek popularności ANC – partii, za którą ciągnęła się legenda pogromców apartheidu – ma dwie przyczyny. Pierwsza z nich to gospodarka, która znajduje się w fatalnym stanie. Dzisiejsza RPA zmaga się z plagą korupcji i przestępczości na niespotykaną wcześniej skalę. Nowoczesna niegdyś infrastruktura została zrujnowana, a mieszkańcy uskarżają się na wysokie bezrobocie oraz chroniczne braki towarów i energii. Nie udało się również zwalczyć nierówności społecznych – jedyna różnica z epoką apartheidu polega na tym, że dziś wśród najbogatszych jest wielu czarnoskórych.

Druga przyczyna kiepskiej kondycji ANC ma źródła polityczne. W ostatnich latach od Kongresu oddzieliły się bowiem dwie radykalne frakcje, które przejęły część najbardziej sfrustrowanych wyborców. Chodzi o partię byłego prezydenta Jacoba Zumy (uMkhonto weSizwe – w skrócie MK), która zdobyła 58 mandatów, oraz formację EFF (Ruch Bojowników o Wolność Gospodarczą) z 39 miejscami w nowym parlamencie. Oba ugrupowania żerują na rasistowskich stereotypach, tyle że wymierzonych w białą ludność. Proponują m.in. odbieranie ziemi białym rolnikom oraz nacjonalizację kopalni, banków i innych strategicznych sektorów bez żadnych odszkodowań. Wiele lat temu podobne pomysły zrealizowano w sąsiednim Zimbabwe, doprowadzając ten kraj do ruiny gospodarczej.

Na tym tle ANC wydaje się partią rozsądku i umiarkowania. Dlatego w jej szeregach rozważa się koalicję z Sojuszem Demokratycznym (DA), który zdobył drugie miejsce i 87 mandatów. Sojusz jest partią wolnorynkową i uchodzi za reprezentację białej ludności. Jednak w szeregach ANC są duże opory przed porozumieniem z „partią białych", bo mogłoby to jeszcze bardziej osłabić notowania Kongresu wśród czarnego elektoratu.

Czasu na polityczne kalkulacje jest niewiele. Jeśli bowiem nie uda się zbudować większości parlamentarnej w ciągu 14 dni od ogłoszenia wyniku wyborów, trzeba będzie ogłosić kolejne wybory. Na to zresztą najbardziej liczą czarni radykałowie, przekonani, że uda im się poprawić wynik i zmusić ANC do ustępstw.

Konrad Kołodziejski

Korea Północna

Wojna balonowa

Korea Północna wypuściła na swojego południowego sąsiada ponad 260 balonów, do których podczepione były zasobniki ze śmieciami i ekskrementami. Niektóre z nich przeleciały, jak oceniają południowokoreańscy eksperci, nawet ponad 200 km.

Balonowa agresja Korei Północnej jest odpowiedzią na podobną akcję południowokoreańskich organizacji społecznych, które wcześniej, również przy użyciu balonów, rozrzuciły na komunistycznym terytorium ponad 300 tys. antyreżimowych ulotek oraz kilka tysięcy przenośnych nośników pamięci USB, na których były nagrane filmy, koncerty koreańskich zespołów popowych oraz materiały o wydźwięku politycznym, zawierające wezwania do wystąpień przeciw dyktaturze Kim Dzong Una.

Wysyłanie balonów z ekskrementami nie jest jedynym przejawem „symbolicznego pojedynku" toczonego pomiędzy obydwoma państwami koreańskimi. Wcześniej Kim Dzong Un nakazał wyburzenie latarni na drogach łączących oba kraje i wydał polecenie zmiany logo północnokoreańskich linii lotniczych, które do tej pory wykorzystywały zarys całego półwyspu. Na rosnące zaniepokojenie reżimu wpływ ma wyraźny, zwłaszcza w młodszym pokoleniu, trend polegający na rosnącym zainteresowaniu popkulturą Południa. W przyszłości może to utrudnić utrzymanie ideologicznej i wojskowej mobilizacji społeczeństwa.

Akcja północnokoreańskiego reżimu ma jednak również doraźne źródła i – jak oceniają eksperci – jej celem jest odwrócenie uwagi międzynarodowej opinii publicznej od prestiżowej porażki, jaką była nieudana próba umieszczenia na orbicie kolejnego sztucznego satelity ziemi. Rakieta przenosząca północnokoreańskiego satelitę szpiegowskiego eksplodowała kilka minut po starcie, dzień przed wystąpieniem Kima, co oznacza zwłokę w programie kosmicznym Pjongjangu, do którego realizacji reżim przywiązuje duże znaczenie.

Marek Budzisz

Fot. Reabetswe © Matjeke/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl 17872d6a24

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Produkować amunicję już!

Jan Pietrzak

Któregoś dnia PAP ogłosiła, że w lipcu nastąpi mobilizacja 200 tys. polskich żołnierzy, którzy wyjadą walczyć na Ukrainę... No, no, pomyślałem sobie, minister wojny Kosiniak-Kamysz nie bez powodu opowiadał o bojowym plecaku ewakuacyjnym. Po dwóch dniach okazało się jednak, że agencja puściła, za przeproszeniem, bąka dezinformacyjnego. Zapachniało ruską prowokacją. Co jest tym bardziej ciekawe, że personel neo-PAP raczej wie, kto za kim stoi i pociąga za sznurki.

Ale pojawił się temat ciekawszy, mianowicie sondaż, czy Polska powinna wysłać wojsko na Ukrainę. Niezależnie od wyniku i wiarygodności badań, pozwolę sobie bardzo poważnie zaproponować, by państwo polskie przede wszystkim zaczęło produkować amunicję. W następnym kroku, by powróciło do ćwiczeń rezerwy, a w kolejnym zarządziło pobór młodych roczników. Nie ma po co udawać chojraków, wtrącać się do wojny z zapasem amunicji na trzy dni. Nie ma sensu powiększać stanów osobowych brygad i dywizji, skoro brakuje gwarancji, iż żołnierze będą mieli czym strzelać. Polska armia nie może być uzależniona od kaprysów międzynarodowych szulerów i krętaczy. Widzimy, co się dzieje na Ukrainie, gdzie tygodniami frontowe oddziały czekają na sprzęt i pociski obiecywane przez fałszywych sojuszników. Zakładam, że obecne dowództwo ma wiedzę i ambicję, by utrzymać gotowość bojową na wysokim poziomie, niezależnie od doraźnych wybryków sfer politycznych.

Zaskakująca koncepcja Tarczy Wschodniej jest przedwyborczym hasłem. Zapowiadane bagna, moczary i rozlewiska sugerują, że będzie to tarcza na wodzie. Projektowi patronują Niemcy. Nikt ich o to nie prosił, ale oni ze swoim kompleksem wyższości natrętnie chcą nas bronić od wschodu.

Powiedzmy sobie szczerze: nie mają ostatnio dobrej passy. Do czego się zabiorą, to spartolą. Mieli być ruskim hubem z naftą i gazem dla całej Europy. Zapowiadała się wielka kasa, została wielka rura z dziurą. Mieli mieć tanią, wielomilionową siłę roboczą, mają żenujący bałagan migracyjny. Zielony jad zatruł im resztki rozsądku. Wniosek dla Polski? Szybka produkcja amunicji! Ostra jazda na poligonach!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Partia normalności

Dominik Zdort

Bardzo ciekawe w polityce są przemiany. Np. przemiany osobiste polityków, którzy potrafią zwrócić się przeciw swoim dawnym poglądom i dawnym partiom, wyciągać brudy z szaf swoich dawnych kolegów i krytykować dawnych szefów. Jak się zdaje, wyborcom za bardzo nie przeszkadza taka nielojalność, wręcz przeciwnie, zdrajcy bez problemu potrafią cieszyć się dużą popularnością, zdobywają parlamentarne mandaty. Pal sześć, jeśli polityk zmienia barwy na podobne, przechodzi do ugrupowania wyznającego podobne idee. Ale w Polsce mieliśmy do czynienia z niejedną sytuacją, gdy dawny poseł o poglądach fundamentalistycznie katolickich i konserwatywnych przeniósł się do ugrupowania lewicowo-liberalnego, proaborcyjnego i zwalczającego Kościół.

W USA mieliśmy dla odmiany do czynienia z wielką zamianą miejsc. Partia Demokratyczna, dawniej konserwatywna, hołdująca poglądom rasistowskim, związana ze stanami południowymi, w ciągu kilkudziesięciu lat zamieniła się miejscami z liberalnymi kiedyś republikanami, którzy ostro zwalczali system niewolnictwa. Oczywiście nie oznacza to, że któraś z tych partii dziś popiera niewolnictwo – co to, to nie, takie rzeczy w Stanach by nie przeszły. Ale dziś to republikanie mają poparcie na prawicowym południu, a demokraci na lewicowej północy.

W Polsce w ostatnich latach także mieliśmy do czynienia z totalną ideową przemianą. Otóż nasze najbardziej centrowe ugrupowanie, partia rozwagi i zdrowego rozsądku, w ciągu zaledwie kilkunastu lat zamieniła się w ugrupowanie agresywnej ideologii. Żeby dostosować się do nowej sytuacji, lider owej partii, nie tak dawno afiszujący się domowym ołtarzykiem z krucyfiksem, wywiesił aborcyjne i tęczowe sztandary oraz wyhodował sobie grupę parlamentarnych hejterów wspierających nową linię.

Trudno powiedzieć, czy te przemiany są efektem cynicznych kalkulacji lidera, żądnego wciąż nowych stanowisk, czy też politycznych tendencji w jego szeroko rozumianym europejskim obozie. Ślepa lojalność, bezrefleksyjne podążanie za kolegami z Francji i Niemiec, bezmyślne akceptowanie brukselskich dziwactw przywiodło ową partię do sytuacji, gdy stała się reprezentantem szaleństwa, dewiacji i ekstremy.

I dzięki temu dziś inna polska partia, reprezentująca poglądy wyraziście prawicowe i konserwatywne, może w kampanii do Parlamentu Europejskiego przestawiać się jako ostoja normalności.

O tempora, o mores!

Autor jest senior research fellow w projekcie Ordo Iuris Cywilizacja

eprasa.pl 17872d6a24

BRONISŁAW WILDSTEIN

Demokracja i wolny rynek idei

Przerobienie Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego na Instytut Narutowicza jest wymowną lekcją polityki obecnego rządu i szerzej zachodniego establishmentu. Demonstruje w całej okazałości świat na opak, czyli rzeczywistość radykalnie skłamaną, w której pojęcia funkcjonują odwrotnie do ich elementarnego znaczenia.

Gabriel Narutowicz to pozytywna postać, ale jego rola sprowadza się głównie do tragicznej śmierci, która miała duże znaczenie w swoim czasie, ale dziś stanowi wyłącznie zamknięty epizod naszych dziejów. Jest natomiast bez skrupułów wykorzystywana przez lewicę, która chciałaby obciążyć prawicę jej niezmywalnym piętnem i przesłonić nią wszystkie zbrodnie PRL. Od początku III RP słyszeliśmy, że grozi nam powtórka z Narutowicza i niewiele w tej propagandzie zmienił fakt, że jedyną niekwestionowalną ofiarą polityczną w wyzwolonej Polsce był działacz PiS Marek Rosiak, zabity za swoją partyjną przynależność.

Natomiast Narodowa Demokracja jest jednym z najważniejszych nurtów polskiego ruchu niepodległościowego i badanie jej stanowi wręcz obowiązek naszego państwa. Czy mamy nie studiować jej dlatego, że nie ma na koncie wyłącznie chwalebnych dokonań? Przecież to absurd.

Dyrektor Instytutu Narutowicza, lewicowy historyk Adam Leszczyński, deklaruje, że jego placówka nie będzie miała charakteru naukowego, a kulturalny oraz edukacyjny. Uważa, że ma do wykonania „misję ratunkową".

„PiS przez ostatnie osiem lat, a w niektórych wypadkach dłużej [...] próbował utożsamić polski patriotyzm z prawicą, nacjonalizmem [...] gloryfikował tylko jeden z wielu nurtów politycznych, które mieliśmy i mamy w polskiej historii". Instytut Narutowicza ma „być odtrutką na narracje bogoojczyźniane, kult żołnierzy wyklętych, na narodową martyrologię".

Czy „bogoojczyźniana narracja" to uznanie roli katolicyzmu w naszej historii? Czy polska walka o niepodległość nie wiązała się z wielkimi ofiarami? Czy nie powinniśmy przywrócić pamięci żołnierzy wyklętych, tego ostatniego ludowego powstania narodowowyzwoleńczego? I to deklaruje autor „Ludowej historii Polski"? Podejście takie zakłada głęboką mistyfikację historii.

Leszczyński bez osłonek prezentuje politykę historyczną nowej władzy. Wprawdzie samo przyznanie jej konieczności stanowi postęp, bo do niedawna słyszeliśmy, że jest to wyłącznie prawicowa propaganda, ale opowieść, którą snuje Leszczyński o tym, że PiS uprawiało jej zmasowaną formę i dlatego dziś „siły demokratyczne" muszą dokonać kontrofensywy w tej dziedzinie, zakrawa na kpinę. W świecie, w którym wszystkie główne ośrodki opiniotwórcze znajdują się w rękach liberalnej lewicy, a kultura od swojej „wysokiej" aż do masowej wersji stała się wehikułem jej ideologii, w której przez długi czas po obaleniu komunizmu nie wspominano zbrojnego przeciw niemu oporu, wezwanie do mobilizacji rzeczników establishmentu brzmi i śmiesznie, i strasznie.

Opiniotwórczy monopol orientacji Leszczyńskiego jest dla niego normą, którą nazywa „wolnym rynkiem idei". Tylko na nim „idee demokratyczne same się obronią". Przyszło jednak straszne PiS i usiłowało zrównoważyć nieco dominację lewicy, co wywołało oburzenie wszystkich Leszczyńskich Europy. Bo przecież chodzi o demokrację, czyli stan rzeczy, w którym wolno propagować tylko takie idee, które areopag Leszczyńskiego zaakceptuje i nada im stempel demokratycznych. Wzorcem jest obecna Europa, gdzie lewicowy monopol prezentowany jest jako norma i zaczyna być gwarantowany prawnie paragrafami zwalczającymi „mowę nienawiści".

Nie chodzi wyłącznie o idee, ale również ich rzeczników. Bo: „kiedy Donald Tusk mówi o granicy z Białorusią rzeczy podobne do tego, co mówił Jarosław Kaczyński, to nie jest to jednak to samo" – rzecze Leszczyński. W demokrację uderza samo istnienie Kaczyńskiego i jego partii. Oto jej wyobrażenie ze strony lewicowego intelektualisty.

Toteż Leszczyński ogłasza, że jego placówka będzie „propagować demokratyczną myśl, a antydemokratyczną badać". „Badanie" ma być opozycją do propagowania, co jest oczywiste, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że wicedyrektorem nowego Instytutu jest Przemysław Witkowski, zawodowy antyfaszysta, którego kariera polega na oskarżaniu za sute granty kontestatorów obecnego *status quo* o faszyzm. „Będą interesować nas przede wszystkim ugrupowania i prądy intelektualne, które zmierzają do zniszczenia demokracji w Polsce. Czyli takie, które miały, a zwłaszcza teraz mają to w swoim programie albo realizują w praktyce politycznej".

Zamiast Instytutu badającego historię mamy więc placówkę tropiącą przeciwników obecnej władzy, którzy nazywani są przeciwnikami demokracji, jeśli nie faszystami. Ich Leszczyński będzie „badać", a rządzących, przecież demokratów – propagować. W ten sposób zapanuje wolny rynek idei, a demokracja nie będzie miała konkurencji.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17872d6a24

OGNIEM NA WPROST

Majowe rekordy i bój o Helenę z Czelabińska

Andrzej Rafał Potocki

Kacap bije kolejny smutny (smutny dla siebie, dla nas wesoły) rekord. Okazuje się, że od marca do maja Tryzuby urządzili im pancerne piekło i natłukli, jakby nie licząc, 390 czołgów miesięcznie. Według Defence24.pl w tym okresie straty te wzrosły aż o 70 proc. w porównaniu do pierwszych dwóch lat wojny, kiedy Rosjanie tracili co 30 dni „tylko" 270 takich pojazdów bojowych. I jeżeli wcześniej rosyjska armia zmniejszała się co miesiąc o 150 czołgów, a więc o 4 bataliony, to od marca to kurczenie przyśpieszyło. Co więcej, są to straty coraz częściej potwierdzone filmami nagranymi z kamer bezzałogowych systemów rozpoznawczych naprowadzających atak, jak również z kamer dronów kamikaze wykonujących ten atak. Żeby było dosadniej, większość z trafionych czołgów to straty bezpowrotne – spalone bądź po eksplozji amunicji, z wieżą szybującą na wysokość trzypiętrowej kamienicy. Nic nie wskazuje na to, by w tym miesiącu sytuacja miała się poprawić. W pierwszych trzech dniach czerwca Ukraińcy zniszczyli bowiem 45 czołgów, co przy takim tempie doprowadziłoby do utraty przez Rosję pod koniec miesiąca nawet 450 maszyn. Dodając do tego ograniczoną z wielu powodów produkcję, Rosjanom może zabraknąć czołgów już w 2025 r. Co więcej, już teraz park czołgowy dostępny na froncie jest coraz starszy i ma coraz mniejsze możliwości bojowe. W styczniu 2024 r. Francuzi, powołując się na obliczenia przeprowadzone przez „Forbes", wskazywali, że z 2987 czołgów, jakimi mieli dysponować Rosjanie w lutym 2024 r., pozostało im jedynie 400 maszyn. No, „przyjaciele" Moskale, jak mawiał nasz wieszcz, przyjdzie wam jeszcze demontować historyczny złom z pomników.

Podobnie zła sytuacja jest również w przypadku transporterów (w tym bojowych wozów piechoty). Najgorszy od początku wojny był właśnie tegoroczny maj, ponieważ Ukraińcom udało się wtedy zniszczyć 880 pojazdów opancerzonych. Miesiąc ten był rekordowy również dla systemów artyleryjskich (których Rosjanie mieli utracić 1160). Na te wyniki nakładają się ogromne straty w ludziach. Według szacunków opublikowanych przez Ukraińców w maju 2024 r. udało się im unieszkodliwić aż 38940 rosyjskich żołnierzy. Straty osobowe szczególnie wzrosły w ostatnich trzech miesiącach. O ile bowiem w połowie lutego informowano o wyeliminowaniu 400-tys. rosyjskiego żołnierza, o tyle do 25 maja 2024 r. Rosja utraciła kolejne 100 tys. osób. Jeśli chodzi o straty mięsa armatniego, trudno by było znaleźć oficjalne potwierdzenie, jednak reszta mniej więcej się zgadza. Cała ta ruska armia zaczyna przypominać wystąpienia Donalda Tuska. Pic na wodę, fotomontaż.

A Watykan cały w strachu. Szef dyplomacji Stolicy Piotrowej kard. Pietro Parolin ostrzega przed konsekwencjami użycia przez Ukrainę zachodniej broni do ataków na terytorium Rosji. Jego zdaniem zezwolenie ukraińskiej armii na uderzenie na Rosję bronią dostarczoną przez kraje zachodnie doprowadziłoby do „eskalacji, której nikt nie będzie w stanie kontrolować". „To naprawdę niepokojąca perspektywa, która powinna martwić każdą osobę, która troszczy się o losy świata" – powiedział Parolin. Jak Ruski wali i morduje cywilów, to nie ma się czym za bardzo przejmować, los świata nie jest zagrożony. Ale odwrotnie... Pytanie do kardynała: jak filozofia Kalego ma się do Ewangelii?

Wagnerowcy po stracie swego „ukochanego" dowódcy Gienka Prigożyna rozpełzli się po Federacji Moskiewskiej jak karaluchy i dymią. Celem ich brutalnych napaści nie są teraz ukraińskie miejscowości, a obywatele Kacapii. Ale w Czelabińsku się nacięli. Trafili na godnego przeciwnika. W sieci pojawiło się nagranie z tłuczki, jaką chcieli urządzić prigożynowi troglodyci lokalnej bandyterce. Drakę zaczęli wagnerowcy, porywając kilku tamtejszych gitów. Ci z kolei przygotowali odwet i dopadli na terenie otwartym chłopaków Prigożyna. Było ostro! W ruch poszły pały, kastety i cokolwiek wpadło w rękę. Na filmie efektownie wyszły skoki po obalonych przeciwnikach, a także glanowanie po plecach i głowie. Niejedna nasza remiza podczas dyskoteki może im pozazdrościć „kujawiaczków" (kopniaków wymierzonych w leżących). Nie trzeba chyba dodawać, że zmaganiom biernie przyglądała się Rosgwardia oraz tamtejsze służby. Jak to często w takich sytuacjach bywa, poszło o kobietę. Bój o Helenę z Czelabińska zakończył się porażką „chłopców z Bachmutu" i zwycięstwem lokalnych gitów, czego dowód możemy obejrzeć na platformie X (d. Twitter).

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17872d6a24

Zasady a wyroki

Marta Kaczyńska-Zielińska

Zyskujący coraz większe poparcie w sondażach Front Narodowy Marie Le Pen, który ma realne szanse, by za dwa lata przejąć władzę we Francji, postuluje, aby zlikwidować Komisję Europejską, posiadającą własną inicjatywę ustawodawczą, usankcjonowanie prawne wyższości konstytucji francuskiej nad prawem Unii Europejskiej i wyrokami Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, wpisanie do konstytucji, że Francja przynależy do UE w granicach swojego interesu narodowego i umieszczenie w ustawie zasadniczej zapisu, wedle którego polityka migracyjna leży wyłącznie w gestii francuskich instytucji. Marie Le Pen chce przywrócenia kompetencji państw narodowych i opowiada się za Europą ojczyzn. Warto przypomnieć, że francuski odpowiednik Trybunału Konstytucyjnego orzekł o prymacie francuskiej konstytucji nad prawem europejskim. Nie było jednak słychać o tym, by Komisja Europejska usiłowała skłonić francuski rząd, tak jak to uczyniła wobec Polski, do uznania, że to prawo europejskie dominuje nad prawem krajowym.

Publicyści komentujący widoczne zmiany poglądów zachodniej opinii publicznej, a w szczególności coraz bardziej krytyczny stosunek do liberalno-lewicowej agendy w Niemczech, Holandii, Hiszpanii czy we Włoszech i coraz większy opór wobec polityki migracyjnej zastanawiają się, czy UE czeka rewolucja. Z punktu widzenia aktualnie obowiązujących traktatów rewolucja rozumiana jako gwałtowna i radykalna zmiana nie jest potrzebna. Wystarczy powrócić do przestrzegania ustrojowych zasad ustanawiających reguły funkcjonowania Wspólnoty.

Jednym z filarów, na których wzniesiono UE, jest zapomniana w ostatnich latach zasada pomocniczości, stanowiąca hamulec mający za zadanie chronić państwa członkowskie przed nadmiernym rozszerzaniem kompetencji organów unijnych. Według art. 5 ust. 3 TUE obowiązuje zasada pomocniczości, zgodnie z którą w Unii powinny zapadać decyzje na jak najniższym poziomie, a na poziomie organów UE tylko te, które są konieczne. Działania podejmowane przez organy Unii muszą jednoznacznie zapewniać lepsze osiągnięcie zakładanych celów. Jeżeli możliwość lepszego osiągnięcia zakładanych celów na poziomie Unii nie zostanie wykazana, do regulowania danej materii właściwy pozostaje krajowy poziom.

Zasada pomocniczości służy jako kryterium regulujące wykonywanie kompetencji niewyłącznych UE. Katalog kompetencji wyłącznych Unii zawiera art. 3 TUE, zaliczając do nich: unię celną, reguły konkurencji niezbędne do funkcjonowania rynku wewnętrznego, politykę pieniężną strefy euro, zachowanie morskich zasobów biologicznych i wspólną politykę handlową. Omawiana reguła pomocniczości została wprowadzona do prawa wspólnotowego w 1987 r. na mocy Jednolitego Aktu Europejskiego w zakresie spraw dotyczących środowiska naturalnego. W 1992 r. na mocy postanowień traktatu z Maastricht zasada została zdefiniowana i rozszerzona na wszelkie polityki realizowane w ramach Unii. Celem jej ustanowienia było zapobieganie przez państwa członkowskie rozrostowi kompetencji Wspólnoty. Zasada pomocniczości miała też zapobiec nadużywaniu przez eurokratów stosowania klauzuli elastyczności (kompetencji dorozumianych), umożliwiającej Unii urzeczywistnianie celów traktatu wtedy, gdy nie zawiera on norm kompetencyjnych, upoważniających instytucje UE do działania lub gdy zawarte w nim normy kompetencyjne są niewystarczające. Traktat z Lizbony uszczegółowił procedury stosowania zasady pomocniczości przez instytucje Unii i kontroli jej przestrzegania przez parlamenty narodowe oraz przez TSUE.

Zasada pomocniczości z biegiem lat uległa deformacji w orzecznictwie TSUE, który jest formalnie zobligowany do stania na straży jej przestrzegania. „Uelastycznienie" stosowania tej zasady nastąpiło za sprawą ugruntowania w wyrokach europejskiego trybunału doktryny zajętego pola, wedle której „jeżeli w określonej dziedzinie Unia dzieli kompetencję do stanowienia prawa z państwami członkowskimi, to gdy przyjmie akt prawny, kompetencja państw członkowskich do regulowania tej sfery na szczeblu krajowym albo całkowicie wygasa, albo jej ramy wyznaczają przepisy unijne, Unia zyskuje wyłączne kompetencje".

REKLAMA

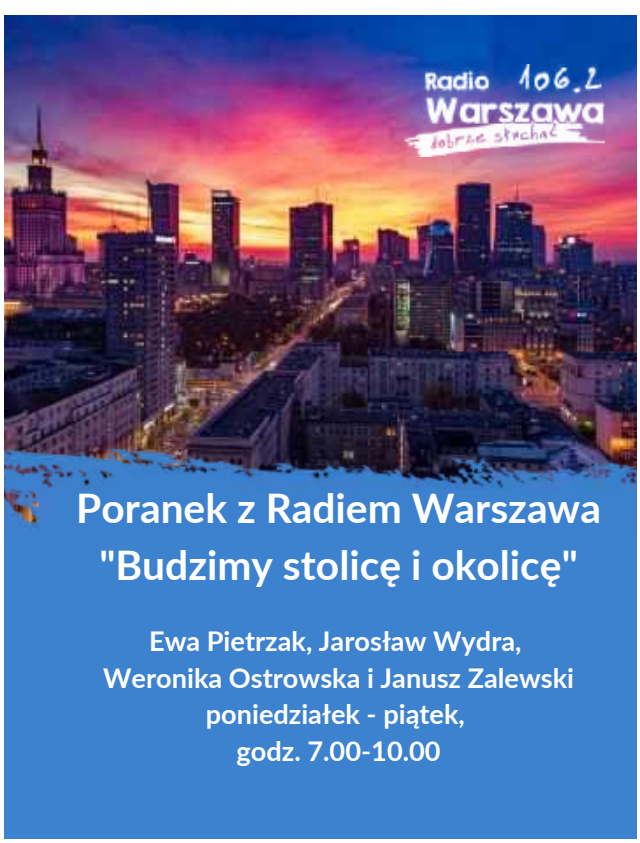

13/0524/F

eprasa.pl 17872d6a24

Walizka dr. Karola Nawrockiego

prezesa Instytutu Pamięci Narodowej

Ogólnie podróż kojarzy mi się z pracą, w drodze jestem jak robot, czego najlepszym dowodem są przedmioty, które ze sobą zabieram. Wyjazdy kojarzą mi się oczywiście też z rodzinnymi wakacjami, ale najszczęśliwszy jestem w domu, bawiąc się na dywanie z moim najmłodszym dzieckiem. Tak więc podróż wyzwala w moim umyśle głęboki psychologizm bycia na służbie, w misji, skupiam się na tym, czego nie mogę robić w biurze w Warszawie i na tym, czego nie chcę robić, gdy jestem z rodziną – bo wtedy odpoczywam. Gdy jestem zamknięty w samochodzie lub samolocie, zatapiam się w lekturze książek, rozwijając swoją wiedzę. Gdy jest okazja, trenuję, żeby przewietrzyć umysł. Podróż i obowiązki służbowe wymuszają ekwilibrystyczne treningi, dlatego w mojej podróżnej torbie zawsze znajdzie się magnezja oraz skakanka. Treningi miałem wszędzie, zaczynając od pięknej polskiej Żurawicy na Podkarpaciu przez Knurów aż po odległe miasto Meksyk czy Nowy Jork.

MAGNEZJA I SKAKANKA

Na skakance można trenować praktycznie wszędzie. Magnezja – pozwalająca na lepszy uchwyt na drążku – daje możliwość robienia ćwiczeń siłowych. Tzw. trening 300 Spartan jest dla mnie najważniejszy i w różnych miejscach stale przygotowuję się do niego mentalnie i fizycznie. Polega na przerzuceniu kilku ton ciężarów przy użyciu pięciu partii mięśni w jak najkrótszym czasie. Od trzech lat ten trening jest dla mnie ekwiwalentem boksu.

eprasa.pl 17872d6a24

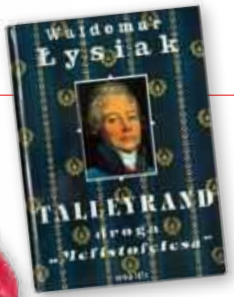

WALDEMAR ŁYSIAK

Pierwsze książki Waldemara Łysiaka dostałem od ojca. Po jednym z moich wywiadów, w którym powiedziałem, że „byłem kształtowany na boksie i Waldemarze Łysiaku", dostałem całą kolekcję książek od samego autora wraz z autografami. „Talleyrand, droga Mefistofelesa" to historia francuskiego ministra spraw zagranicznych w XVIII w. Nazwany przez Napoleona „łajnem w jedwabnych pończoszkach" był malwersantem i łapówkarzem obdarzonym niekwestionowanym dyplomatycznym talentem oraz polityczną intuicją.

SERGIUSZ PIASECKI

Dołącza do grona moich ulubionych pisarzy. Tu wielki szacunek należy się Wydawnictwu LTW, które wydało wszystkie pozycje tego autora. Żeby przetrwać w okupowanym Wilnie, główny bohater „Człowieka przemienionego w wilka" musi być nie tylko przebiegły, lecz także kierować się czymś więcej niż rozsądkiem.

BOKS

Całe życie jestem związany z boksem, swojego czasu byłem mistrzem Pomorza wagi ciężkiej juniorów. Pierwsze bokserskie kroki stawiałem z moim stryjem Waldemarem Nawrockim, który wciąż jest aktywnym trenerem tego sportu w Gdańsku.

PISMO ŚWIĘTE

Na Biblię patrzę w sposób duchowy, a także przez pryzmat ogromnej mądrości świata i instytucjonalnej siły. Ostatnio odsłuchuję ją w formie audiobooka z komentarzami dominikanina Adama Szustaka. Za każdym razem przy każdej kolejnej Ewangelii odnoszę wrażenie, że jest najważniejsza, bo odpowiada na pytania, które mnie właśnie nurtują. Wszystkim polecam też Księgę Koheleta ze Starego Testamentu, zwaną także Księgą Eklezjastesa. Daje niezbędny dystans do życia.

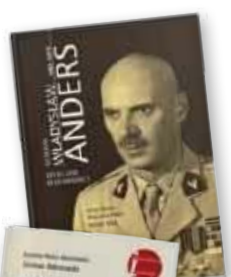

WYDAWNICTWA IPN

W czasie podróży czytam też książki zawodowo – te wydane przez Instytut Pamięci Narodowej. „Ja i moje książki – to jedno" należy do mojej ulubionej serii „Literatura i Pamięć". Jest poświęcona rozważaniom na temat literatury Zofii Kossak. Album „General Władysław Anders. Deeds and Remembrance" towarzyszy projektowi „Szlaki Nadzei. Odyseja Wolności" i jest poświęcony Andersowi, którego postać na zawsze wiąże się z exodusem naszych rodaków z nieludzkiej ziemi sowieckiej.

RYSUNEK CÓRKI

Rysunki od córki to wyraz miłości do mnie. Są dla mnie cenniejsze niż oryginalne obrazy Jacka Malczewskiego czy Olgi Boznańskiej.

SIŁA IPN

Siła IPN polega na tym, że mamy oddziały i delegatury w 16 największych miastach w Polsce, jesteśmy z naszą ofertą w całym kraju. Od początku kadencji do końca maja br. odwiedziłem 110 polskich miejscowości. Jeżeli chodzi o długość trasy, to zdarzało się, że w ciągu półtora miesiąca przejeżdżaliśmy po Polsce 12 tys. km, co daje 260 km dziennie. Głoszenie prawdy o polskiej historii w całym naszym kraju wymaga dużego wysiłku, ale daje dużo satysfakcji. Pamięć jest najważniejsza.

KINDLE

Za pomocą Kindle'a dbam o to, żeby nie oderwać się od kultury języka angielskiego i wykorzystując to urządzenie, czytam tylko książki w tym języku. Ostatnio skończyłem 900 stron biografii Aleksandra Hamiltona autorstwa Rona Chernowa.

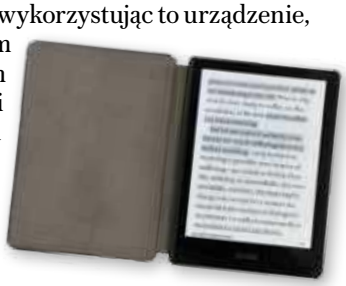

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Mikołaj Bujak, Michał Korsun, Shutterstock

eprasa.pl 17872d6a24

Uśmiech Putina

Samuel Pereira

52 europosłów – tylu polityków wybraliśmy w niedzielę na naszych reprezentantów w Parlamencie Europejskim. Kiedy ukaże się ten tekst, wynik wyborów europejskich będzie znany, ale już teraz można z całą pewnością powiedzieć, że te same „demokratyczne" frakcje, które tak krzyczały w kampanii wyborczej o złej Rosji, będą pierwsze do dogadania się z Władimirem Putinem i nowego resetu z tym krajem. Dlaczego tak twierdzę?

Wystarczy spojrzeć w przeszłość. Na to, jak zachowywali się przedstawiciele chadeków i europejskiej lewicy od 2006 r., gdy zaczęła się budowa Nord Stream I. Co robili dwa lata później, gdy Putin zaatakował Gruzję, jak zachowywali się po zamachu smoleńskim, aż w końcu jaka była ich postawa w 2014 r., gdy Rosjanie po raz pierwszy zaatakowali Ukrainę. I nie mówię tylko o tych politykach, których finansowanie rosyjskimi rublami zostało udowodnione, lecz także o ich przyjaciołach, którzy w głosowaniu w Parlamencie Europejskim w 2022 r. opowiedzieli się przeciwko potępieniu korumpowania europejskich polityków przez Putina. Może liczą na to, że i do nich kiedyś przyjdzie ruski emisariusz z sowitą ofertą współpracy? Ci sami, którzy dziś używają obrazków z wojny, żeby uderzyć w swoich adwersarzy z prawicy, pierwsi będą nawoływać do dealu z Putinem, w imię „pokoju" oczywiście. Mówiąc klasykiem: ruskiego miru, takiego, jakim rozumie go Putin.

W tym kontekście wynik wyborów staje się nie tylko walką o mandaty, lecz także o przyszłość geopolityczną Europy. Czy naprawdę chcemy, aby nasi przedstawiciele w PE wracali do starych, zgubnych schematów współpracy z Rosją? Czy jesteśmy gotowi zaakceptować politykę opartą na krótkowzrocznych korzyściach i ignorowaniu długoterminowych zagrożeń? Myślę, że dla szanownych czytelników „Sieci" odpowiedzi są oczywiste, ale czy dla wszystkich? Przecież właśnie po to niszczono archiwa TVP i skasowano setki tysięcy artykułów, zdjęć i materiałów wideo ze stron Telewizji Polskiej – żeby wymazać pamięć i napisać historię relacji z Rosją na nowo. Jedyna nadzieja w wolnych, konserwatywnych mediach, które nie pozwolą na zapomnienie. Niezależnie od tego, ile rosyjskich komisji powoła Donald Tusk.

Rośliny są najważniejsze

Z dr. Arturem Zagajewskim, znawcą minerałów i roślin, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe TVP

Uważa się pan za najbardziej rozpoznawalnego botanika w kraju?

Artur Zagajewski: Nie [śmiech]. Mimo że naprawdę spotykam się z wielką życzliwością i sympatią widzów. I na każdym kroku – niezależnie, czy jadę metrem, tramwajem, czy wyruszam poza Warszawę – zawsze odbieram bardzo miłe reakcje. Myślę jednak, że to nie ja, a rośliny są tutaj najważniejsze. Jestem tylko w roli narratora. Staram się opowiadać o nich historie tak, żeby zainteresować wiele osób. I nawet – wydawałoby się – zwykła roślina, pospolita, staje się wtedy wyjątkowa. Bo ma swoją tradycję, historię i wdzięk. Musimy tylko na nią właściwie spojrzeć.

Pewnie niejeden telewidz chciałby posłuchać pańskich opowieści bezpośrednio. Czy jest taka szansa?

Współpracuję z Ogrodem Botanicznym PAN w warszawskim Powsinie. Od czerwca ruszają „Spacery z dr. Arturem Zagajewskim", warto więc śledzić informacje z ogrodu. Można mnie też spotkać na Mazurach, w okolicach Olsztynka. Miejscowość Swaderki, blisko jeziora Maróz, jest moim królestwem. Staram się tam ładnie aranżować roślinność. Często bywam w Helu, ale jestem też zapraszany w różne inne miejsca. Ostatnio do pięknej i wyjątkowej rezydencji w Nieborowie, z najstarszymi platanami klonolistnymi.

Rośliny od początku były panu bliskie?

Zaczynałem od minerałów i skał. Skończyłem geologię na UW, potem trafiłem do SGGW i Katedry Gleboznawstwa, a następnie przyszedł czas na rośliny, które stały się moją kolejną wielką pasją i fascynacją.

eprasa.pl 17872d6a24

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁĄBĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR x4, LASKI DIFFUSION/EAST NEWS, L. SZYMAŃSKI/PAP, SHUTTERSTOCK x3

TRENDY I OWĘDY

Kabaret w likwidacji

Ryszard Makowski

Po wielu latach nieobecności kabaretonu w Opolu miał on wrócić na 61. Festiwalu Piosenki Polskiej z wielką pompą. Niestety, nadmiar szmiry i tandetnych chwytów sprawił, że był to z pewnością najgorszy kabareton w historii festiwali. Przykrym akcentem był występ Zenka Laskowika. Przez wiele lat wizytówką opolskich kabaretonów był program „Z tyłu sklepu" z 1980 r., w którym para Laskowik–Smoleń wspomagana przez grono wybitnych artystów celnie obśmiewała absurdy PRL-u. Tym razem satyryk zamiast kontynuować zwyczaje kabaretowe i śmiać się z władzy, rozprawiał się z opozycją i prezydentem: „Kici, kici, kici. Znaczy, kto ma kota, ten prawdziwy – kici, kici – Polak patriota". i „Andrzeju, Andrzeju! Naszego kraju wodzireju! Prawomocnie skazanych przyjacielu! Obudź się! Obudź się!", skandował ze sceny. Zniknęła zupełnie lekkość i finezja, za co ceniliśmy Zenka Laskowika. Został dziki amok i dziwne spojrzenie.

Co ciekawe, reakcja publiczności w amfiteatrze była bardzo przychylna. Widać utrafiono w jej poziom poczucia humoru. Kabarety telewizyjne od wielu lat są politycznym ramieniem Platformy. W tym, że twórcy kabaretowi mają swoje preferencje polityczne, nie ma niczego złego. Gorzej, gdy żarty służą wyłącznie poniżeniu konkretnych osób. Jerzy Kryszak, komik z pewnością utalentowany, wzbudza żałość, gdy przedmiotem jego kpiny jest wzrost prezesa Kaczyńskiego. Kabareton ma dostarczać radość. Ten opolski przyprawił o smutek.

Smutne, że wieloletnie, piękne tradycje kabaretowe w III RP udało się sprowadzić do miernej estradówki.

eprasa.pl 17872d6a24

Rozbrojona granica

MAREK PYZA

Zatrzymanie, kajdanki i zarzuty. Tyle dostali od państwa polskiego żołnierze, którzy – zgodnie z prawem i zdrowym rozsądkiem – użyli broni na granicy. Czy wobec tego skandalu kogoś dziwi, że wojskowi nie reagują adekwatnie ostro na zagrożenie ze strony nielegalnych migrantów? Kto ponosi polityczną odpowiedzialność za śmierć żołnierza ugodzonego nożem?

To nie miało prawa się wydarzyć. I nie wydarzyło się w ciągu niemal trzech lat ataków na polską granicę. 28 maja polski żołnierz został dźgnięty nożem przez napuszczonego przez wschodnich satrapów nielegalnego migranta. Przez dziewięć dni walczył o życie, lecz przegrał tę walkę. 6 czerwca Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych poinformowało: „Pomimo udzielonej pomocy w rejonie bandyckiego ataku na granicy z Białorusią i wysiłków lekarzy, jego życia nie udało się uratować. [...] Mateuszu, Nasz Bracie w służbie, wypełniłeś słowa roty przysięgi. Spoczywaj w pokoju".

Trzeba powiedzieć wprost: to było morderstwo żołnierza w trakcie jego służby ochrony granic Rzeczypospolitej.

Nie oszukujmy się, morderca raczej nie zostanie schwytany, choćby nawet Radosław Sikorski był gotów przekazywać Łukaszence kolejne wrażliwe informacje o białoruskich opozycjonistach (co już kiedyś miało miejsce za jego rządów w MSZ – jeszcze do tego wrócimy).

Dlaczego polski żołnierz w czasie pokoju na polskiej ziemi musiał oddać życie za ojczyznę? Jaka była w tym rola skandalicznego politycznego nadzoru nad służbami państwa? Jak bardzo przyczyniło się do tego liczone w latach podważanie konieczności ochrony granicy?

TEATR KOSINIAKA-KAMYSZA

Gdy pojawiła się informacja o śmierci żołnierza, cały kraj żył sprawą trójki mundurowych, których ściga prokuratura Adama Bodnara za to, że broniąc granicy w Dubiczach Cerkiewnych, od-

Fot. Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl 17872d6a24

dali strzały ostrzegawcze wobec bandy nachodźców. Dzień wcześniej poinformował o tym Onet, opisując, jak trzech żołnierzy zostało zatrzymanych przez Żandarmerię Wojskową z użyciem kajdanek, a dwóch usłyszało prokuratorskie zarzuty przekroczenia uprawnień i narażenia życia migrantów szturmujących granicę.

W reakcji na publikację pół godziny przed północą Władysław Kosiniak-Kamysz napisał tweeta sugerującego, że o niczym nie wiedział. Oburzał się słowami: „Zatrzymanie żołnierzy oddających strzały alarmowe w kierunku atakujących migrantów jest nie do przyjęcia. Działania Żandarmerii Wojskowej wobec zatrzymanych zostaną bezwzględnie wyjaśnione". To teatralne oburzenie, bo już kilkanaście godzin później musiał przyznać, że wiedział o sprawie od samego początku.

Dlaczego szef MON jej nie wyjaśnił, nie wyciągnął konsekwencji, a zdecydował się spuścić zasłonę milczenia, tym samym utwierdzając w przekonaniu tysiące mundurowych na granicy, że lepiej nie używać broni, bo mogą być z tego same kłopoty?

Do zdarzenia doszło 25 marca. Żołnierze usłyszeli zarzuty najprawdopodobniej 28 i 29 marca – tydzień przed wyborami samorządowymi. Czyżby skutecznie wyciszono temat, by nie zaszkodził rządzącej koalicji w lokalnej elekcji?

A skoro sprawę udało się zamieść pod dywan na tydzień, to spróbowano i na dwa miesiące.

Pomógł w tym sam minister obrony, który 22 maja przedstawiał posłom informację w sprawie stanu bezpieczeństwa RP. Długo wówczas opowiadał o planach rozwoju wojska, chwalił się kolejnymi zakupami dla armii (nie potrafił jednak poprawnie wymówić nazw kluczowych amerykańskich pocisków, o które się starał), uniżenie dziękował obrońcom granicy, ale ukrył przed Sejmem i opinią publiczną informację o skandalu w Dubiczach.

Sześć dni później musiał się mocno zastanawiać, czy wybrał dobrą drogę.

POŻAR W RZĄDZIE

28 maja w tych samych Dubiczach Cerkiewnych doszło do bezprecedensowego ataku na żołnierza 1. Brygady Pancernej. Jeden z najemników Łukaszenki, przekładając rękę przez graniczną zaporę, ugodził nożem wojskowego, który próbował blokować wyłom w płocie.

Sprawa postawiła na nogi polityków. Premier zapowiedział: „Ranny żołnierz jest pod dobrą opieką, jego rodzina także. Skierowaliśmy na granicę dodatkowe siły. Będę tam jutro z samego rana".

Następnego dnia Donald Tusk pojawia się w podlaskiej wiosce pod Hajnówką. Mówi m.in.: „Chciałbym, żeby to dotarło z całą mocą. Tu nie ma miejsca na negocjacje. Polska granica musi być chroniona. Obiektami agresji są polscy żołnierze, macie pełne prawo, czy nie powiedzieć obowiązek: używać wszystkich dostępnych wam metod". Słuchający go żołnierze nie mogli wierzyć w to pustosłowie. Doskonale pamiętali, co dwa miesiące wcześniej wydarzyło się w tym samym miejscu, gdy ich koledzy użyli „dostępnych metod" i ostrzegawczo strzelali. Oni wiedzieli, opinia publiczna jeszcze nie.

W Tuskową narrację brnie cały rząd. Również 29 maja wiceszef resortu Cezary Tomczyk gości w Radiu ZET. „Żołnierze są wyposażeni w broń i zawsze, kiedy żołnierz jest atakowany, ma prawo do użycia broni. Tak mówi prawo" – podkreśla stanowczo. Trudno przypuszczać, by wypowiadając te słowa, nie wiedział o haniebnym potraktowaniu wojskowych z Dubicz.

5 czerwca wszystko staje się jasne. Po ujawnieniu sprawy w rządzie wybucha panika. To dlatego Kosiniak-Kamysz w swoim internetowym wpisie udaje zaskoczonego.

6 czerwca obserwujemy już zaciemnianie sprawy na całego. Szef MON ucieka z konferencji prasowej po kilku pytaniach od posła Suwerennej Polski Jacka Ozdoby. Wcześniej zdążył powiedzieć: „Oczekuję natychmiastowych działań ze strony komendanta ŻW, żeby podjął natychmiastowe działania, o tym dzisiaj też z nim rozmawiałem w celu wyjaśnienia sposobu [zatrzymania żołnierzy – przyp. red.]". Dlaczego nie oczekiwał tego, gdy dowiedział się o sprawie w marcu?

Premier Tusk w klasycznym stylu odsuwa winę od samego siebie: „Odebrałem meldunek ministra obrony narodowej. Postępowanie prokuratury i Żandarmerii Wojskowej wobec naszych żołnierzy budzi uzasadniony niepokój i gniew ludzi. Oczekuję szybkich wniosków i decyzji organizacyjnych, prawnych oraz personalnych".

Szef PO wyznacza kierunek, więc zaprzyjaźnione media wiedzą, co mówić. Pojawiają się sugestie, że odpowiedzialność spadnie na MON, ewentualnie na Tomasza Janeczka, zastępcę prokuratora generalnego ds. wojskowych, jeszcze z czasów Zbigniewa Ziobry. Formalnie bowiem to on otrzymał śledztwo w sprawie żołnierzy z Dubicz do nadzoru, lecz dopiero 6 maja – długo po postawieniu zarzutów żołnierzom. Ogólne pismo wewnętrzne, jakie do niego trafiło, nie zawierało szczegółów sprawy. Janeczek wyznaczył więc prokuratora do nadzoru. Później, jak ujawnił w rozmowie z portalem wPolityce.pl, nie dostawał żadnych materiałów z tego postępowania. Został od niego odcięty.

W sprawie głos zabiera prezydent przebywający na uroczystościach rocznicy D-Day we Francji. Andrzej Duda jest zbulwersowany ukrywaniem sprawy przez ponad dwa miesiące. Zapowiada zwołanie na poniedziałek Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Media przez pół dnia donoszą o pilnej naradzie u premiera. Lecz sprawa jest tak „pilna", że naradę zaplanowano dopiero na piątek.

W serwisach społecznościowych zaczynają krążyć doniesienia o sztucznym podtrzymywaniu przy życiu rannego żołnierza w warszawskim szpitalu, by nie psuć kampanii wyborczej. Była minister zdrowia Katarzyna Sójka pyta o to samego premiera.

Wreszcie 7 czerwca Donald Tusk ogłasza, że kozłem ofiarnym w tej sprawie będzie Tomasz Janeczek. Jego odwołanie (jeśli zgodzi się na nie prezydent) to kpina, bo ten prokurator naprawdę ma niewiele wspólnego z tą sprawą. Nadzorcą śledztwa wobec żołnierzy (z ust premiera nie padł żaden komentarz o absurdalności postępowania i stawianych zarzutów) zostanie zaś bezprawnie powołany przez Tuska prokurator krajowy (do tej nominacji premier jakoś nie potrzebował zgody głowy państwa, choć prawo wyraźnie o niej mówi).

Szef rządu wybrał więc pełną ochronę swoich ludzi i dalsze krycie grandy z poniewieraniem obrońców granic.

eprasa.pl 17872d6a24

MIŃSK OBSERWUJE

Tragedia z 28 maja i marcowy skandal to konsekwencje polityki, którą rządzący dziś obóz uprawia od 2021 r. Dowodzą, że wzniosłe słowa jego polityków o wsparciu dla żołnierzy są picem.

Żandarmeria została wezwana do mundurowych z Dubicz przez strażników granicznych. Czyżby był to efekt działań ministra Kierwińskiego, który zaraz po objęciu urzędu szefa MSWiA już 15 grudnia zapowiedział przeprowadzenie audytu we wszystkich podległych mu służbach – również w Straży Granicznej – także w kontekście działań na granicy? Wtedy polski rząd nawet w warstwie retorycznej był bardziej po stronie Agnieszki Holland i Łukaszenki niż polskiego munduru.

Niepokojąca jest jeszcze jedna korelacja. W pierwszych tygodniach rządów koalicji 13 grudnia fala migracyjna wyraźnie osłabła. SG notowała dziennie po kilka prób przedostania się „turystów" Łukaszenki. Po tym, jak zatrzymano żołnierzy za salwę ostrzegawczą, rzeczywistość radykalnie się zmieniła. W ostatnich dwóch miesiącach mamy do czynienia ze zwiększoną częstotliwością i brutalizacją ataków. Czy miński dyktator wzmógł presję, bo wiedział, że Polacy będą się bali ostro reagować, a jeśli zareagują zbyt mocno, to polska prokuratura będzie stawiać żołnierzom zarzuty?

Mało tego, 15 kwietnia prokuratura w Siedlcach wszczyna śledztwo po zawiadomieniu od „dziennikarza i aktywisty" o złym traktowaniu migrantów przez polskie służby. Dwa dni później prokurator regionalny w Lublinie powołuje specjalny zespół do ścigania wszystkich podejrzanych „zachowań funkcjonariuszy podejmowanych wobec cudzoziemców, którzy przekroczyli granicę białorusko-polską". Podwładni Bodnara rozkręcają się w ściganiu obrońców granic.

Żołnierze z Dubicz podczas interwencji prowadzonej wobec migrantów narazili ich na niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia – zawyrokowała 6 czerwca w oświadczeniu Prokuratury Generalnej jej rzecznik Anna Adamiak. W rozmowie z Polsat News postawiła też kolejny zarzut. Odpowiadając na pytanie o powody zakazu kontaktowania się pomiędzy nimi, stwierdziła: „Ten środek zabezpieczający wynikał nie z przedstawienia nieprawdziwej wersji przez żołnierzy, lecz uzgadniania wspólnej wersji jak najbardziej wygodnej dla siebie. A to forma matactwa". Jednocześnie odmówiła odpowiedzi na pytanie, jaka w takim razie była wersja żołnierzy.

Mundurowi nie mogą więc kontaktować się ze sobą, nie mogą publicznie opowiadać o tej sprawie, ale pańcia z prokuratury, wywindowana na rzeczniczkę prokuratora generalnego, może wieszać na nich psy, oskarżać o nieprawidłowe użycie broni, narażenie zdrowia migrantów i mataczenie w sprawie.

> Tragedia z 28 maja i marcowy skandal to konsekwencje polityki, którą rządzący dziś obóz uprawia od 2021 r. Dowodzą, że wzniosłe słowa jego polityków o wsparciu dla żołnierzy są picem

Przypomnijmy, że w 2011 r. wszczęto wobec tej prokurator sprawę dyscyplinarną. Był to efekt skandalicznego postępowania (Adamiak była jego referentem), w wyniku którego polscy śledczy przystali na wniosek o pomoc prawną z Białorusi i przekazali służbom Łukaszenki dane o przepływach na kontach Alesia Bialackiego. Dzięki tym informacjom białoruski opozycjonista został aresztowany. Nie wydarzyłoby się to, gdyby Adamiak nie zignorowała zalecenia prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta i nie skierowała białoruskiego wniosku do realizacji. Bialacki przesiedział prawie trzy lata w kolonii karnej. W 2021 r. ponownie został skazany pod sfingowanymi zarzutami. Wyrok: kolejne 10 lat w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Siedzi do dziś. I dla reżimu Łukaszenki nie miało znaczenia, że w międzyczasie został uhonorowany Pokojową Nagrodą Nobla.

Można dojść do wniosku, że sędzia Tomasz Szmydt nie był jedynym wysoko postawionym polskim prawnikiem, którego działalność jest cenna dla białoruskich służb.

PRZEPISY DO ZMIANY?

Mamy do czynienia z niewyobrażalnym skandalem, po którym powinny się posypać dymisje na czele z premierem, który w wyjątkowy sposób przyłożył się do osłabienia obrony granicy. Zamiast tego obóz rządzący i jego zaplecze medialne szybko zaczęli apelować, by tragedia z Dubicz Cerkiewnych nie pogłębiała wojny polsko-polskiej, bo na tej najbardziej zależy Putinowi i Łukaszence oraz aby stworzyć prawo pozwalające żołnierzom na używanie broni bez obaw, że zostaną za to pociągnięci do odpowiedzialności.

Tyle że takie prawo istnieje. Ustawa o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej w art. 45 jasno stanowi, że można jej użyć m.in., gdy zachodzi „konieczność odparcia bezpośredniego, bezprawnego zamachu na: [...] nienaruszalność granicy państwowej przez osobę, która wymusza przekroczenie granicy państwowej przy użyciu pojazdu, broni palnej lub innego niebezpiecznego przedmiotu".

To wypisz wymaluj dubicki przypadek. Sprawa wydaje się więc jasna i absolutnie nie uzasadnia wszczęcia śledztwa. Dlaczego stało się inaczej? Czy to tylko nadgorliwość poszczególnych funkcjonariuszy, prokuratorów? A może coś więcej? Czy ktoś bezwzględnie gra na głębszą destabilizację, chaos graniczny i osłabienie zdolności państwa do odparcia ataku?

Informacja o zatrzymaniu żołnierzy i postawieniu im prokuratorskich zarzutów za strzały ostrzegawcze lotem błyskawicy rozeszła się po forach, z których korzystają nielegalni migranci, planując swoje podróże do Unii Europejskiej. Nie trzeba wiele wyobraźni, by się zorientować, jaki będzie tego efekt w najbliższym czasie. Żołnierze będą częściej i brutalniej atakowani, częściej będą rozważać sięgnięcie po broń i pewnie rzadziej będą się na to decydować.

Minęło zaledwie pół roku rządów nowej ekipy, a już jak na dłoni widać, jakie stanowią one zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa.

eprasa.pl 17872d6a24

Cyniczna gra naszym bezpieczeństwem

Wbrew pozorom stosunek Donalda Tuska do kryzysu na wschodniej granicy wcale się nie zmienił. I kiedyś, i dziś chodzi mu dokładnie o to samo – jak wykorzystać istniejące napięcie do walki z PiS

Fot. KPRM

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wojna hybrydowa na granicy z Białorusią trwa od późnego lata 2021 r. Z perspektywy blisko trzech lat można zauważyć, że ataki na granicę mają charakter cykliczny – w pewnych okresach jest ich mniej, a w innych zauważalnie więcej. Być może wynika to z jakichś planów Moskwy, pewne znaczenie mogą mieć również warunki pogodowe.

W tej chwili z pewnością mamy do czynienia z wyraźną eskalacją napięcia. W krótkim czasie doszło bowiem do brutalnych napaści na żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej. W czwartek zmarł żołnierz pchnięty przez imigranta nożem przytwierdzonym do kija, z kolei tydzień temu strażnik graniczny doznał złamania podstawy czaszki po tym, jak imigranci rzucili w niego ciężkim konarem drzewa.

Nasze służby graniczne codziennie są narażone na ataki. W każdej chwili może więc dojść do kolejnej tragedii. Prawdopodobnie właśnie o to chodzi Moskwie, która chce sprowokować Polaków do użycia broni. Zabity imigrant na granicy, albo i kilku, to wymarzony scenariusz. A gdyby jeszcze doszło do strzelaniny z białoruskimi pogranicznikami? Kto wie, jaki plan się za tym kryje.

Obecny rząd panicznie boi się takiego rozwoju wydarzeń. To pewnie dlatego, jak doniósł Onet, kilka tygodni temu zatrzymano trójkę żołnierzy, którzy oddali strzały ostrzegawcze w kierunku

eprasa.pl 17872d6a24

napierających imigrantów. Owszem, niekontrolowana eskalacja byłaby groźna, ale żołnierze muszą mieć prawo do użycia broni, w przeciwnym razie ich obecność na granicy nie ma większego sensu.

Jednak Donald Tusk wielokrotnie pokazywał, że interes państwa nie jest dla niego głównym kryterium oceny wydarzeń. Równie ważny, o ile nie ważniejszy, jest dla niego interes własny. To taki rodzaj kombinatorstwa wyrażający się w pytaniu: co mógłbym z tego ugrać dla siebie i dla swojego środowiska politycznego? Dlatego Tusk, jeszcze rok temu lejący łzy nad ciężkim losem imigrantów, po zmianie władzy przeszedł gwałtowną metamorfozę i wcielił się w rolę obrońcy Polski przed nawałą ze Wschodu. Towarzyszy temu intensywna propaganda pokazująca PiS jako ekspozyturę rosyjskich interesów w naszym państwie. Jesteśmy zagrożeni podwójnie – głoszą propagandyści Tuska – zza wschodniej granicy oraz tu, w kraju, gdzie mamy piątą kolumnę w postaci PiS.

Wyborcy Platformy mają kurzą pamięć, więc łatwo im wmówić, że ich lider od zawsze walczył z Moskwą. W rzeczywistości Tusk walczy wyłącznie z PiS. I wszystko – w tym także zagrożenie ze Wschodu – podporządkowywał tej walce.

NAJWIĘKSZY WRÓG

Dziś Tusk alarmuje, że naszą granicę atakują „zorganizowane grupy młodych mężczyzn, 18–30 lat, bardzo agresywnych". „Dostaliśmy potwierdzenie, i to jest niepokojący scenariusz, że presja na wschodnią granicę Polski to nie jest spontaniczna migracja ludzi, którzy uciekają z różnych krajów. Ponad 90 proc. tych, którzy przekraczają polską granicę nielegalnie, to ludzie dysponujący rosyjskimi wizami" – powiedział Tusk po posiedzeniu rządu 21 maja. Później opowiadał jeszcze dziennikarzom, że imigranci przybywają drogą lotniczą do Moskwy, skąd „w sposób zorganizowany, transportem kołowym lub kolejowym, trafiają na Białoruś". „Nie mamy żadnych wątpliwości, to fakty zgromadzone także przez nasze służby: to państwo rosyjskie stoi za organizacją rekrutacji, transportu, a później prób przemytu tysięcy ludzi" – podzielił się swoim odkryciem.

Oczywiście Tusk wiedział o tym od samego początku, tj. od jesieni 2021 r. Wtedy jednak wolał grać w innej drużynie i atakować ówczesny rząd za obronę wschodniej granicy. Bo za swojego głównego wroga zawsze uważał PiS. Moskwa była wtedy nieistotna, znajdowała się na dalszym planie.

Na samym początku kryzysu granicznego, podczas Campusu Polska Przyszłości w sierpniu 2021 r., Tusk stwierdził, że władza PiS przekroczyła „granicę podłości". „Ten kryzys na granicy, kilkadziesiąt osób tam koczujących, to jest problem do rozwiązania w kilkanaście godzin" – mówił. „Z jednej strony mamy Łukaszenkę, z drugiej strony mamy Kaczyńskiego. Jeden i drugi ma swój interes w tym, żeby takie kryzysy wywoływać. Jeden chce destabilizować Polskę i Unię Europejską, a drugi chce podsycać lęk, strach, poczucie niepewności i demonstrować tę swoją wolę ochrony granicy. To z samej swojej istoty podłe zachowanie. Bo stawką jest życie i zdrowie tych zupełnie niewinnych ludzi" – mówił Tusk o imigrantach szturmujących polską granicę.

Dziś mówi tak: „Nie mamy tutaj do czynienia z azylantami, mamy do czynienia z zorganizowaną, bardzo sprawną akcją łamania polskiej granicy i prób destabilizacji państwa". To niemal dokładne powtórzenie argumentacji rządu PiS, który od początku kryzysu wskazywał, że zmagamy się z wojną hybrydową na polskiej granicy. Wtedy jednak Tusk atakował Prawo i Sprawiedliwość, twierdząc, że imigranci to „biedni ludzie, którzy szukają swojego miejsca na ziemi i nie trzeba robić takiej obrzydliwej, ponurej propagandy wymierzonej w migrantów, bo to są ludzie, którzy potrzebują pomocy".

RĘKA W RĘKĘ

Gdy Polska odpierała kolejne szturmy na wschodnią granicę, wokół Tuska zmobilizowano wielką armię ludzi. Jej zadaniem nie była jednak obrona naszego kraju, lecz walka z ówczesnym rządem PiS. Nie przejmowano się tak jak dziś zagrożeniem ze strony Moskwy, lecz dokładano własną, i to całkiem solidną, cegiełkę do destabilizacji państwa.

Wszyscy pamiętamy szaloną eskapadę posła KO Franciszka Sterczewskiego, który biegł z „pomocą" dla imigrantów. Przed nielegalnym przekroczeniem granicy i poważnymi kłopotami uratowała go jednak krowia kupa, na której nieszczęśnik poślizgnął się i wyrżnął jak długi. Byli też posłowie Szczerba i Joński, którzy w wyprasowanych koszulkach i wyglancowanych bucikach maszerowali z jakimiś kartonami w stronę granicy, skąd przegoniła ich Straż Graniczna. Snująca głupawe wywody Klaudia Jachira czy wreszcie Marta Lempart, która także ściągnęła wówczas na granicę, zapewne po to, aby kogoś stamtąd „wyp...dolić", już tylko dopełniają żałosnego obrazu cyrku urządzonego na oczach całej Polski przez ówczesną opozycję.

Trudno było zrozumieć, czy ci ludzie byli aż tak głupi, że nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji, czy też cynicznie wykorzystywali hybrydowy atak na Polskę do rozgrywki z pisowskim rządem. Politycy, którzy dzisiaj walczą z „rosyjską piątą kolumną", są kompletnie niewiarygodni, bo przecież wówczas brali czynny udział w spektaklu wyreżyserowanym w Moskwie. Ich antypisowska obsesja (połączona niekiedy z najzwyklejszą głupotą) otwarcie zagroziła bezpieczeństwu państwa. Stanęli bowiem wtedy w jednym szeregu z białoruskimi i rosyjskimi służbami. Za mocne twierdzenie? Niekoniecznie, jeśli przypomnimy sobie ataki ówczesnej opozycji na służby państwa polskiego.

Funkcjonariusze Straży Granicznej dobrze pamiętają wiadra pomyj, które wylewano na ich głowy tylko dlatego, że wykonywali swoje obowiązki. W szczególności powinni pamiętać Władysława Frasyniuka, który nazwał ich publicznie „watahą psów" i „śmieciami". Była też nieszczęsna Janina Ochojska, która zasłynęła porównaniem SG do hitlerowców i NKWD. „Mam nadzieję, że kiedyś ludzie ze Straży Granicznej odpowiedzą za łamanie prawa i tortury zadawane niewinnym ludziom. Opisy takich czynów czytałam w relacjach osób, które przeżyły II wojnę światową. Wzorce z katów niemieckich i sowieckich" – tak brzmiały słowa działaczki KO. Dziś Tusk najwyraźniej wstydzi się swojej koleżanki, bo jego partia nie wzięła jej na listy wyborcze do Parlamentu Europejskiego. Warto też przypomnieć sobie wynurzenia Bartosza Wielińskiego z „Gazety Wyborczej", który wzywał żołnierzy i SG do odmowy wykonywania „przestępczych rozkazów".

Wisienką na tym torcie były prymitywne bluzgi celebrytki Barbary Kurdej-Szatan, która nazwała strażników granicznych mordercami. Nie przeszkodziło jej to jednak w dalszej karierze.

eprasa.pl 17872d6a24

POŻYTECZNI IDIOCI

Wydawałoby się, że ludzie atakujący w taki sposób funkcjonariuszy własnego państwa w sytuacji, w której to państwo jest poważnie zagrożone, powinni raz na zawsze zniknąć nam z oczu. Powinni się kajać i przepraszać bez końca. Jednak nic takiego się nie stanie, bo większość z nich to ludzie bez klasy i honoru, karierowicze lub zwykli głupcy, którymi instrumentalnie posłużył się Tusk. On sam również nie ma sobie nic do zarzucenia. Nie minęły bowiem nawet trzy lata od tamtych wydarzeń i dziś premier bez najmniejszego zażenowania występuje w obronie SG. „W każdej sytuacji chcę, żebyście wiedzieli, że Polska i my jesteśmy po waszej stronie" – zapewnił funkcjonariuszy podczas niedawnej wizyty na granicy. Ciekawe, co na to odpowie była rzeczniczka SG Anna Michalska, którą po objęciu władzy przez Tuska wyrzucono z pracy za to, że skrupulatnie i sumiennie relacjonowała wydarzenia na granicy, obnażając przy okazji kłamstwa i manipulacje pożytecznych idiotów Kremla opowiadających bajki o Ibrahimie, który przez sześć dni pływał w Bugu.

W tych wulgarnych atakach najgorsze było podważanie zaufania Polaków do własnego państwa i jego instytucji oraz wywieranie psychicznej presji na funkcjonariuszy państwowych, aby osłabić ich morale – dokładnie o to samo chodziło kremlowskim inspiratorom hybrydowej agresji.

Teraz Tusk buduje wielkie fortyfikacje na wschodniej granicy. Czy można jednak wierzyć w jego słowa, skoro niespełna trzy lata temu kpił z budowy zapory granicznej? „Postawią mur i płot, i jeszcze jeden mur, i jeszcze najlepiej, żeby prąd elektryczny podłączyć pod to ogrodzenie" – mówił w listopadzie 2021 r., gdy ówczesny rząd podjął decyzję o postawieniu bariery granicznej.

Płot wówczas przeszkadzał, bo powstrzymywał napór hord nasłanych przez Moskwę na polską granicę. Tymczasem ówczesnej opozycji zależało najwyraźniej na pogłębieniu kryzysu i dalszej eskalacji, bo osłabiało to znienawidzony pisowski „reżim". Bartosz Kramek z Fundacji Otwarty Dialog proponował nawet – oczywiście na łamach „Gazety Wyborczej" – zerwanie zasieków postawionych przez polski rząd na granicy.

To wtedy wymyślono wspomnianą bajkę o Ibrahimie w Bugu, a liberalne media były pełne opowieści o całych rodzinach imigrantów rzekomo umierających w przygranicznym lesie. Katarzyna Piekarska histeryzowała w Sejmie nad losem dzieci z Michałowa, które prawdopodobnie nigdy nie istniały, a Iwona Hartwich – również z PO – domagała się wpuszczania imigrantów jak leci („kim są, ustali się później"). Maja Ostaszewska, znana wcześniej z obrony wigilijnych karpi, sfotografowała się nawet z bucikiem zgubionym jakoby przez małego Somalijczyka.

Dwa lata później wyszło na jaw, że mieliśmy do czynienia z propagandowym fałszem „Wydaje mi się, że nie wiemy o żadnym udokumentowanym przypadku śmierci dziecka na polskiej granicy. Nie oznacza to oczywiście, że takich nie było, chociażby po drugiej [białoruskiej] stronie granicy i że nie powinniśmy mówić o takim ryzyku – ale póki co dyskutowaliśmy z wielkim oburzeniem o dziecku, które nie istniało" – przyznała Małgorzata Tomczak w swoim artykule na łamach „Wyborczej".

Ważny szczegół. Artykuł ukazał się już po ostatnich wyborach parlamentarnych, gdy było wiadomo, że Tusk wraca do władzy. Narracja w sprawie granicy zaczęła się więc zmieniać.

> Tusk zawsze wiedział, że mamy do czynienia z zaplanowanym w Moskwie atakiem hybrydowym. Jednak dopóki rządził PiS, kryzys na granicy był mu na rękę. Teraz jest odwrotnie

ELASTYCZNY JAK TUSK

Pytanie, dlaczego Tusk zmienił swój stosunek do sytuacji na granicy, może mieć kilka niewykluczających się wzajemnie odpowiedzi.

Przede wszystkim po odsunięciu PiS od władzy problem granicy stał się problemem jego rządu. Ci, którzy tak jak Agnieszka Holland myśleli, że po objęciu władzy Tusk otworzy granicę, są albo bardzo naiwni, albo nie nadążają za mądrością etapu. Premier nie jest idiotą i zawsze wiedział, że mamy do czynienia z zaplanowanym w Moskwie atakiem hybrydowym. Jednak dopóki rządził PiS, kryzys na granicy był mu na rękę, teraz jest odwrotnie. Dlatego obecny rząd niemal bez korekt przyjął w sprawie granicy linię swoich poprzedników. „Nie klaskałem na filmie Agnieszki Holland" – zapewniał były już minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński.

Co więcej, w Europie zmienia się klimat polityczny wokół imigracji. Unijna oligarchia czuje się zagrożona wzrostem popularności sił antyimigranckich i w obronie swojej władzy jest gotowa zahamować napływ azylantów. Nie zależy jej więc na otwieraniu granic, zwłaszcza że mogłoby to zaszkodzić politycznym przyjaciołom z PO. Dla nikogo nie jest też tajemnicą, że zdecydowana większość imigrantów szturmujących polską granicę chce przedostać się do Niemiec, a Berlin zdecydowanie sobie tego nie życzy. A Tusk, mówiąc eufemistycznie, bardzo liczy się z niemiecką opinią.

Tusk postanowił też wykorzystać kryzys graniczny do kreacji wizerunkowej mającej go pokazać jako wojennego przywódcę i jedynego gwaranta bezpieczeństwa Polaków. Napięcie na granicy ciągle jest dla niego instrumentem walki z PiS. Jednak o ile wcześniej kryzys pomagał mu w atakach na ówczesny rząd, który „bezpodstawnie" podsycał wśród ludzi „lęk, strach i poczucie niepewności", o tyle dzisiaj zagrożenie ze Wschodu jest wykorzystywane do walki z pisowską opozycją, przedstawianą jako ekspozytura rosyjskich interesów w Polsce.

W gruncie rzeczy stosunek Tuska do sytuacji na granicy wcale się nie zmienił. I kiedyś, i dziś chodzi mu dokładnie o to samo – jak wykorzystać istniejące napięcie do walki z PiS. A to oznacza, że w zależności od sytuacji politycznej jeszcze wiele razy może zmieniać swoją taktykę.

eprasa.pl 17872d6a24

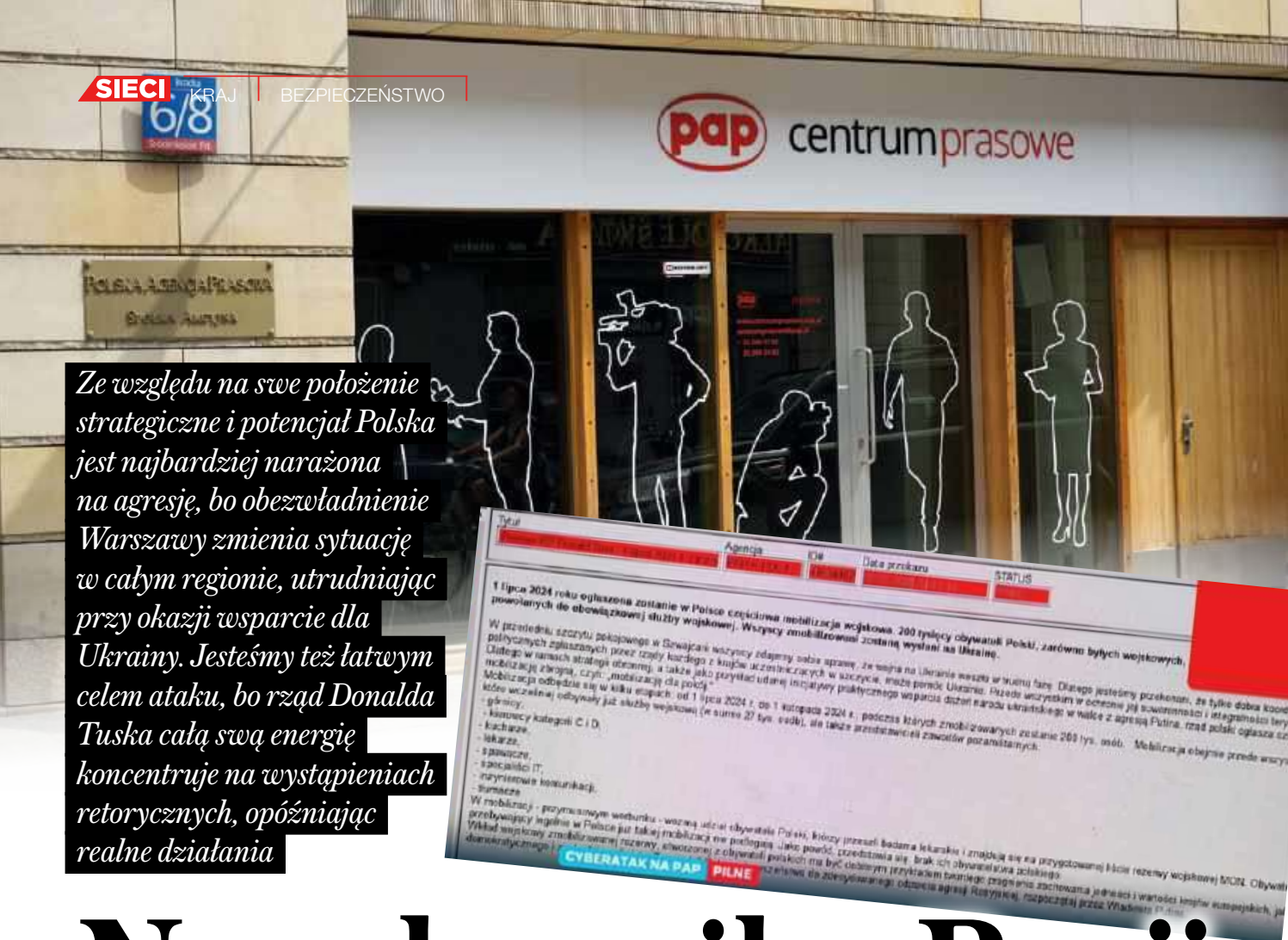

Ze względu na swe położenie strategiczne i potencjał Polska jest najbardziej narażona na agresję, bo obezwładnienie Warszawy zmienia sytuację w całym regionie, utrudniając przy okazji wsparcie dla Ukrainy. Jesteśmy też łatwym celem ataku, bo rząd Donalda Tuska całą swą energię koncentruje na wystąpieniach retorycznych, opóźniając realne działania

Na celowniku Rosji

MAREK BUDZISZ

Pod koniec maja w serwisie Polskiej Agencji Prasowej pojawiła się depesza, później uznana za efekt najprawdopodobniej rosyjskiego ataku hakerskiego, w której informowano, że 1 lipca w naszym kraju zostanie przeprowadzona mobilizacja 200 tys. osób. W wypowiedzi przypisywanej premierowi Tuskowi znalazła się też informacja, że zmobilizowani obywatele Rzeczypospolitej zostaną wysłani na Ukrainę, której w związku z jej trudną sytuacją należy pomóc.

Jest rzeczą zdumiewającą, że mimo przeszło dwóch lat wojny główna państwowa agencja informacyjna nie dysponuje skutecznymi zabezpieczeniami na wypadek tego rodzaju incydentów. Jest to tym bardziej niepokojące, że komunikat ukazał się dwukrotnie, bo po jego usunięciu został nie wiadomo przez kogo ponownie umieszczony w serwisie, a rzecznicy służb specjalnych ograniczyli się do oświadczeń, że „sprawa zostanie wyjaśniona".

ZASTRASZANIE

Nie czekając na wyniki oficjalnych dochodzeń, spróbujmy wyjaśnić, co się dzieje i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w najbliższym czasie będziemy mieć do czynienia z większą liczbą takich incydentów. W tym konkretnym przypadku zadziałały zapewne rosyjskie służby specjalne i powiązane z nimi grupy hakerskie. Od pewnego czasu Moskwa buduje bowiem narrację, że zaangażowanie wojsk państw NATO na Ukrainie jest przesądzone, a to oznacza śmierć wysłanych tam żołnierzy i perspektywę rozlania się wojny na kolejne kraje.

Zachodnia prasa niemal codziennie informuje o incydentach we Francji z podobnym „przesłaniem". Trzy dni po tym, jak zaatakowano stronę PAP, przed wieżą Eiffela w Paryżu znaleziono pięć trumien. Wszystkie były przepasane trójkolorowym sztandarem, na którym umieszczono napis „Francuski żołnierz na Ukrainie", co w oczywisty sposób stanowiło odwołanie do oficjalnego ceremoniału pogrzebów wojskowych. Jak się okazało, trumny te przywiózł do francuskiej stolicy bezrobotny Bułgar,

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 17872d6a24

któremu pomogli w ich przeniesieniu Niemiec i Ukrainiec. Nie znali się wcześniej, do Paryża przyjechali oddzielnie i zostali zwerbowani na potrzeby tej misji przez agentów rosyjskiego wywiadu. Jej celem, podobnie jak w przypadku depeszy PAP, jest przekonanie obywateli państw Zachodu, że wysłanie nawet ograniczonego kontyngentu wojskowego na Ukrainę oznacza pewną śmierć żołnierzy, którzy się tam pojawią. Mówią o tym zresztą oficjalnie przedstawiciele rosyjskiego reżimu – zarówno Putin przekonujący o tym, że Moskwa uzna atakowanie „zagranicznych instruktorów" za uzasadnione, jak i Ławrow, który sformułował podobny komunikat, przebywając w stolicy Republiki Kongo.

Podjęta przez Moskwę próba zastraszenia społeczeństw państw, o których mówi się, że są gotowe wysłać swych żołnierzy na Ukrainę, pokazuje nie tylko to, czego Kreml boi się najbardziej, ale oddala również perspektywę zakończenia wojny. Jeśli bowiem poważnie myśleć o pokoju, to elementem ewentualnego porozumienia będzie musiało być wysłanie międzynarodowych sił rozjemczych, jak stało się w Jugosławii, a to oznacza, iż zniechęcenie społeczeństw państw Zachodu do wykonania tego kroku daje Moskalom więcej czasu na złamanie oporu Kijowa. A Putin nadal jest zdania, że czas pracuje na korzyść Rosji.

WSTĘP DO WOJNY CZY JUŻ WOJNA?

Atak hakerski na PAP ujawnia jeszcze dwie tendencje. Otóż ta forma zorganizowanej i kierowanej agresji ze strony Rosji będzie się nasilać, a agenci moskiewskich służb specjalnych penetrują i wykorzystują w tym celu środowiska kryminalnej oraz zorganizowanej przestępczości. Europę zalewa właśnie fentanyl, który sieje spustoszenie w Stanach Zjednoczonych. Syria reżimu Asada przekształciła się w wielkie centrum produkcji narkotyków syntetycznych, a już od lat wiadomo, że reżim Maduro w Wenezueli czerpie zyski z handlu kokainą. Istnieją setki dowodów na to, że ze wszystkimi tego rodzaju operacjami powiązani są agenci rosyjskich służb specjalnych, a nawet najwyżsi rangą przedstawiciele władz.

Wróćmy jednak do ataków hakerskich, które w ostatnim czasie stały się na tyle intensywne, że skłoniły adm. Bauera, kierującego obecnie komitetem wojskowym NATO, do złożenia wymownego oświadczenia. Na konferencji Shangri-La, która odbywała się w Singapurze na przełomie maja i czerwca, powiedział, mając na myśli perspektywę wybuchu wojny, że „możemy zacząć z powodu cyber ataków". W jego opinii jeśli infrastruktura krytyczna, systemy zaopatrzenia w media, żywność, energetykę i łączność zaatakowanego kraju zostaną sparaliżowane, to wystąpią przesłanki do aktywowania art. 5. Bauer wie, co mówi, bo sytuacja robi się poważna.

> Nasilenie ataków cybernetycznych na państwa Zachodu źle wróży naszemu bezpieczeństwu. Jeśli przeciwnikowi uda się sparaliżować służby państwowe, zniechęcić do walki żołnierzy, wystraszyć i podzielić społeczeństwo, wówczas wystarczy „operacja specjalna", która co prawda nie przyniosła efektu na Ukrainie, ale nie oznacza to, że nie uda się gdzie indziej

Na początku maja Grant Shapps, brytyjski minister obrony, poinformował o największym ataku hakerskim na serwery resortu. W jego wyniku wykradziono dane osobowe, w tym numery rachunków bankowych zarówno żołnierzy w służbie czynnej, jak i rezerwistów. Mowa jest nawet o danych 300 tys. osób. Shapps ujawnił też, że zdaniem śledczych za tą operacją stoją służby chińskie, podobnie jak za próbą wykradzenia danych 50 mln wyborców w Wielkiej Brytanii, która została ujawniona w marcu br. Nie wyklucza to jednak hipotezy, w świetle której służby specjalne państw rewizjonistycznych kształtującej się właśnie „osi zła", w której skład oprócz Rosji i Chin mają też wchodzić Iran, Korea Północna i wiele mniejszych państw w rodzaju Syrii czy Wenezueli, współpracują ze sobą, wymieniając się informacjami.

Hipoteza ta staje się bardziej prawdopodobna, jeśli prześledzi się aktywność rosyjskich służb, zwłaszcza związanych z cybersegmentem, wymierzoną w brytyjskich żołnierzy znajdujących się w Estonii. W związku z NATO-wskimi ćwiczeniami Steadfast Defender w tym bałtyckim kraju znalazło się 16 tys. brytyjskich żołnierzy, którzy, jak powiedział dziennikowi „The Times" płk Grant Brown, „stali się celem dla Rosjan". Nie chodzi tylko o to, że śledzą oni pozycje prywatnych telefonów komórkowych, co skłoniło zresztą dowództwo do wydania oficjalnego zakazu posługiwania się nimi, ale również starają się przechwycić znajdujące się w nich dane osobiste. „Musimy się spodziewać, że rosyjscy agenci będą tam przeprowadzać wobec nas elektroniczną inwigilację" – powiedział Brown, uzasadniając podjętą decyzję i dodał, że właśnie „dlatego zastosowane przez nas środki mają na celu ochronę nas wszystkich".

UDERZYĆ W CZUŁE PUNKTY

W dobie komputerów kwantowych i rosnących zdolności do przetwarzania olbrzymich baz danych zdobywanie informacji osobowych jest jednym z elementów przygotowania się do agresji, od tej prowadzonej poniżej art. 5 po otwartą wojnę kinetyczną. O tym, że zdobywanie danych osobowych jest jednym z głównych zadań rosyjskiej agentury, świadczy choćby niedawne aresztowanie urzędnika stanu cywilnego warszawskiego ratusza, który miał dostęp do baz danych obywateli Polski i tych, którzy mają prawo pobytu u nas, w tym potencjalnie podatnych na szantaż obywateli Ukrainy.

eprasa.pl 17872d6a24

Nie chodzi tylko o możliwość budowania fałszywych tożsamości czy „legend" przysyłanych do nas agentów, bo to Rosjanie robili zawsze i robią nadal. Problem jest poważniejszy, bo współczesna technika obliczeniowa umożliwia zbudowanie „elektronicznego obrazu" każdego obywatela państwa, które wzięło się na muszkę, w tym przede wszystkim żołnierzy i funkcjonariuszy. Nasi rywale strategiczni, mając dostęp do danych, opinii przełożonych, informacji kredytowych i rachunków bankowych, śledząc aktywność w sieciach społecznościowych, są w stanie nie tylko wytypować tych, których można próbować pozyskać, lecz także planować na masową skalę operacje demoralizowania, zastraszania czy szantażowania żołnierzy.

Wyobraźmy sobie sytuację, kiedy funkcjonariusze i żołnierze wysłani w rejon potencjalnego zagrożenia zaczynają nagle dostawać na swe telefony komórkowe informacje o tym, że „my wiemy", gdzie przebywa twoja żona i dzieci, jakie mogą ich spotkać „przygody" czy jak wygląda spłata kredytów i ogólnie sytuacja materialna każdego, kto nosi mundur. Polska pod tym względem jest szczególnie zagrożona, bo np. dane na temat rachunków bankowych żołnierzy, w tym operatorów sił specjalnych, nie są w żaden sposób chronione. Daje to nieograniczone możliwości przeciwnikowi, który będzie szukał naszych słabych stron.

Jürgen-Joachim von Sandrart, niemiecki generał dowodzący NATO-wskim korpusem, którego dowództwo mieści się w Szczecinie, powiedział „Sueddeutsche Zeitung": „Naiwnością jest sądzić, że konflikt musi być prowadzony wyłącznie militarnie". Jeśli przeciwnikowi uda się sparaliżować służby państwowe, zniechęcić do walki żołnierzy, wystraszyć i podzielić społeczeństwo, wówczas wystarczy „operacja specjalna", która co prawda nie przyniosła efektu na Ukrainie, ale nie oznacza to, że nie uda się gdzie indziej.

NIEBEZPIECZNE ZANIEDBANIA

Ze względu na swe położenie strategiczne i potencjał Polska jest najbardziej narażona na agresję, bo obezwładnienie Warszawy zmienia sytuację w całym regionie, utrudniając przy okazji wsparcie dla walczącej Ukrainy. Jesteśmy też łatwym celem agresji, bo rząd Donalda Tuska całą swą energię koncentruje na wystąpieniach retorycznych, opóźniając realne działania. Jak wyjaśnić półroczną blokadę projektu CPK, którego militarne znaczenie nie podlega dyskusji? Najpierw obecnie rządzący krytykowali przedsięwzięcie, a teraz deklarują jego kontynuowanie, tyle że opóźnienie jego realizacji można już liczyć w latach, co będzie miało negatywny wpływ na naszą zdolność do obrony. Niemiecki tygodnik „Der Spiegel" przywołuje słowa ministra obrony Pistoriusa, który w ub. tygodniu powiedział w Bundestagu, że „musimy być przygotowani do wojny do 2029 roku". Gdyby rząd Tuska nie blokował projektu CPK, nie zastanawiał się przez sześć miesięcy nad jego kontynuacją, to może do tego czasu zbudowalibyśmy ten węzeł komunikacyjny. Teraz w świetle deklaracji szefa rządu ma on być gotowy od trzech do sześciu lat później.

> W dobie komputerów kwantowych i rosnących zdolności do przetwarzania olbrzymich baz danych zdobywanie informacji osobowych jest jednym z elementów przygotowania się do agresji

NATO wyciągnęło wnioski i, jak informował w ub. tygodniu brytyjski „The Telegraph", „ćwiczy" dyslokację sił na wschodnią flankę z południa Europy (z Turcji, Słowenii i Chorwacji), zakładając, że szlaki komunikacyjne z Holandii przez Niemcy do Polski nie tylko będą atakowane, lecz także w obliczu olbrzymich potrzeb okażą się niedrożne. A to przedłuży czas czekania na wojskową pomoc sojuszników, być może powyżej dwóch tygodni, bo dzisiaj tyle, według Bena Hodgesa, byłego dowódcy sił NATO w Europie, zajmie Amerykanom dotarcie na naszą granicę z Rosją.

Wojna hybrydowa może stanowić zupełnie inne wyzwanie dla NATO niż czysto klasyczny scenariusz wywodzący się z wojska. W efekcie wielu zaniedbań, w tym spowalniania ważnych inwestycji komunikacyjnych, nie można wykluczyć, że nasi żołnierze będą zmuszeni przez dłuższy czas samodzielnie zmagać się z ewentualną agresją. Na ich morale z pewnością nie wpływa pozytywnie decyzja prokuratury wojskowej o aresztowaniu tych, którzy w obliczu zagrożenia ze strony agresywnych „migrantów" oddali strzały ostrzegawcze w powietrze. Trudno nawet znaleźć adekwatne słowa na opisanie głupoty tego, co zrobiono. To nie tylko pokazanie słabości, braku koordynacji i krótkowzroczności, lecz także trudny do oceny cios w morale polskiego wojska i atakowanie naszych zdolności do obrony.

Ostrzeżeniem powinny być dla nas informacje, które napłynęły właśnie z Mołdawii. Otóż jak donosi The Insider, portal specjalizujący się w śledztwach dziennikarskich, Igor Gorgan, generał i do 2021 r. szef Sztabu Generalnego sił zbrojnych, był agentem rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU. Po doświadczeniach Ukrainy z 2014 r. nie powinno to być dla nas zaskoczeniem, ale trzeba pamiętać, że Rosjanie mogą mieć wysoko usytuowanych agentów w miejscach newralgicznych dla obrony państwa, które wzięli na celownik. Mamy naturalną skłonność do interpretowania głupich, szkodliwych i zaskakujących posunięć władz różnych szczebli w kategoriach błędu albo mówimy w takich sytuacjach o „braku koordynacji". Ale trzeba też pamiętać, że w tym wypadku w grę mogą też wchodzić inne czynniki. Nasza opieszałość, nieumiejętność podjęcia decyzji, spóźnione działania, braki legislacyjne i sprzętowe, zostaną wykorzystane przez przeciwnika. Świadomi lub nieświadomi agenci znajdą tysiące argumentów, wzmacnianych sterowaną propagandą z tysięcy rosyjskich serwerów, opłacaną moskiewskimi srebrnikami, najczęściej zresztą transferowanymi dla niepoznaki z Zachodu, aby utrudnić nam przygotowanie się do agresji. Rosja wzięła Polskę na celownik i musimy zacząć się poważnie do tego przygotowywać.

eprasa.pl 17872d6a24

Najwięksi nieudacznicy III RP

Ranking ministrów rządu Donalda Tuska po pół roku urzędowania

STANISŁAW JANECKI

Przez pół roku funkcjonowania rząd Donalda Tuska na tysiąc sposobów opowiadał, jak bardzo zmieni Polskę. Na lepsze. W rzeczywistości zmienia wolno i do tego na gorsze. Ministrowie w ogromnej większości dopiero po powołaniu zaczęli się uczyć, co powinni robić w swoich resortach. I robili, ale przeważnie nie to, co trzeba. Skala niekompetencji ministrów i ich zastępców przekroczyła najśmielsze oczekiwania. Podobnie jak skala decyzji łamiących prawo i konstytucję. Naprawa państwa zamieniła się w jego planowe i systematyczne niszczenie. Rzekomo „pogwałconą" praworządność „przywraca" się w taki sposób, że albo jest to nielegalne, albo wywołuje opłakane skutki. Większość działań trzeciego rządu Donalda Tuska polega na robieniu rzeczy złych, które są przedstawiane jako dobre. I na kompletnym odwróceniu znaczenia pojęć albo zupełnym zakłamaniu sensu podejmowanych działań.

Najlepszy przykład to walka z „rozpasaniem" wydatków rządowych, co podobno cechowało gabinet Mateusza Morawieckiego. Okazało się, że rząd Donalda Tuska w ciągu pierwszych czterech miesięcy 2024 r. wydał o 40 proc. więcej (o 70 mld zł) niż gabinet Morawieckiego w tym samym okresie 2023 r. Dochody budżetu w tym czasie wzrosły o 40 mld zł, ale deficyt budżetu po kwietniu 2024 r. wynosił niemal tyle samo, podczas gdy rok wcześniej – 10 mld zł. I jest to najgorszy wynik od co najmniej 10 lat.

Liczby najlepiej weryfikują sielankowy obraz przedstawiany przez polityków rządzącej koalicji 13 grudnia oraz służące im media. Z tych powodów trzeci rząd Donalda Tuska można uznać za najgorszy gabinet w historii III RP, jeśli chodzi o liczbę rozwiązanych problemów i tego, co przez pół roku zdążono zdemolować – zarówno w systemie prawnym, jak i w poszczególnych resortach.

Przede wszystkim rozwalono lub zdezorganizowano wszystkie ważne inwestycje strategiczne: Centralny Port Komunikacyjny, elektrownie atomowe (zarówno te duże, jak i wykorzystujące małe reaktory modułowe, które miały być tworzone we współpracy z prywatnym kapitałem), terminal kontenerowy w Świnoujściu, „ruchomy" terminal do przyjmowania paliw, olejów i bioodpadów w Gdańsku czy regulację Odry.

KTO ZA TYM STOI?

Personalne wybory premiera Tuska to zestaw nieudaczników, poczynając od mającego profesorski tytuł ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, a kończąc na pozbawionej jakichkolwiek kompetencji minister edukacji Barbarze Nowackiej, która w ekspresowym tempie dewastuje polskie szkolnictwo. Ale największym obciążeniem tego rządu jest sam jego szef – Donald Tusk. Po pół roku urzędowania jego gabinetu można się pokusić o ranking ministrów.

NAJGORSI

1. Na pierwszym miejscu wśród najgorszych trzeba umieścić premiera ***Donalda Tuska***. Opowieści, np. w przemówieniu 4 czerwca 2024 r. podczas wiecu na pl. Zamkowym w Warszawie, o tym, jak bardzo podczas wtorkowych posiedzeń gabinetu ministrowie są sztorcowani przez swego szefa, dyscyplinowani i zmuszani do pracy, można włożyć między bajki. Zresztą już to, że ministrów co tydzień trzeba przestawiać na właściwe tory, fatalnie świadczy o organizacji pracy rządu. Tusk jako premier nad niczym nie panuje i nie nadał temu rządowi własnego charakteru. Gabinet funkcjonuje jak zwykła zbieranina, czemu sprzyja fakt, iż jest wielopartyjny.

Praktycznie cała energia i pomysłowość premiera idą „na przepał", czyli służą wyłącznie walce z Prawem i Sprawiedliwością oraz spuścizną premierów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Tusk nie jest właściwie szefem rządu, tylko funkcjonuje tak jak w PRL pierwsi sekretarze PZPR (wobec rządu, administracji terenowej, w zakładach pracy czy instytucjach). A jeśli szukać konkretnych analogii, to z Wojciechem Jaruzelskim, który w latach 1981–1985 był jednocześnie premierem i I sekretarzem KC PZPR. Władzę dawała mu funkcja partyjna, a szefem rządu był po to, żeby nie istniały żadne pośrednie ogniwa w transmisji wytycznych partii dla gabinetu.

Tusk niczego się nie nauczył (w sensie kwalifikacji menedżerskich czy przywódczych), przez pięć lat będąc przewodniczącym Rady Europejskiej, a tylko wzrosły jego pewność siebie, pycha

eprasa.pl 17872d6a24

i arogancja. Przy tym nie jest w stanie ocenić skutków działań swoich ministrów, szczególnie w sferze gospodarki i finansów, więc nie potrafi na bieżąco korygować ich błędów. Jest on gorszym premierem niż był w latach 2007–2014, a wtedy też nie ogarniał wielu dziedzin, tylko nie miał wojny u granic i wszystkich negatywnych jej skutków.

2. Kompletnym niewypałem okazał się minister sprawiedliwości prof. ***Adam Bodnar***. Ten były rzecznik praw obywatelskich w swoich działaniach w roli ministra zaprzecza wszystkiemu, czego przynajmniej formalnie powinien bronić. Zaczął 12 stycznia 2024 r. od niezgodnego z prawem odsunięcia od funkcji prokuratora krajowego Dariusza Barskiego i nielegalnego powierzenia tej funkcji (czasowo) Jackowi Bilewiczowi. Gdy 14 marca 2024 r. premier Tusk powołał na prokuratora krajowego Dariusza Korneluka, obsadził zajęte wciąż stanowisko, co było skutkiem działań ministra Bodnara. Jego „dorobek" to traktowanie jak źródła prawa uchwały Sejmu w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, co jest konstytucyjnym absurdem. To także przystąpienie Polski do Prokuratury Europejskiej oraz stworzenie „mapy przywracania ładu w sądach" (na potrzeby Komisji Europejskiej), co właściwe jest fikcją. Nie jest nią natomiast kilkadziesiąt zmian kadrowych na szczeblach kierowniczych w sądach i prokuraturze, czyli nagrodzenie najbardziej zaangażowanych politycznie prawników. W planach jest zamach na Trybunał Konstytucyjny oraz Krajową Radę Sądownictwa.

3. Swoją rolę w demolowaniu instytucji, firm i porządku prawnego odegrał były już minister kultury ***Bartłomiej Sienkiewicz***, choć to, co zrobił, kompletnie mija się z zadaniami szefa tego resortu. Sienkiewicz zdemolował media publiczne, a kompletnie nie interesował się innymi dziedzinami kultury. Właściwe zmilitaryzował ministerstwo, które nie ma nic wspólnego z tzw. resortami siłowymi.

4. „Osiągnięcia" w demolowaniu polskiego szkolnictwa ma minister edukacji ***Barbara Nowacka***. Jedynym pozytywem jest podniesienie wynagrodzeń nauczycieli o ok. 30 proc., ale miało to zamknąć nauczycielom usta przy decyzjach szkodzących uczniom i polskiej szkole. „Odpolitycznienie" szkoły polega na jej lewicowym upolitycznieniu. Decyzje o likwidacji prac domowych szkodzą uczniom. Absurdalne są korepetycje w szkole, bo wskazują na jej niewydolność i ją utrwalają. Decyzje o usuwaniu polskiej klasyki z listy lektur niszczą tradycję.

5. Minister spraw zagranicznych ***Radosław Sikorski*** zajmuje się właściwie wyłącznie ożywianiem Trójkąta Weimarskiego (bez znaczenia strategicznego), natomiast nie ma praktycznie żadnych relacji z administracją Joe Bidena (mimo starań nie został przez niego przyjęty). I robi wszystko, żeby Polska miała jak najgorsze stosunki z Donaldem Trumpem, gdyby ten wygrał wybory. Sikorski prowadzi wrogą wobec prezydenta Andrzeja Dudy politykę odwoływania i mianowania ambasadorów, co kompromituje Polskę i prowadzi do obniżenia rangi naszych relacji z NATO oraz najważniejszymi partnerami. Na polityce wobec Rosji ciąży na nim wielkie zaangażowanie w reset stosunków z reżimem Putina.

6. Kompletnie nie sprawdził się minister spraw wewnętrznych ***Marcin Kierwiński***, niemający żadnego pomysłu na funkcjonowanie służb mundurowych. Zasłynął tylko z zatrzymania w pałacu prezydenckim, co nosi nawet znamiona zamachu stanu, przebywających tam Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Ale też z bełkotliwej mowy podczas święta strażaków, co tłumaczył złym nagłośnieniem. Jego następca ***Tomasz Siemoniak*** jest znany z tego, że nie potrafi szybko podjąć żadnej istotnej decyzji. Bo czeka na wskazówki.

7. Kompletnym nieporozumieniem jest minister klimatu i środowiska ***Paulina Hennig-Kloska***, która nie potrafi oszacować wzrostu cen energii, nie ma też żadnego programu przeciwdziałania nadmiernym wzrostom cen. Jej resort nie wie, co dalej z energetyką jądrową, wiatrakami, sieciami przesyłowymi. Ona i jej zastępczyni ***Urszula Zielińska*** godzą się na najbardziej szkodliwe i szybkie rozwiązania narzucane przez Komisję Europejską, kompletnie nie przejmując się ich skutkami dla Polski. Pani minister uważa, że Polskę stać na ograniczenie emisji CO_2 o 75 proc. do 2030 r., co jest zupełną fikcją. Fantazją jest program odtwarzania torfowisk i mokradeł, które ponoć emitują więcej gazów cieplarnianych niż elektrownia w Bełchatowie.

8. Atrapą, choć mocno ideologiczną, jest ministerstwo ds. równości z ***Katarzyną Kotulą*** na czele. Zajmuje się prawie wyłącznie domniemanymi nierównościami różnych mniejszości, kompletnie nie interesując się np. dys-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17872d6a24

kryminacją katolików, a przede wszystkim wyborców i sympatyków Prawa i Sprawiedliwości.

9. Wyłącznie negatywne, także dla budżetu państwa, były działania byłego już ministra aktywów państwowych ***Borysa Budki***. Jego jedynym „osiągnięciem" było polowanie z nagonką na prezesa ORLENU Daniela Obajtka. Następca Budki ***Jakub Jaworowski*** wciąż się uczy, a jego słaba pozycja polityczna sprawia, że nie będzie suwerennym szefem resortu.

10. Zupełnie niesamodzielny jest szef kancelarii premiera ***Jan Grabiec***, który właściwie funkcjonuje jak przełożony sekretarek i personelu pomocniczego.

UŚPIENI

1. Minister obrony ***Władysław Kosiniak-Kamysz*** nie robi nic poza górnolotnymi deklaracjami, w efekcie niepewny jest zarówno status zakupów uzbrojenia w USA, jak i specjalne kredytowanie (koreańskie rząd i parlament zrobiły dla Polski wyjątek) zakupów w Korei. Nie ma żadnego planu działania na wypadek rosyjskich prowokacji czy ataków na jakąś część polskiego terytorium. Nikt nie wie, czy armia będzie powiększana, czy znowu zwijana.

2. Nie widać żadnej istotnej aktywności i efektów działania ministra rolnictwa ***Czesława Siekierskiego***, poza trwałym konfliktem z rolnikami. A już zupełną groteską jest wiceminister ***Michał Kołodziejczak***, niemający elementarnych kompetencji do zajmowanego stanowiska.

3. Praktycznie nic nie zrobił minister rozwoju i technologii ***Krzysztof Hetman***, a jego następca ***Krzysztof Paszyk*** przez co najmniej kilka miesięcy będzie się „uczył" resortu.

4. Minister funduszy i polityki regionalnej ***Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz*** jest aktywna prawie wyłącznie w relacjonowaniu, jak przebiegają przelewy w ramach KPO.

5. Wicepremier i minister cyfryzacji ***Krzysztof Gawkowski*** ani nie kontynuuje cyfryzacji kolejnych usług publicznych, ani nie jest w stanie zabezpieczyć polskich firm i instytucji przed atakami ze strony Rosji i Białorusi.

6. Minister zdrowia ***Izabela Leszczyna*** nie rozwiązała żadnego problemu sektora zdrowia publicznego, a za swoje największe osiągnięcie uważa przywrócenie finansowania in vitro z budżetu oraz pigułkę „dzień po", m.in. dla 15-latek.

7. Żadnych istotnych pomysłów na ożywienie polskiej nauki i badań nie ma minister nauki ***Dariusz Wieczorek***, którego jedyna aktywność polega na zmianach na liście czasopism, w których publikacje zapewniają odpowiednią punktację. Minister ignoruje fikcję studiowania cudzoziemców na polskich uczelniach prywatnych, które funkcjonują jako dostarczyciele wiz, a nie wykształcenia.

8. Po pół roku rządzenia atrapą jest przywrócone i przeniesione na Śląsk ministerstwo przemysłu z ***Marzeną Czarnecką*** na czele.

9. Fikcją jest powołanie ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego ***Agnieszki Buczyńskiej***, która nie ma żadnego jasnego celu działania.

10. Nic istotnego wciąż nie zrobili minister infrastruktury ***Dariusz Klimczak*** ani minister ds. polityki senioralnej ***Marzena Okła-Drewnowicz***.

11. Minister finansów ***Andrzej Domański*** może się pochwalić obniżką do 8 proc. VAT dla sektora beauty. Nie ma natomiast zapowiedzianych szybkich zmian w składce zdrowotnej dla przedsiębiorców, kompleksowej reformy podatków dochodowych, podniesienia kwoty wolnej od podatku z 30 tys. do 60 tys. zł, zniesienia podatku Belki.

12. Minister sportu i turystyki ***Sławomir Nitras*** na razie ma na koncie tylko program modernizacji Orlików oraz odmowę wsparcia budowy obiektów sportowych dla klubów zawodowych oraz Polskiego Związku Piłki Nożnej. Nie słychać natomiast nic o przygotowaniu polskiego sportu do igrzysk olimpijskich w Paryżu.

13. Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk doprowadziła do podjęcia decyzji, że zasiłek pogrzebowy wzrośnie do 7 tys. zł i będzie waloryzowany. W lesie jest bon opiekuńczy w wysokości 50 proc. minimalnego wynagrodzenia dla aktywnych zawodowo opiekunów, podobnie jak system usług asystenckich dla osób niesamodzielnych.

* * *

Po pół roku istnienia trzeciego rządu Donalda Tuska skumulowane skutki jego aktywności mogą kosztować Polaków setki miliardów złotych i jedyne, co gwarantują, to zapaść w wielu kluczowych dziedzinach.

eprasa.pl 17872d6a24

Mraz, czyli opowieści tajnego agenta Giertycha

Tomasz Mraz miał być tajną bronią, która pogrąży Zbigniewa Ziobrę i jego współpracowników, „człowiekiem, który rozpruł system", jak nazwał go jeden z sympatyzujących z obecną władzą periodyk

WOJCIECH BIEDROŃ

Rozmówcy tygodnika „Sieci" są przekonani, że jego wmontowanie w Fundusz Sprawiedliwości (FS) miało na celu skompromitowanie tej niezwykle cennej społecznie instytucji. Czy jego opiekunom udała się wieloletnia operacja z nagrywaniem ludzi Suwerennej Polski? Nieszczególnie.

Ze zdjęcia patrzy na nas gładko ogolony szatyn. Zawadiacki wzrok, modnie przycięte włosy. Koszula i marynarka. W oczach widać pewność siebie, bystrość. Młody, dobrze rokujący prawnik. „Świat należy do mnie" – tak można podpisać to zdjęcie. To Tomasz Mraz, były dyrektor z FS, podejrzany o nieprawidłowości w tej instytucji i mały świadek koronny prokuratury. Aż trudno uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który nieruchomo siedzi przy Romanie Giertychu i dziwnym głosem „recytuje" rewelacje na temat FS. Ten Tomasz Mraz ma nienaturalną brodę, podkręcone wąsy i okulary. Tylko nieco odstające uszy pozwalają go rozpoznać.

OD POCZĄTKU

Kim naprawdę jest Tomasz Mraz i którą ze swoich życiowych ról odgrywa? Tego nie wie chyba nawet Roman Giertych, który wyszkolił swojego pupila (nazywanego złośliwe „Panem Kleksem"), by ten dzisiaj atakował wszystkich, którzy mieli związek z Funduszem.

– Zmienił sposób mówienia, zachowywania się. To zupełnie inny człowiek. Jest jakby sterowany, zaprogramowany. To, co mówi też jest nienaturalne – mówi jego dawny znajomy. – Jest zupełnie nieobecny, patrzy w jakiś punkt i recytuje – analizuje zmiany Mraza.

Na jednym z nagrań Mraz twierdzi, że słyszał rozmowę telefoniczną Zbigniewa Ziobry z posłem Marcinem Romanowskim, który pełnił wtedy funkcję wiceministra sprawiedliwości. Według niego głos Ziobry nie wskazuje na ciężki stan zdrowia szefa resortu.

Znajomych Mraza ta opowieść „skruszonego" urzędnika uderzyła, ale... – Zawsze był lizusem, który za wszelką cenę chciał się przypodobać swoim szefom. Nadskakiwał, w lot łapał myśli swoich przełożonych, klasyczny, nastawiony na karierę młody prawnik, który chciał się związać z instytucjami państwa – twierdzi jeden z naszych rozmówców.

– Był w tym mistrzem, ale wielu uważa go za „śliskiego" człowieka, który na każdym kroku się zabezpiecza, ma oczy naokoło głowy, niezbyt go lubiliśmy – przyznaje jeden z absolwentów Krajowej Szkoły Administracji Publicznej (KSAP), gdzie pojawił się też Mraz i ucząc się tam, stawiał swoje pierwsze kroki w publicznych instytucjach.

Właśnie w KSAP zwrócił na niego uwagę Marcin Romanowski, późniejszy wiceminister sprawiedliwości, który wprowadził go do Funduszu Sprawiedliwości. Stało się to w pewnym sensie przez przypadek, z powodu zmian kadrowych. Młody, ambitny pracownik miał wraz z Romanowskim rozpocząć FS w nową erę. Zaniedbana instytucja dostała drugie życie. Pieniądze, które do niej trafiały, zostały skierowane na pomoc ofiarom przestępstw, a także wspierały drużyny strażackie oraz inne podmioty. Fundusze z pracy więźniów nareszcie mogły zasilić liczne instytucje, także charytatywne.

Mraz nieszczególnie radził sobie z powierzonymi zadaniami. Miał być niesamodzielny, uparty i nieprzyjemny dla swoich współpracowników. – Chaotyczny, bez empatii, brakowało mu ikry i samodzielności. Ze wszystkim chodził do szefa, bał się podpisywać dokumenty. Dochodziło do sytuacji, że prosił o podpis pod materiałami, które znajdowały się tylko w obiegu elektronicznym – wspominają Mraza urzędnicy z Ministerstwa Sprawiedliwości.

UGRAĆ JAK NAJWIĘCEJ

Mraz obsesyjnie łasił się do swoich przełożonych, marzył o wielkiej karierze i dobrych pieniądzach. Tymczasem to one przysporzyły mu kłopotów. Fundacja Profeto ks. Michała Olszewskiego, który po politycznej ustawce w warszawskim sądzie wciąż znajduje

eprasa.pl 17872d6a24

Fot. Filip Naumienko/REPORTER

Tomasz Mraz wczoraj (po prawej). I dziś z Romanem Giertychem

się w tymczasowym areszcie, była przez Mraza traktowana po macoszemu. – Formalności związane z Profeto szły mu jak po grudzie, wciąż były jakieś opóźnienia i piętrzenie problemów, jakby się uwziął na tę fundację i ks. Olszewskiego – mówi nam osoba znająca stosunki w FS.

OD KIEDY SYPIE?

Dziś ks. Olszewski przebywa w areszcie także dzięki informacjom przekazanym przez Tomasza Mraza. Nasi rozmówcy są przekonani, że początek jego kariery donosiciela wiąże się właśnie z czasem, gdy sabotował starania Profeto o środki na ważny ośrodek, który miał wspierać ofiary przestępstw. Wskazywało na to jego zachowanie. – Czasem oceniał jakąś sytuację dwa razy i argumentował w przeciwny sposób. Tak jakby raz nagrywał kogoś, a innym razem nie. To była pewna norma w jego działaniu. Zmieniał zdanie na dany temat, a to może wskazywać, że najpierw badał danego urzędnika czy przełożonego, a dopiero potem pytał ponownie, by nagrać osobę, z którą rozmawiał – mówi nam jeden z jego współpracowników.

Inni nasi rozmówcy przekonują, że kilka lat temu Mraz mógł okazjonalnie nagrać kogoś z kierownictwa Funduszu Sprawiedliwości, ale wrócił do tego po wyborach z 15 października. – Był przerażony zmianą władzy i pogróżkami wielu polityków obecnej koalicji 13 grudnia – mówi nam osoba z bliskiego otoczenia Mraza. – Miał obsesję na puncie utrzymania rodziny. Jego żona pracowała w przedszkolu, miał dwójkę małych dzieci. Dlatego zostawił pracę w Funduszu i wystarał się o posadę w banku – dodaje. – Potem przejął go Roman Giertych, ten już ma metody i siłę perswazji. Pewnie zapewnił mu nietykalność i pomógł w kontaktach z prokuraturą. Warto spytać, kto dysponuje 50-godzinami nagrań pana Mraza. Czy jedynym dysponentem jest prokuratura, czy ten wpływowy adwokat, który dziś występuje jako parlamentarzysta? – pyta jeden z warszawskich prokuratorów.

ROLA GIERTYCHA

Ale nagrania i rola mecenasa Giertycha budzą ogromne emocje. Sam Giertych zachowuje się, jakby był gospodarzem tego postępowania, a nie jedynie pełnomocnikiem byłego dyrektora.

– Wobec podejrzanego, którego reprezentujemy z mec. Dubois w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, prokuratura nie zastosowała żadnych środków zapobiegawczych ze względu na jego wzorową postawę w śledztwie – napisał Giertych na platformie X (d. Twitter) w marcu tego roku. – Jedyną szansą dla osób, które uczestniczyły w przestępstwach posłów czy działaczy PiS jest natychmiastowe skontaktowanie się z najbliższym znanym sobie adwokatem

eprasa.pl 17872d6a24

i poproszenie o przygotowania zawiadomienia o tych przestępstwach oraz złożenie później pełnych wyjaśnień – pisał Giertych.

Ale zdaniem wielu prokuratorów Mraz wraz z Giertychem ujawniają tajne informacje ze śledztwa. – Za śledztwo i jego wyniki odpowiada prokurator. To, o czym mówi Mraz i jego adwokat, to dane ze śledztwa. Nie powinny być ujawniane. Bo obowiązuje tajemnica śledztwa – to prawniczy elementarz. Choćby dlatego, że takie publiczne „opowieści dziwnej treści" stanowią przestępstwo opisane w art. 241 kk, polegające na rozpowszechnianiu publicznie bez zezwolenia wiadomości z postępowania przygotowawczego (w tym przypadku, dotyczącego rzekomych nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości), zanim zostały ujawnione w postępowaniu sądowym – skomentował Michał Ostrowski, legalny zastępca prokuratora generalnego, który wraz z prok. Robertem Hernandem złożył doniesienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa przez Mraza i Giertycha.

TAJEMNICZY DONOS

Wszyscy nasi rozmówcy są pewni co do jednego. Mraz został zainstalowany w Funduszu Sprawiedliwości, by zaskarbić sobie zaufanie przełożonych i w odpowiednim momencie uderzyć w tę instytucję. Wynik wyborczy Zjednoczonej Prawicy i cechy Mraza tylko przyspieszyły ten proces. Co ciekawe, podobna opinia znalazła się w tajemniczym donosie, który trafił do polityków Suwerennej Polski. Został on już złożony w prokuraturze, która powinna wyjaśnić jego treść. Z donosu wynika, że za Mrazem stoi właśnie Roman Giertych, który miał „pracować" nad obecnym małym świadkiem koronnym. Ta „praca" miała polegać na przygotowaniu narracji, która mieszając prawdziwe wątki z czystą fikcją, miała uderzyć w ziobrystów. Zdaniem autora donosu Giertych w ten sposób mści się na byłym ministrze sprawiedliwości za próbę zatrzymania. Anonimowa osoba pisze też, że Mrazowi zapewniono nie tylko bezkarność, lecz także dobrą przyszłość i sowite zarobki. To akurat ważny fragment donosu. Nie jest tajemnicą, że żadna szanująca się kancelaria prawnicza nie przyjmie pod swoje skrzydła prawnika, któremu nie można ufać. Na pracę w państwowej instytucji Mraz nie ma co liczyć. Każda władza stara się trzymać z daleka od ludzi nielojalnych. Oczywiście ciężko jest oceniać wiarygodność tego donosu i nie jest to naszym celem, ale jego treść wskazuje na dobre rozeznanie metod działania Romana Giertycha.

NAGRANIA I PROWOKACJE

Tymczasem nagrania Mraza wprawdzie rozpalają wyobraźnię polityków obecnego obozu władzy, ale gdy się je przeanalizuje, to ma się wrażenie, że góra urodziła mysz. Rzeczywiście, rozmowy się odbywały, ale co z nich wynika? Grupa urzędników przygotowuje taktykę obronną przed atakami na Fundusz. Problemem Mraza jest fakt, że w nagraniach nie ma głosu Zbigniewa Ziobry. To oczywiste. Sam minister sprawiedliwości nie zajmował się Funduszem. Od tego byli właśnie Mraz i Marcin Romanowski. To oni formalnie odpowiadali za FS.

> Mraz obsesyjnie łasił się do swoich przełożonych, marzył o wielkiej karierze i dobrych pieniądzach. Tymczasem to one przysporzyły mu kłopotów

Z samym Romanowskim wiąże się wręcz humorystyczna sytuacja. Na jednym z nagrań, były wiceminister sprawiedliwości przestrzega wręcz, by pieniądze nie trafiały do rodzin czy znajomych urzędników. To niewygodny dla Mraza fragment, który burzy opowieść o rozdawaniu pieniędzy „swoim".

Władza i zblatowane z nią media „grzeją" jednak historię Mraza, który z każdym kolejnym występem zachowuje się w sposób coraz bardziej osobliwy. Jak wspominaliśmy kilka dni temu, recytując dziwnym tonem, Mraz wątpił w chorobę Zbigniewa Ziobry. To bardzo osobliwa „relacja", zważywszy, że każdy, kto spotkał ostatnio Zbigniewa Ziobrę, wie, że były minister mówi z ogromnym trudem, a niebezpieczna choroba odcisnęła na nim straszliwe piętno. Ziobro jest oczywiście ważnym celem Mraza, prokuratury oraz Romana Giertycha. Nie ma dnia, by znany mecenas o tym nie przypominał.

Kabaret Mraza miał być wstępem do operacji „dorwać Ziobrę". Z naszych informacji wynika, że politycy i prokuratorzy chcieli w widowiskowy sposób zatrzymać byłego prokuratora generalnego. Wcześniej w Sejmie miał być przeforsowany wniosek o uchylenie mu immunitetu. Taka akcja na kilka tygodni przed wyborami miała być traktowana jako prezent dla najbardziej radykalnego odłamu fanatyków Donalda Tuska i jego polityki odwetu wobec PiS. Pomysł nie został zrealizowany. Dlaczego? Wygrały skrupuły i przyzwoitość, by ciężko schorowanego człowieka nie zamykać w areszcie?

– Myślę, że przestraszyli się konsekwencji zdrowotnych u byłego ministra. Źle by to wyglądało w TV i w mediach społecznościowych, gdyby pod areszt śledczy podjechała karetka pogotowia, która przetransportowałaby Zbigniewa Ziobrę do szpitala. O niewygodnych konsekwencjach nie wspominając – przekonuje nas jeden z doświadczonych warszawskich prokuratorów.

KRÓTKI SEZON

Tomasz Mraz to chwilowa gwiazda Romana Giertycha i jego odwetowej ekipy. Wciąż jeszcze jest potrzebny i będzie wykorzystywany, by podgrzewać atmosferę wokół Zbigniewa Ziobry oraz jego współpracowników. Jego opowieści słabo jednak znoszą zderzenie z rzeczywistością. Moda na niego wkrótce przeminie. Zostanie porzucony na poboczu wielkiej polityki jak wielu jego poprzedników. Co ze sobą pocznie po tym rozstaniu? Czy ktoś jeszcze będzie go potrzebował? To oczywiste, że nie.

Autopromocja

eprasa.pl 17872d6a24

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI 196

NETIA
NA POZYCJI 192

orange
NA POZYCJI 32

vectra
NA POZYCJI 825

PLAY
dawniej UPC
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 17872d6a24

Coraz mniej szkoły w szkole

DOROTA ŁOSIEWICZ

Fot. Shutterstock

Po rekordowo długiej majówce dzieci w szkołach już mają labę, bo stopnie wystawione, choć oficjalne zakończenie roku zaplanowano na 21 czerwca. Do tego od kwietnia resort edukacji ograniczył prace domowe, a od września podstawa programowa ma być okrojona. Coraz mniej szkoły w szkole

Mamo, mogę dziś nie iść do szkoły? – zaczepił mnie mój siedemnastolatek. – Stopnie już wystawione. W szkole nic się nie dzieje – dodał. „Czyli przed dzieciakami trzy tygodnie obijania się po szkole bez sensu" – pomyślałam. A przecież drugi semestr w roku szkolnym 2023/2024 był wyjątkowo krótki.

DUŻO WOLNEGO

Uczniowie nie zdążyli się jeszcze dobrze zmęczyć po feriach zimowych, które jak co roku były ruchome i w różnych województwach przypadały w różnym czasie. Ministerstwo Edukacji Narodowej wyznaczyło zimowy wypoczynek w terminie 15-25 lutego 2024 r. Jako pierwsi odpoczywali uczniowie z województw dolnośląskiego, mazowieckiego, opolskiego i zachodniopomorskiego, najpóźniej ferie zakończyli uczniowie z kujawsko-pomorskiego, lubuskiego, małopolskiego, świętokrzyskiego oraz wielkopolskiego. Ci, którzy zimowy odpoczynek zakończyli jako ostatni, na świąteczną przerwę czekali niecały miesiąc. Przed Wielkanocą uczniowie po raz ostatni poszli do szkoły 27 marca 2024 r. Tzw. wiosenna przerwa świąteczna zaczęła się 28 marca, a skończyła 2 kwietnia 2024 r.

I znów do kolejnego odpoczynku nie trzeba było czekać bardzo długo, ponieważ w tym roku tzw. majówka wypadła w dniach środa–piątek (1–3 maja). Choć 2 maja nie jest dniem ustawowo wolnym od pracy, to jednak w szkołach uczniowie byli zwolnieni z zajęć dydaktycznych. Mieli więc wolną środę, czwartek i piątek. Warto też dodać, że w niektórych szkołach przerwa zaczęła się jeszcze wcześniej, bo już 29 kwietnia. To wynik zarządzeń dyrektorów, którzy w ten sposób organizują wolne z puli tzw. dni dyrektorskich.

A majowy weekend był dopiero początkiem wolnego dla uczniów. Tuż po majówce były matury, co oznaczało wolne dla uczniów szkół średnich. Dni bez zajęć dydaktycznych ze względu na matury ustala dyrektor szkoły, o ewentualnych dodatkowych zmianach w planie lekcji na czas matur lub odwołaniu zajęć uczniowie są informowani w swoich placówkach. Ze względu na egzamin ósmoklasisty, który odbywał się 14–16 maja (wtorek–czwartek), nie było lekcji w szkołach podstawowych. Choć placówki zostały zobligowane do zapewnienia uczniom opieki świetlicowej, to jednak zajęć dydaktycznych nie było. Ale i to nie był koniec wolnego w maju.

W tym roku Boże Ciało wypadło 30 maja, a nie (tak jak zazwyczaj) na początku czerwca. Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa jest obchodzona we czwartek. W związku z tym w niektórych szkołach dniem dyrektorskim (wolnym od zajęć dydaktycznych) był także piątek po Bożym Ciele (w tym roku 31 maja).

eprasa.pl 17872d6a24

WYSTAWIANIE OCEN

Choć pewnie uczniowie byli zadowoleni z powodu wydłużonego relaksu, to jednak po Bożym Ciele przyszło im się zderzyć z brutalną rzeczywistością. Okazało się, że choć nauki było mało, to jednak niepostrzeżenie nadszedł moment wystawiania ocen końcowych.

I tu pułapka: dużo wolnego w wielu przypadkach oznaczało brak wystarczającej liczby ocen z poszczególnych przedmiotów lub konieczność błyskawicznego poprawienia tych słabych. A czas na poprawę był wyjątkowo krótki, bo w większości szkół już w pierwszym tygodniu czerwca uczniowie powinni znać swoje oceny końcowe. Na poprawki, referaty i inne projekty było więc około tygodnia.

Konkretne terminy, w których należy wystawić oceny, nie zostały ustalone w powszechnie obowiązujących przepisach. Jak wynika z art. 44g ustawy z 7 września 1991 r. o systemie oświaty, przed rocznym klasyfikacyjnym zebraniem rady pedagogicznej nauczyciele prowadzący poszczególne zajęcia edukacyjne oraz wychowawca oddziału informują ucznia i jego rodziców o przewidywanych dla niego rocznych ocenach klasyfikacyjnych z zajęć edukacyjnych i rocznej ocenie klasyfikacyjnej zachowania, w terminie i formie określonych w statucie szkoły. Oznacza to, że konkretne terminy wystawiania ocen, w zależności od tego, jak zostały określone w statucie szkoły, mogą się od siebie różnić. Jednak kolejne etapy są zbliżone: trzeba poinformować uczniów i ich rodziców o ewentualnych ocenach niedostatecznych (tzw. zagrożeniach), podać propozycje ocen końcowych, wystawić oceny końcowe. Rada klasyfikacyjna odbywa się w szkole ok. dwa tygodnie przed końcem roku szkolnego. Przed nią muszą zostać wystawione oceny końcowe. W roku szkolnym 2023/2024 w większości szkół będzie to oznaczało, że oceny zostaną wystawione przed 10 czerwca. Rok szkolny kończy się 21 czerwca, a to oznacza, że teraz uczniowie będą głównie oglądać filmy lub wychodzić na boisko. Choć niektórzy nauczyciele twierdzą, że sytuacja wcale nie wygląda tak źle.

– Ostatni tydzień to czas na inne zajęcia: dzień z wychowawcą, dzień sportu. Jest realizacja wielu projektów, wycieczki. Nie jest prawdą, że już nic się nie dzieje – tłumaczy nauczycielka Dorota Miszczuk.

Przypomnijmy jeszcze zmiany wprowadzone przez MEN z początkiem kwietnia: brak prac domowych dla uczniów w klasach I–III szkoły podstawowej, a w klasach IV-VIII zniesiono obowiązek wykonywania prac domowych zadawanych w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych; wykonanie lub niewykonanie pracy domowej nie jest oceniane.

Gdy to wszystko podsumujemy, wyjdzie nam, że w tym roku uczniowie raczej się nie przepracowywali. Może i młodzież jest zadowolona, tylko co się stanie, gdy wciąż będzie ubywać nauki w szkole?

JESZCZE MNIEJ NAUKI

Wielu nauczycieli szuka sposobów na omijanie ograniczeń dotyczących prac domowych, a przez to na egzekwowanie wiedzy i umiejętności. I tak pojawiło się więcej kartkówek, odpowiedzi przy tablicy czy ocena pracy na lekcji, która zawiera zadanie wykonane w domu.

Przed nauczycielami stanie jednak nowe wyzwanie. 13 maja dobiegły końca konsultacje publiczne w sprawie dwóch projektów nowelizacji rozporządzeń ministra edukacji dotyczących podstawy programowej. Zgodnie z nimi zakres treści, które powinien znać uczeń, ma być „uszczuplony".

Nowa, na razie tylko okrojona podstawa programowa, ma obowiązywać od roku szkolnego 2024/2025. Jednocześnie eksperci mają pracować nad zupełnie inną podstawą programową, która ma obowiązywać od 2026 r.

Wyniki Polaków w międzynarodowych testach PISA raczej nie uzasadniają konieczności zmian w podstawie programowej. W ostatnim badaniu polscy 15-latkowie utrzymali wysoką pozycję na świecie pod względem umiejętności matematycznych, rozumienia czytanego tekstu oraz rozumowania w naukach przyrodniczych. Pod względem umiejętności matematycznych młodzi Polacy znaleźli się na czwartym miejscu w Unii Europejskiej (*ex aequo* z Belgią, Danią i Wielką Brytanią) i na 12. pozycji na świecie. Oczko niżej w tej kategorii w tym prestiżowym rankingu znaleźli się uczniowie z Czech. Młodzi Węgrzy zajęli 11. miejsce w Europie i 22. w świecie. Wynik Madziarów i tak był jednak lepszy niż średnia krajów Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. Poniżej średniej OECD wypadli w testach młodzi Słowacy, którzy osiągnęli wyniki gorsze nawet od uczniów ze Stanów Zjednoczonych.

Niezbyt dobre zdanie o ograniczeniu nauki mają rodzice. Korzystając z mediów społecznościowych, zapytałam ich, co myślą o kurczącej się edukacji.

– Ideą jest, by umieli się podpisać, czytać już niekoniecznie, zwłaszcza ze zrozumieniem, no i liczyć do 100. Po co im wiedza z zakresu historii (historia przecież będzie ogólnoeuropejska), a nuż by im przyszła myśl do głowy, że trzeba walczyć o wolność Polski, jak robili to dziadowie i pradziadowie. Wszak ogłupiały naród jest łatwo sterowalny! – skomentował Stanisław Dziewoński.

– To, co się teraz dzieje w szkole, naprawdę trudno nazwać edukacją i wychowaniem. Wolne goni wolne, brak jakichkolwiek obowiązków powoduje, że dzieciakom się wydaje, że wszystko można mieć ot, tak. A jeśli jest jakaś trudność, to rodzic tupnie nóżką w gabinecie pani dyrektor, postraszy nauczycieli kuratorium i sprawa załatwiona. To ostatni dzwonek, byśmy się obudzili. Wszyscy! „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie". Pytanie zasadnicze brzmi jednak, czy Rzeczypospolite w ogóle będą przy takich postawach moralnych – dodała Iwona Banat.

– Dzisiejsza szkoła nie wróży nic dobrego dla naszych dzieci. Syn od kwietnia w ogóle się nie uczy, bo „pani nie każe uczyć się w domu". A gdy spytam go o coś, co ja umiałem w piątej klasie (on jest w szóstej), np. o stolice państw Europy, największe rzeki i góry świata, to niczego nie wie – dorzuca Andrzej Magiera.

A Grzegorz Ostrowski dodaje: – Niestety obecne czasy tworzą słabych ludzi, trudne czasy tworzyły mocnych ludzi. Aktualnie jesteśmy na etapie rozkładu...

eprasa.pl 17872d6a24

Ks. Popiełuszki przesłanie na dziś

W 14. rocznicę beatyfikacji ks. Jerzego Popiełuszki, w 40. rocznicę obchodów jego męczeńskiej śmierci ukazał się dokument Rady ds. Społecznych KEP „Zło dobrem zwyciężaj". Jakie jest jego przesłanie?

GORAN ANDRIJANIĆ

Święci i błogosławieni Kościoła katolickiego są dla wierzących przede wszystkim wzorem tego, jak powinniśmy żyć i działać w rzeczywistości, która nas otacza.

Wzór, który nam dają święci, jest ponadczasowy i uniwersalny, niezależny od kategorii czasu oraz przestrzeni. Dlatego świętość jest wartością duchową, która może funkcjonować poza wszystkimi doczesnymi kategoriami.

Często jednak dzieje się tak, że konkretni święci mogą nam powiedzieć coś więcej o świecie, w którym przyszło żyć im oraz nam.

W br. obchodzimy 14. rocznicę beatyfikacji słynnego kapelana Solidarności ks. Jerzego Popiełuszki oraz 40. rocznicę jego męczeńskiej śmierci z rąk komunistycznych służb.

Ksiądz, który nie mógł milczeć, widząc nienawiść i przemoc reżimu komunistycznego, wciąż wiele może nam powiedzieć o tym, gdzie znajdujemy się jako naród i jak powinniśmy się zachować.

Kościół katolicki także jest świadomy wagi jego charyzmatu. Z okazji wspomnianych dat biskupi polscy zgromadzeni w Radzie ds. Społecznych Konferencji Episkopatu Polski opublikowali dokument „Zło dobrem zwyciężaj", w którym wypowiadają się właśnie o dziedzictwie kapelana z Żoliborza.

„Błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko może być dobrym patronem dla współczesnego człowieka, a zwłaszcza dla ludzi młodych, narażonych na zgubne oddziaływanie ideologii promujących źle rozumianą wolność i proponujących życie bez wartości, religii, krzyży w miejscach pracy, bez Boga. Popiełuszko nazywał te zagrożenia po imieniu" – czytamy na początku tego ważnego dokumentu.

– Ks. Jerzy jest jednym z najbardziej znanych polskich świętych na świecie – mówi nam dr Milena Kindziuk, autorka biografii ks. Popiełuszki oraz członek Rady ds. Społecznych KEP, która brała udział w pracach nad dokumentem. – Imponuje szczególnie ludziom młodym – jako wzór odwagi, bezkompromisowości, uosobienie wolności. Ktoś, kto do końca pozostał wierny wartościom, w które wierzył.

Dr Kindziuk dodaje, że główną ideą tego tekstu było zwrócenie uwagi na uniwersalizm nauczania ks. Jerzego oraz na jego aktualność dzisiaj, także w obecnej sytuacji społecznej i politycznej.

– Podczas pracy nad dokumentem chcieliśmy też zwrócić uwagę na znaczenie beatyfikacji ks. Jerzego (właśnie obchodzimy 14. rocznicę tego wydarzenia) i wskazać, w jaki sposób można dziś naśladować męczennika za wiarę – podkreśla Milena Kindziuk.

W dokumencie episkopatu znajduje się odniesienie do opracowania notariusza procesu kanonizacyjnego ks. Popiełuszki – ks. prof. Józefa Naumowicza.

– Bł. ks. Jerzy Popiełuszko stanowi klasyczny wzór męczennika – mówi ks. prof. Naumowicz w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". – Tak jak pierwsi chrześcijanie zginął on nie tylko za wiarę, lecz także za wartości, które z niej wypływają, czyli miłość, prawdę, wolność, troskę o potrzebujących. I właśnie poprzez wierność tym wartościom możemy go dziś naśladować.

Ks. prof. Naumowicz podkreśla też, że aby oddać życie za Chrystusa w ostatniej chwili, konieczne jest bycie w jedności z nim na co dzień: – Tę jedność ks. Jerzy bez wątpienia zachowywał. Emanowały z niego radość głoszenia Ewangelii i wielka miłość do ludzi.

Nasi rozmówcy podkreślają wagę faktu, że dokument episkopatu nosi tytuł „Zło dobrem zwyciężaj".

– Jest to hasło nauczania ks. Popiełuszki, nawiązujące do słów św. Pawła. Ks. Jerzy wielokrotnie cytował je w swoich kazaniach, zwłaszcza wygłaszanych podczas mszy za ojczyznę, które odprawiał na Żoliborzu – wyjaśnia ks. prof. Naumowicz.

– Tę ideę ks. Jerzy przekazywał także poszczególnym środowiskom, których był duszpasterzem: studentom, medykom, robotnikom – dodaje dr Milena Kindziuk. – Kiedy przygotowywałam biografię ks. Popiełuszki, spotykałam się ze świadkami jego życia. Wielu ludzi opowiadało mi, że ks. Jerzy nigdy nie potępiał osoby

eprasa.pl 17872d6a24

czyniącej zło, tylko sam zły czyn, sam grzech. I prosił, by ludzie podejmowali trud wyzbycia się z serca nienawiści, zwłaszcza do swoich wrogów. W ten właśnie sposób uczył, jak zło dobrem zwyciężać w codziennym życiu.

To, że duchowe dziedzictwo ks. Jerzego wciąż żyje i inspiruje, jasno pokazuje i dzisiejsza działalność w Solidarności, związku, któremu błogosławiony poświecił dobrą część swojego życia. Jak wiemy, to właśnie ten związek wraz z polskimi rolnikami stał się liderem ruchu społecznego sprzeciwiającego się ideologii Zielonego Ładu.

Rafał Woś, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność", gazety, która jest głosem tego ruchu oporu, w swoim tekście niedawno przypominał, jak ważny jest dziś ks. Jerzy.

„Popiełuszko wiedział, że to, co robił, może się źle skończyć. Może niekoniecznie musiał zdawać sobie sprawę, że zapłaci za to życiem. Ale samotność, ataki, obmowa, niepewność, fizyczne zagrożenie – z tym musiał się liczyć... Historia jest pełna postaci, które wybrały drogę oporu. Wielu z nich pociąga swoją egzotyką. Popiełuszko jest z tej samej półki, co oni. Ale jest jednocześnie arcypolski. Ludowy, robotniczy, patriotyczny, solidarnościowy. Warto to dostrzec, zanim w poszukiwaniu autorytetów podążymy gdzieś na drugi koniec świata" – napisał Woś.

> Ks. Jerzy imponuje szczególnie ludziom młodym – jako wzór odwagi, bezkompromisowości, uosobienie wolności. Ktoś, kto do końca pozostał wierny wartościom, w które wierzył – mówi dr Milena Kindziuk

Dziennikarz słusznie zauważył: w postaci kapelana Solidarności jest coś arcypolskiego.

Rada ds. Społecznych KEP również zwraca uwagę na patriotyczne przesłanie myśli ks. Popiełuszki, pisząc, że „dla niego miłość do Ojczyzny była naturalną konsekwencją wiary".

– Takiej postawy nauczył się w rodzinie, przede wszystkim od matki – podkreśla dr Milena Kindziuk i przywołuje słowa Marianny Popiełuszko: „U nas w domu ojczyzna była tak samo ważna jak wiara. Ks. Jerzy o tym wiedział".

Ks. prof. Józef Naumowicz podkreśla, że msze, które ks. Jerzy odprawiał za ojczyznę, stanowiły fenomen nie tylko społeczny, lecz także głęboko duchowy i ściśle religijny.

– Były one bardzo potrzebne, gdyż wyrastały z potrzeb religijnych całego polskiego społeczeństwa. Nie bez znaczenia był dający się zauważyć od pierwszych takich mszy charyzmat ks. Popiełuszki, który nadawał celebracjom odpowiednią atmosferę religijną – podsumowuje ks. Naumowicz.

Spośród wielu przesłań bł. Jerzego, które nadal są ważne, to jest być może najważniejsze: duchowości katolika nie można oddzielać od jego roli społecznej. Próby takiego działania są fałszywe i niebezpieczne.

Te dwie rzeczy są nierozłączne, a katolik ma prawo i obowiązek uczestniczyć w tworzeniu rzeczywistości społecznej i reagować na istniejącą w niej niesprawiedliwość. Jak kiedyś komuniści chcieli zepchnąć katolicyzm do sfery „prywatnej", tak to samo dziś robią nowi władcy lewicowo-liberalnego establishmentu. I w jednym, i w drugim przypadku intencja jest taka sama: zrobić z wiary katolickiej coś, co nie będzie przeszkadzało w dokonywaniu przemocy przeciwko wolności ludzi i społeczeństwa.

Życie bł. Jerzego Popiełuszki, jego męczeństwo i wszystko, co po nim nastąpiło, wyraźnie pokazują, jak kończą się takie próby. Ludzka tęsknota za wolnością jest od nich silniejsza.

Fot. Fratria

eprasa.pl 17872d6a24

Polityka niszczycielskiego regresu

„Wielu przedstawicieli środowiska naukowego obawia się zabrać głos. Mamy do czynienia z polityką wielkiego regresu. To jest dla naszego kraju niszczycielskie. Przyjdzie za to zapłacić wymierną cenę. Ktoś musi powiedzieć to głośno”

Fot. Archiwum prywatne

O polityce władz wobec instytucji kulturalnych i naukowych z prof. Markiem Kornatem, historykiem i wykładowcą, rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

Rządy PiS były czasem tworzenia bardzo wielu instytucji – kulturalnych, naukowych, placówek edukacyjnych i wielu innych. Czy o tym okresie można mówić jako o rozkwicie instytucjonalnym?

Marek Kornat: Tytułem wstępu do naszej rozmowy chciałbym powiedzieć rzecz następującą. Otóż rządy Prawa i Sprawiedliwości były ośmioletnim okresem znaczących inwestycji w naukę i kulturę. Państwo wreszcie dostrzegło, że ma obowiązki w tych obszarach, i to niepozbywalne. Przewrót polityczny, który dokonał się jesienią 2023 r., przyniósł zerwanie z tą polityką. Uważam, że historyk i obywatel – przyglądający się temu wszystkiemu – powinien publicznie powiedzieć o tych sprawach kilka słów. Chodzi mi o to, aby to zostało ku pamięci. Tyle i tylko tyle.

Oczywiście politykę tworzenia nowych placówek oceniam bardzo pozytywnie. Uważam, że dobrze służyła Polsce. W krótkim czasie dała dużo. Rzecz jasna ktoś może uznać, że jestem stroną w tej sprawie, skoro byłem zaproszony do rad naukowych dwóch takich placówek – w Instytucie Pileckiego oraz Instytucie De Republica. Mam jednak prawo zabrać głos, bo jestem jednak historykiem z pewnym doświadczeniem pracy w placówkach naukowych zarówno typu uniwersyteckiego, jak i badawczego w ciągu ostatnich 25 lat. Mam też poczucie jakiegoś rozeznania w zagadnieniach nauki historii, jej kondycji i wyzwań, z jakimi się zmaga.

Musimy pamiętać o kryzysie uniwersytetów, który szaleńcza reforma Gowina jeszcze pogłębiła. Faktycznie doszło do przekształcenia ich w placówki świadczące jedynie usługi dydaktyczne. O ich poziomie nie wspomnę, bo to temat na inną rozmowę. Nie sposób nawet liczyć na to, że na uniwersytecie znajdą się jakiekolwiek środki na badania naukowe – chyba że z grantów. Obsługa owych grantów potęguje zaś, i to na wielką skalę, biurokratyczne czynności obciążające placówkę będącą gospodarzem grantu. Nie sposób myśleć nawet o środkach na zorganizowanie konferencji naukowej. Po cóż zbierać się na konferencjach, aby rozmawiać o tym, co jest do dyskusji, skoro ministerstwo nie daje za to punktów.

Zwolennicy tej władzy mówią, że były to upartyjnione ośrodki.

Tak mogą mówić tylko ludzie złej woli, do których nie mam ani zaufania, ani nawet specjalnego szacunku. Placówki, takie jak Instytut Pileckiego, Instytut De Republica, Instytut Literatury czy Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, w krótkim czasie przyniosły widoczne efekty. Zostawiły po sobie określony dorobek naukowy i wydawniczy. Czyż wydanie po polsku „Kodeksu Justyniana” [starożytnej pomnikowej kodyfikacji prawa] to jest objaw upartyjnienia nauki? Czy konferencja naukowa o powstaniach śląskich albo traktacie ryskim to uprawianie polityki? Czyż realizacja dużego grantu z problematyki myśli prawniczej Rafała Lemkina [twórcy kardynalnego pojęcia „ludobójstwo”] to inwestycja w propagandę PiS? Niech każdy sam odpowie na te pytania – zwłaszcza jeśli należy do sfer akademickich, choćby tylko z tytułu miejsca pracy.

To, co pan mówi, pokazuje dramatyczną kondycję polskiej nauki. Ileż rzeczy trzeba nadrabiać. Po 100 latach

Autopromocja

eprasa.pl 17872d6a24

wydano po polsku np. „Mitteleuropę" Friedricha Neumanna, klasykę niemieckiej geopolityki.

To tylko jeden z przykładów. Na polu przekładów najwięcej zrobił Instytut Pileckiego, ogłaszając po polsku sporą liczbę prac o doniosłym znaczeniu dla humanistyki – przede wszystkim z problematyki totalitaryzmu. Mogę wymieniać nazwiska, oczywiście nie wszystkie: François Furet, Ernst Nolte, Jörg Baberowski, Augusto Del Noce, Gertrude Himmelfarb. Takich przedsięwzięć nie realizuje się na żadnym uniwersytecie, chociaż mamy olbrzymią liczbę uczelni wyższych – rzecz jasna w części są to pseudouczelnie.

Niedawno w prywatnej rozmowie z prof. Andrzejem Nowakiem i prof. Magdaleną Gawin zastanawialiśmy się, ile osób w Polsce zajmuje się dzisiaj zagadnieniami totalitaryzmu. Jest ich nie więcej jak kilka. No, może przekroczyłoby się liczbę dziesięciu, gdyby uporczywie szukać – oczywiście chodzi mi o osoby stosujące teoretyczny paradygmat, który wiąże się z tym pojęciem, a nie takie, które np. potrafią napisać artykuł bądź książkę o sowieckiej polityce zagranicznej czy gospodarce hitlerowskich Niemiec. A przecież musimy pamiętać, że to Polska była pierwszą ofiarą dwóch totalitarnych mocarstw, a jej terytorium było laboratorium totalitarnej polityki, eksterminacyjnej, zbrodniczej. Zauważmy przy okazji, że pojęcie „totalitaryzm" – jako takie, które obejmuje swoim paradygmatem bolszewizm sowiecki i narodowy socjalizm w Niemczech – jest obecnie rugowane z języka historiografii i nauk społecznych. Trzeba się temu przeciwstawiać na miarę sił. Głos ten winien wybrzmiewać z Polski.

To, jak wiele można osiągnąć w krótkim czasie w zakresie nadrabiania zaległości w edycjach dzieł literackich, dobrze pokazuje przykład Instytutu Literatury. Jakże nie wspomnieć choćby pism Józefa Wittlina czy Andrzeja Bobkowskiego albo Józefa Łobodowskiego?

Ośrodki takie jak Instytut Pileckiego czy Instytut Literatury broniły reputacji polskiej humanistyki i historiografii, uzupełniając to, czego nie można było zrobić przed ich powstaniem. Umiejętnie podejmowały próbę zagospodarowania tematów, które leżały odłogiem. To nie miało niczego wspólnego z żadną polityką.

Inny zarzut zwolenników obecnej władzy to jednak koszty prowadzenia tej działalności.

Oczywiście, że utworzenie nowej placówki wymaga określonych kosztów, choćby budynku czy personelu pomocniczego. Tyle tylko, że tak to działa na całym świecie. Polska nie jest bantustanem albo wyspą-państewkiem, które nie podejmuje wysiłku inwestowania w naukę czy kulturę i jakoś żyje.

Czyli obecny rząd będzie zwijał instytucje?

Nie wiem, czy wszystkie – ale istotnie tak to wygląda. Na razie zlikwidowano Instytut De Republica. Prowadzi się

WEJDŹ NA: wPolityce.pl

eprasa.pl 17872d6a24

czystki w różnych placówkach. Wolno sądzić, że po ewentualnej zmianie na urzędzie prezydenta Rzeczypospolitej liberalno-lewicowy rząd będzie miał już całkowicie wolną rękę w swej niszczycielskiej akcji. Pewnie przyjdzie wówczas czas, aby się rozprawić i z Instytutem Pamięci Narodowej. W walce z postkomunistyczną narracją o dziejach Polski w II połowie XX w. zrobił on przecież najwięcej.

Jest karygodne, że w państwie, które ma tak kruche tradycje instytucjonalne, gdzie wszystko się buduje, potem rozwiązuje i (niekiedy) zakłada na nowo, w tak niesłychany sposób dziękuje się ludziom, którzy mieli pomysł, aby coś zrobić dla Polski. Często pojedynczo. Nie będę przecież odległy od prawdy, kiedy powiem, że Instytut Pileckiego stworzyła od zera jedna osoba (prof. Magdalena Gawin). Podobnie Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej stworzył prof. Jan Żaryn. Takie osoby wyrzuca się ze stanowisk po dwuminutowej rozmowie w ministerstwie albo przez telefon. Oczywiście padają oskarżenia o „niegospodarność", bo takie każdemu można postawić najłatwiej. Potem prokuratorzy umorzą sprawę, ale pomówienie zostanie w pamięci. Usłużne media je rozprowadzają.

To akurat jest tłumaczone jako odsuwanie „pisowskich kadr".

To jest polityka odstraszająca, rujnująca. To wygląda tak, jakby ktoś chciał skierować do społeczeństwa przekaz, żeby w przyszłości nikt na stanowisku publicznym nie angażował się za bardzo i nie wychodził z inicjatywą, tylko siedział ostrożnie na stołku i robił jak najmniej. To jeszcze wzmacnia mechanizm selekcji negatywnej. Po tym doświadczeniu trudniej będzie znaleźć ludzi do służby państwowej, którzy mają coś do zaproponowania.

Mam wrażenie, że Instytut Myśli Narodowej potraktowano jednak ze szczególną zapiekłością.

Potraktowano w sposób niesłychany. Na kierownika powołano publicystę-historyka, który dał się poznać z radykalnie lewicowych wizjami przeszłości Polski. Cynicznie wykorzystuje się nazwisko Gabriela Narutowicza, aby uczynić go patronem placówki – w miejsce Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego. Nie rozumiem, jak komuś o zdrowym podejściu do życia i ludzi mógł przeszkadzać „Słownik biograficzny polskiego katolicyzmu społecznego", który przygotowywał ten Instytut. Cóż złego w tym, że przełożono podstawową pracę prof. Mieczysława Biskupskiego o polityce Woodrowa Wilsona wobec Polski (zresztą z moim posłowiem)? Nie wspomnę już o konferencjach historycznych.

Może to w jakiś sposób naturalne, choć szkodliwe, że likwidują instytucje, z których profilem się nie utożsamiają?

No tak, tylko że w ten sposób zmierzamy drogą plemiennego ekskluzywizmu. To jest haniebne. Skoro ktoś nienawidzi Dmowskiego, to chociaż jego zasługi dla Polski, choćby na polu dyplomacji, są wyjątkowe, należy skazać go na wykreślenie z pamięci (*damnatio memoriae*) albo lżyć. Mnie takie myślenie nigdy nie odpowiadało, mimo przywiązania do dziedzictwa marszałka Piłsudskiego.

Chciałbym podkreślić jeszcze jedno. Otóż ludzie, którzy w obecnych realiach podejmują się roli kierowników placówek przejmowanych z rozporządzenia obecnych władz (tu dobry jest przykład Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej) – działają w sposób dla mnie niegodny. Ocena musi tu być jednoznaczna. Zwłaszcza jeśli są to osoby o statusie akademickim.

> Ośrodki takie jak Instytut Pileckiego czy Instytut Literatury broniły reputacji polskiej humanistyki i historiografii, uzupełniając to, czego nie można było zrobić przed ich powstaniem. Umiejętnie podejmowały próbę zagospodarowania tematów, które leżały odłogiem. To nie miało niczego wspólnego z żadną polityką

Jednak polscy intelektualiści nie stają w obronie tych instytucji.

Nie odnoszę wrażenia, aby zwłaszcza historycy w Polsce publicznie odnosili się do tej sprawy. Nie będę ukrywał, że jest to dla mnie dość smutne. I to też jest jednym z powodów, dla których dzielę się z panem tymi obserwacjami. Pewnie wielu przedstawicieli środowiska naukowego, jak się zdaje, obawia się zabrać głos. Mamy do czynienia z polityką wielkiego regresu. To jest niszczycielskie dla naszego kraju. Przyjdzie za to zapłacić wymierną cenę. Ktoś musi powiedzieć to głośno.

A co się stanie, jak prawica znowu przejmie władzę? Tworzymy instytucje od nowa?

Zobaczymy. Ja oczywiście wierzę w zmianę. Ale przywrócenie wielu z tych projektów, które przyniosło ostatnie ośmiolecie, nie będzie łatwe.

Z pewnością trudno o optymistyczne podsumowanie tej rozmowy.

Problemów związanych z funkcjonowaniem nauki (czyli humanistyki) nie rozwiąże się, głosząc hasła liberalne. Oczywiście można rozkazać historykom, aby – w myśl niesłychanej w swych postanowieniach ustawy Gowina – wyrabiali tzw. punkty. Można nie troszczyć się o realną pracę naukową: wydawanie źródeł, pisanie monografii, organizowanie konferencji, tłumaczenie prac obcych autorów, aby dotarły do szerszych kół inteligencji polskiej. Można jeszcze więcej. Np. w ogóle zostawić XX w. Niech jego historię piszą obcy. Oni zrobią to za nas. To właśnie jest droga do klęski.

eprasa.pl 17872d6a24

Scenariusz destabilizacji Zachodu

Uruchomiony kilkadziesiąt lat temu mechanizm nadal działa

DARIUSZ MATUSZAK

George Orwell i Aldous Huxley długo byli najsłynniejszymi prorokami Zachodu, którzy dzięki wyobraźni i przenikliwości dziesiątki lat temu opisali, jak obecnie może wyglądać nasza cywilizacja i co nas czeka w nowym wspaniałym świecie. Ale tego samego roku, w którym George Orwell umieścił akcję swej najsłynniejszej książki – 1984 – objawił się kolejny prorok. Ten w odróżnieniu od angielskich pisarzy nie musiał sobie niczego wyobrażać, fantazjować, by przekazać swoje wizje. Ba, nie miał nawet talentu pisarskiego o czym świadczy jego „List miłosny do Ameryki". Niczego nie wymyślał, nie doznał objawienia, tylko zwyczajnie nauczył się naszego dzisiejszego świata, kultury, funkcjonowania instytucji już w latach 60. ub.w. Wszystko to przekazano mu na kursach KGB i w działającym pod patronatem sowieckiej bezpieki Instytucie Języków Orientalnych, na którym studiował.

Mowa o Juriju Bezmienowie, sowieckim agencie, który w 1970 r. uciekł z Indii, gdzie pracował pod przykrywką jako dziennikarz i znalazł się w Kanadzie. Po 14 latach na Zachodzie w 1984 r. w serii wykładów i wywiadów opowiedział nam nasz świat Anno Domini 2024.

SPRAWDZAJĄCE SIĘ PRZEPOWIEDNIE

A jak się rodzi ten nasz nowy wspaniały świat? Według Bezmienowa nie jest on efektem starań, pracy, zamysłów wolnych społeczeństw, tylko kreacją, realizowanym projektem sowieckiej bezpieki. Oczywiście nie wszystko w najdrobniejszych szczegółach wymyślono w budynku przy pl. Dzierżyńskiego (dziś pl. Łubiański), gdzie mieściła się siedziba Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego (KGB), ale stymulowane przez Moskwę procesy i ludzie na jej służbie nieuchronnie prowadzą do wielkiej demoralizacji społeczeństw Zachodu, do destabilizacji i kryzysów. Uruchomiony kilkadziesiąt lat temu mechanizm nadal działa. Przerażająca jest chronologia i precyzja w detalach, o jakich mówił Bezmienow.

Ot, choćby to, że homoseksualizm przestanie być tylko prywatnym upodobaniem seksualnym, a stanie się ruchem politycznym stawiającym swe żądania, a to ze względu na jakąś równość, a to prawa człowieka. Kiedy Bezmienow o tym mówił, nie istniało nawet pojęcie LGBT+, będące zbiorowym określeniem przeróżnych zamiłowań seksualnych i rojeń o własnej płci. Albo to, że w szkołach będzie się uczyć coraz mniej matematyki, fizyki, za to co raz więcej choćby o zdrowym odżywianiu czy tzw. odkrywaniu swej seksualności.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 17872d6a24

SUN TZU Z KGB

Temu, o czym mówił Bezmienow, można nadać zbiorowy tytuł: „Jak pokojowo podbić państwo". Wszystko zgodnie z zasadami „Sztuki wojny" Sun Tzu. Gdy Bezmienow się na niego powoływał, ten starożytny chiński generał i filozof był na Zachodzie nieznany. Sowiecki szpieg twierdził, że takiej niemilitarnej, a ideologicznej koncepcji podboju nauczono wszystkich adeptów akademii wojskowych i KGB. Kiedy w 1984 r. prowadził wykłady w USA, to w ZSRR pewien absolwent szkoły KGB w Ochcie właśnie rozpoczynał kurs w Instytucie Czerwonego Sztandaru im. Jurija Andropowa. Tym kursantem był Władimir Putin.

Oczywiście koncept opracowany przez KGB był dostosowany do czasów rywalizacji dwóch wielkich bloków – komunistycznego i zachodniego. Stąd wiele pojęć czy nurtów ideologicznych, np. marksizm-leninizm, jest już nieco archaicznych. Sam Bezmienow odnosił się do Ameryki, więc w Polsce czasami jego przykłady nie wydadzą się aż tak trafne.

Jak wykładał, podbój państwa bez użycia broni – a według Sun Tzu tylko taki daje prawdziwe zwycięstwo – zajmuje 25–30 lat i składa się z czterech faz. To pranie mózgów obywateli podbijanego kraju, doprowadzenie do takiej zmiany postrzegania rzeczywistości, „by pomimo ogromu informacji nikt nie był w stanie wyciągnąć racjonalnych wniosków i obronić siebie, swojej rodziny, kraju". By narzucona przez agresora ideologia została przyjęta i uznana za własną. Wtedy podbija się nie tylko terytorium, lecz także umysły i ludzkie charaktery.

Pierwsza, najdłuższa, bo zajmująca 15–20 lat, faza prania mózgów to demoralizacja. Zajmuje tyle czasu, ile potrzeba na pełne wyedukowanie każdego osobnika, uformowanie poglądów i charakteru. Wszystko odbywa się legalnie i jawnie z pomocą oficjalnych organizacji i instytucji, np. edukacyjnych. Bezmienow twierdzi, że Sowieci zdobyli wpływ na amerykańskie szkolnictwo, w tym podstawowe, już w połowie lat 60. XX w. Wyprane mózgi wchodzą w świat dorosłych – do szkół, administracji,

Jurij Bezmienow

mediów, na swój obraz i podobieństwo kształtując kolejne. Proces odbywa się już właściwie bez udziału agresora. Bezmienow opowiadał o pokoleniu hipisów, komunistów, pacyfistów lat 60., przez których Ameryka przegrała wojnę z Wietnamem, a które później objęło władzę. Dziś Ameryką rządzą ujarani niegdyś trawą lewacy, jak John Kerry – wtedy lider antywojennego ruchu, za kadencji Baracka Obamy sekretarz stanu, u Joe Bidena zaś specjalny przedstawiciel ds. klimatu. Połowa administracji Obamy, jaki i on, wywodziła się z lewackich ruchów miejskich (coś jak ci, którzy teraz rządzą w warszawskim ratuszu), budowanych przez komunistę Saula Alinsky'ego. Kolejny komunista – John Brennan – został u Obamy nawet szefem CIA. Większość ludzi z ekipy Obamy odnalazła się teraz w administracji Bidena.

Oczywiście młodzieńcze fascynacje i temperamenty nieco się ugładzają i np. José Manuel Barroso, gdy jako szef Komisji Europejskiej zasiadał w Brukseli, nie reprezentował już komunistycznej, maoistycznej młodzieżówki, ale tzw. europejskich socjalistów. Spójrzmy na Olafa Scholza – młodziana wykarmionego i przeżywającego uniesienia w NRD. Stara miłość nie rdzewieje, więc jak była komunistyczna działaczka Angela Merkel, także on do dziś jest zauroczony Rosją jak niegdyś Związkiem Radzieckim

Pokolenie '68 przekazało sowiecką toksynę kolejnym, więc dziś „Manifest Partii Komunistycznej" jest jedną z najczęściej wypożyczanych książek w akademickich bibliotekach, 83 proc. absolwentów szkół wyższych nie odróżnia gospodarki wolnorynkowej od nakazowej, a 38 proc. tzw. milenialsów akceptuje komunizm.

POMIESZANIE POJĘĆ I WARTOŚCI

Demoralizacja odbywa się poprzez nieustanny atak na edukację, religię, relacje społeczne, administrację, wymiar sprawiedliwości, organy porządku i wojsko.

Spójrzmy na to z dzisiejszej perspektywy, choćby polskiej, i posłuchajmy jak stary komunista Włodzimierz Czarzasty mówi, że kończy się miękka gra z rozpasanym klerem czy Sławomir Nitras o opiłowywaniu katolików. Bezmienow twierdził, że z wiarą nie trzeba walczyć. Tę dominującą należy ośmieszyć i zastępować innymi kultami, choćby były prymitywne i naiwne. Niech będzie ich jak najwięcej. Niech Środa z Holland odczyniają gusła, a poseł Józefaciuk gada z głazami narzutowymi czy kamieniami nerkowymi. Niech każdy ma swoją wiarę i niech powstanie tyle instytucji religijnych – wszystkich sprawiedliwie równych – ile się tylko zmieści. Albo wojsko, Straż Graniczna, organy porządku. Niech Sterczewski, Joński czy Kurdej-Szatan biegają na granicę, obrażają i oskarżają tych, co jej strzegą. Niech władcy państwa, jak Tusk, Kosiniak-Kamysz czy Bodnar, będą ogłupieni, że żołnierze strzegący granic nie będą pewni, czy wolno im bronić ojczyzny i siebie. W wojnie ideologicznej dywersanci to aktorzy, profesorowie, dziennikarze, działacze społeczni, artyści, dyplomaci.

Możemy też spojrzeć na polski wymiar sprawiedliwości. Na szczęście Komisja Europejska zadekretowała u nas praworządność, więc nie da się już walczyć z Trybunałem Konstytucyjnym, KRS, sędziami, choć z pewnością, że posłanka Gasiuk-Pichowicz nadal będzie się wydzierać. W takim świecie przestępca jest sympatyczny, skrzywdzony przez społeczeństwo, a policjant to brutalny prymityw nadużywający władzy. Zupełnie jak ten, który w czasie aresztowania tak poddusił bandziora i narkomana George'a Floyda, że ten

eprasa.pl 17872d6a24

zmarł, co wywołało trwające kilka tygodni zamieszki, w których zginęło kilkanaście osób i spalono tysiące budynków.

Tu – po całkowitej demoralizacji – możemy mówić już o fazie destabilizacji społeczeństwa. Wszystkie wartości i pojęcia są pomieszane. Nie wiadomo, co jest dobre, co złe, co jest prawdą, co fałszem, kto chłop, kto baba, kto mama, a kto tata. Bezmienow mówi, że panuje taka równość, że utyrany człowiek ma te same prawa i przywileje co leń imigrant, który nie pracuje i tylko ssie zasiłki. Państwo ma też zapewnić wszystko, bo np. mieszkanie jest prawem, nie towarem. Niech się więc emeryci zrzucają na gniazdka dla warszawskich, uniwersyteckich paniczów.

W trwającej pięć lat fazie destabilizacji antagonizmy są tak wielkie, że wszyscy walczą ze wszystkimi. Nie ma kompromisów, tylko nieustanna walka, a najdrobniejsze problemy, które ludzie sami rozwiązywali, trafiają do sądów. W tym wszystkim swoją rolę mają media wyizolowane od społeczeństwa, działające jak zewnętrzna siła.

Kiedy w fazie destabilizacji stopień polaryzacji jest tak duży, że wszyscy się nawzajem nienawidzą, przestają działać instytucje, funkcjonować więzy wspólnotowe, pojawiają się jakieś samozwańcze komitety od tego i owego, jak KOD, organizacje przejmujące władzę i dochodzi do wojny domowej albo inwazji. Jak w przypadku bratniej pomocy od Sowietów w Czechosłowacji, Salwadorze, Angoli, Nikaragui, Libanie. Budzą się sowieckie śpiochy, pojawiają się silni przywódcy, czasami przywiezieni z zagranicy, jak Babrak Karmal do Afganistanu.

Jaki jednak wpływ na to wszystko miało KGB, na rząd dusz i umysłów milionów ludzi? Bezmienow twierdzi, że 85 proc. zasobów tej bezpieki było poświęcone nie tradycyjnej robocie szpiegowskiej i dywersyjnej, jak akty sabotażu czy wykradzenie formuły proszku do prania, jak to zrobił as PRL-owskiego wywiadu Zacharski. Koncentrowano się na pracy ideologicznej, w której największymi, najłatwiejszymi do pozyskania sojusznikami są środowiska intelektualistów i artystów – z Hollywood, mediów, uczelni. Z tych miejsc, gdzie wykuwa się świadomość ludzi i dusze narodów.

Bezmienow, który pracował pod przykrywką dziennikarza, twierdził, że osiągał wielkie efekty, urządzając wielkie pijaństwa i imprezy dla zagranicznych kumpli po fachu. Czasami trzeba było zapłacić, ale najczęściej zaspokoić monstrualną łasość na pochlebstwa i uznanie, ego artystów do kosmosu rozdęte.

> Pokolenie '68 przekazało sowiecką toksynę kolejnym, więc dziś Manifest Partii Komunistycznej jest jedną z najczęściej wypożyczanych książek w akademickich bibliotekach, a 38 proc. milenialsów akceptuje komunizm

Ledwie naszkicowaliśmy to, o czym mówił Bezmienow. Wszystko jest do znalezienia w internecie. Nie da się uniknąć przerażającej konstatacji, iż 40 lat temu mówił o dzisiejszych czasach. Te detale, jak choćby to, że w szkołach dieta będzie ważniejsza niż matematyka, te smaczki o ruchach homoseksualistów walczących o prawa człowieka, o upadku wymiaru sprawiedliwości nie wydają się być dziełem przypadkowej gadaniny, jakichś zmyśleń, tylko są jak wiedza. Jak odczyt instrukcji. „The New York Times" twierdzi, że opisany przez Bezmienowa model dywersji ideologicznej został wykorzystany w działaniach poprzedzających najazd Rosji na Gruzję w 2008 r.

DYLATACJA PRANIA MÓZGÓW

Dochodzimy do sedna sprawy. Związek Sowiecki zdechł, ale pomiot po nim – zombie Rosja żyje. W przenośni i uproszczeniu mamy do czynienia z czymś jak dylatacja czasu. Zniknął pewien punkt odniesienia, wielka masa grawitacyjna, którą był ZSRR, więc i upływ czasu się nieco spowolnił. Gdyby to komunistyczne monstrum nie padło, to, co się dzieje dziś, wydarzałoby się, powiedzmy, 20 lat wcześniej – dywersja ideologiczna została więc powstrzymana na dwie dekady. Kreml nie był w stanie prowadzić takich operacji. Wrócił do sił dopiero po tym, jak polityka Zachodu, głównie Niemiec, znów pozwoliła mu się utuczyć.

Rosja Putina nie ma aż tak wielkiej masy grawitacyjnej co Związek Sowiecki nawet w epoce starców – Breżniewa, Andropowa, Czernienki, ale weszliśmy w nową fazę i kremlowskie wpływy sięgają nie tam, gdzie lewica Zachodu i usłużne media wskazują, ale zupełnie gdzie indziej. To np. ideologia LGBT+, to szkoła Barbary Nowackiej dla nieuków, to przyklejeni do jezdni wariaci, Kurdej-Szatan bluzgająca na strażników granic, setki niewybieranych ciał ssących nasze pieniądze, jak jakaś tam fundacja, które za 130 tys. zł od warszawskiego ratusza Trzaskowskiego napisała stroniczki o zdejmowaniu krzyży. To NGO przemycające łodziami ludzi, sekty i kulty, jak objawienia klimatycznego. Zachód może się zastanawiać, na którym etapie fazy demoralizacji albo destabilizacji się znajduje.

Bezmienow skończył jak wielu proroków – w poniżeniu i zapomnieniu. Rząd Kanady – premiera Pierre'a Trudeau, ojca wiecznie uśmiechniętego Justina – zdradził go i sprzedał Rosjanom. Bezmienow przez jakiś czas pracował w Radio Canada International, ale został z niego wyrzucony na prośbę Kremla i zdyskredytowany. Sprawę załatwił wielki przyjaciel rodziny Trudeau, ambasador Aleksander Jakowlew. Zrobiono wszystko, by Bezmienow ze swoimi proroctwami nie zaistniał. Który z władców chce słuchać, że został tak zdemoralizowany, zindoktrynowany, zmanipulowany, że podskakuje, jak mu choreografię niegdyś Andropow, a dziś Putin ułożył. Załamany Bezminow zaczął pić i zmarł od zatrucia alkoholowego. Albo załatwili go kumple z KGB.

eprasa.pl 17872d6a24

Derk Jan Eppink to holenderski dziennikarz i polityk, który dobrze zna nasz kraj i zawsze bronił naszych praw do wpływania na kształt UE i suwerennego układania spraw w Polsce. Michał Karnowski rozmawiał z nim w kwietniu na konferencji Make Europe Great Again w Bukareszcie

Macie prawo!

Szokowało mnie, jak łatwo ludzie, którzy nic nie wiedzą o Polsce, miotają oskarżenia wobec niej. Cytowałem z mównicy pierwsze słowa polskiego hymnu. Podkreślałem: jeśli tego nie znacie, nic nie rozumiecie z pragnień Polaków. Polacy to wolny i dumny naród, nie można go tak traktować – mówi Michałowi Karnowskiemu ***Derk Jan Eppink***, holenderski dziennikarz i polityk

Wiem, że dobrze zna pan Polskę. Jak i kiedy zaczęła się ta przygoda?

Derk Jan Eppink: Pierwszy raz pojechałem do Polski już w 1982 r. jako 24-letni student. Byłem członkiem organizacji studenckiej ONZ, która funkcjonowała także w waszym kraju. I choć był to czas stanu wojennego, ciężki czas dla Polaków i mało wymiany między Polską a Zachodem, do wizyty doszło. Kolejny etap to czas upadku muru berlińskiego. Pracowałem jako dziennikarz dla szanowanego holenderskiego dziennika „NRC Handelsblad" i zostałem poproszony lub wydano mi takie polecenie, bym został korespondentem w Polsce i Czechosłowacji.

Wyboru nie było?

Wtedy to było miejsce, gdzie działy się najważniejsze rzeczy, więc nawet nie rozważałem odmowy. Pojechałem samochodem do Warszawy i potem dużo podróżowałem pociągiem lub samochodem pomiędzy stolicą Polski, Pragą a Holandią.

Pamiętając ówczesne drogi, musiało to być trudne wyzwanie.

Zdecydowanie. Bywało to bardzo ciężkie pod względem logistycznym. Zwykle podróż do granicy Niemiec zajmowała więcej czasu niż pozostała trasa do mojej ojczyzny. Było to wycieńczające i niebezpieczne, wielkie ciężarówki zmieszane z ciągniętymi przez konie powozami tworzyły na wąskich drogach ekstremalną mieszankę. Objechałem też wtedy całą Polskę, wszystkie większe miasta, wiele mniejszych, poznałem ówczesną

Fot. Fratria

eprasa.pl 17872d6a24

polską wieś. Poznałem też polską elitę polityczną, zarówno opozycyjną, przejmującą władzę, jak i ludzi systemu komunistycznego. M.in. przeprowadziłem wywiad z Czesławem Kiszczakiem, współodpowiedzialnym za represje stanu wojennego. Pamiętam, że próbował przekonywać mnie do tezy, iż musieli sami zdławić Solidarność, bo inaczej zrobiłaby to Moskwa.

Stara wymówka, niemająca potwierdzenia w ustaleniach historyków.

To prawda. Ogólnie było to fascynujące doświadczenie. Mogłem z bliska widzieć zmiany zachodzące w Polsce i Czechosłowacji. Kiedy przybyłem do Polski, system sowiecki już padał, ale nie było jasne, w jakim kierunku potoczy się to wszystko, jaki będzie ostateczny finał tych rewolucji, w wymiarze państwowym, politycznym, gospodarczym i społecznym. Musiałem zatrudnić asystenta, który starał się zapewnić jakieś jedzenie, paliwo, podstawowe warunki techniczne – inaczej musiałbym poświęcać temu całe dnie i nie mógłbym pisać. Żeby dodzwonić się do redakcji, nadać korespondencję, musiałem czekać do nocy, w ciągu dnia było to niemożliwe. To zawsze były dwa połączone wyzwania. Pierwsze – napisać ciekawy artykuł. Drugie – przekazać go do Holandii.

Dostrzegał pan, jak ciężki to był czas dla Polaków?

Oczywiście, dużo też o tym pisałem. W samej Warszawie dość szybko było widać odbicie, rozwój, dobre zmiany. Im dalej od stolicy i wielkich miast, tym sytuacja była trudniejsza. Na południu widziałem katastrofę całego przemysłu ciężkiego, potężne bezrobocie, na wschodzie upadek całego państwowego rolnictwa. Widziałem ludzi pozbawionych pracy, mieszkań, właściwie możliwości normalnego życia. Widziałem ekologiczną katastrofę. Na każdym rogu przed wolną Polską piętrzyły się potężne trudności.

Długo pan pracował w Polsce?

Wyjechałem z Warszawy w 1991 r., już po wyborach prezydenckich w listopadzie i grudniu 1990 r. Lech Wałęsa rzucił wtedy wyzwanie Tadeuszowi Mazowieckiemu. Ten premier starał się wszystko jakoś połączyć, ustabilizować, ale widać było, że Polacy oczekują szybszych zmian. Symbolem zmęczenia wielu pańskich rodaków był sukces Stanisława Tymińskiego, który pojawił się znikąd – a precyzyjnie z Kanady. Pamiętam, jak wsiadłem do jego samochodu, w środku była też jego żona, i zacząłem pytać: „Dlaczego pan przyjechał tu z Kanady? Co zamierza pan zrobić?". Odpowiedział, że powie mi później i wygonił z samochodu.

Wiem, że bywa pan w Polsce także teraz. Jakie odnosi pan wrażenia?

Postęp jest niewyobrażalny. Warszawa to nowoczesne, rozwinięte i bogate miasto ze wspaniałymi drapaczami chmur. Bardzo zmieniła się też cała Polska. Widać również, że dobrze wykorzystaliście wasze szanse, zbudowaliście świetne drogi i infrastrukturę, co wśród państw, które doświadczyły komunizmu, wcale nie jest tak częste. Polska jest mi zatem bliska i dzisiaj, myślę, że rozumiem jej postawę i marzenia, obawy przed rosyjskim zagrożeniem. Dla nas Rosja jest bardzo daleko, dla was i państw bałtyckich to bezpośrednie zagrożenie. Dodam, że zdecydowałem się rozpocząć karierę polityczną i gdy dwukrotnie byłem posłem do Parlamentu Europejskiego, dołączyłem do frakcji politycznej w dużym stopniu współtworzonej przez polskich polityków.

> Pamiętam Polskę z okresu upadku komunizmu i znam dzisiejszą. Postęp jest niewyobrażalny. Widać, że dobrze wykorzystaliście wasze szanse, zbudowaliście świetne drogi i infrastrukturę, co wśród państw, które doświadczyły komunizmu, wcale nie jest tak częste

To Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, do której należy delegacja Prawa i Sprawiedliwości w PE.

Dobrze się nam współpracowało, może także dlatego, że potrafię czytać po polsku, komunikować się w podstawowym stopniu. Wywiadu jeszcze nie udzielę ani nie przeprowadzę po polsku, tu potrzebowałbym pomocy tłumacza, dlatego rozmawiamy po angielsku. Ale oczywiście najważniejsze jest podobne podejście do najważniejszych wyzwań, przed jakimi stoi Europa, i stosunek do suwerenności państw europejskich. Dlatego i w PE, i w holenderskim parlamencie, którego byłem członkiem od 2021 do 2023 r., broniłem Polski. Ostro ścierałem się na ten temat z atakującymi wasz konserwatywny rząd politykami lewicy i liberałów.

Co im pan mówił?

Że reprezentują aroganckie podejście, jakby Polska była małym dzieckiem, które należy wychowywać, że *de facto* odmawiają jej prawa do realnej demokracji. Szokowało mnie, jak łatwo ludzie, którzy nic nie wiedzą o Polsce, miotają oskarżenia wobec niej. Cytowałem z mównicy pierwsze słowa polskiego hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy". Oczywiście nigdy wcześniej tego nie słyszeli. Podkreślałem: „To zawiera w sobie całą polską historię, jeśli tego nie wiecie, nic nie rozumiecie z pragnień Polaków. Polacy to wolny i dumny naród, nie można go tak traktować".

Używano wtedy argumentu o rzekomym łamaniu praworządności. Jak to rozumiano?

To był argument wykreowany przez ludzi, którzy prawie nic nie wiedzieli o Polsce, nie rozumieli jej historii, nie pojmowali, dlaczego Polacy chcą pewne rzeczy zmienić, naprawić w swoim państwie. Ta „moralna arogancja" występuje także w stosunku do Węgier, które są atakowane dokładnie w ten sam sposób. Nasz były premier Mark Rutte w pewnym momencie wypowiedział skandaliczne słowa, że „zamierza zmusić

eprasa.pl 17872d6a24

Węgry, by padły na kolana". To było obelżywe i nieakceptowalne.

W tle tej gorącej bieżącej debaty unosi się pytanie, czy my, środkowo-wschodni Europejczycy, mamy prawo walczyć o naszą wizję Unii Europejskiej? Czy też jesteśmy tylko gośćmi w tym bogatym klubie i powinniśmy z pokorą pamiętać o tym każdego dnia?

Zawsze byłem zwolennikiem rozszerzenia Unii Europejskiej na Wschód, jako dziennikarz i polityk zabiegałem o to, wspierałem ten cel. I nigdy tego nie żałowałem. Zakładałem bowiem, że rozszerzenie, przesunie unijnego centrum w kierunku konserwatywnym, poszerzy spektrum polityczne wspólnoty. Tak się stało. Tradycyjne wartości, takie jak rodzina, religia, szacunek dla własnej wspólnoty i państw, zostały na Zachodzie zagubione. Doszło do tego, że gdy zaczynasz mówić o rodzinie i wartościach, zostajesz wyśmiany, zepchnięty na margines, uznany za staromodnego. Wchodząc do UE, wnieśliście zatem – Polacy, Węgrzy, inne narody – coś bardzo cennego, uzupełniliście potężną wyrwę kulturową.

Ale przekonują nas, że gospodarczo był to ruch w jedną stronę: prezenty dla biedaków. To prawda?

Najważniejszy dla rozwoju waszego regionu był dostęp do wspólnego rynku. To podstawa, która pozwoliła rosnąć firmom, dała inwestycje i wzrost gospodarczy. Często ginie jednak z oczu druga strona tego medalu – potężne korzyści, jakie odniosły z otwarcia rynków na Wschodzie zachodnie koncerny i państwa. Był to też potężny zastrzyk wykwalifikowanych pracowników, w tym przysłowiowych polskich hydraulików. Na początku związki zawodowe ostro protestowały przeciw temu, dziś wszyscy zabiegają o pracowników z Polski, bo sami mamy dramatycznie mało ludzi zdolnych coś naprawić, zrobić. To samo powtórzyło się ostatnio z uchodźcami z Ukrainy. Mamy ich w Holandii 100 tys. i bez problemu znajdują pracę.

Dochodzimy do pytania o politykę migracyjną. Czy mamy prawo ją kształtować? Decydować, kto może zamieszkać w naszym kraju? A może to jest rasizm?

Oczywiście, że macie prawo jak każdy naród. Macie prawo kształtować swój własny kraj. Europejska wspólnota nie może polegać na wymuszaniu kapitulacji, na granicach i w wymiarze kulturowym. Odwrotnie: ona ma dawać siłę do wzmacniania bezpieczeństwa oraz podnoszenia atrakcyjności poszczególnych kultur. By to było możliwe, narody muszą mieć narzędzia do kontroli własnych państw i – nie lekceważmy tego wymiaru – kultur narodowych.

Europejskie elity bardzo krytykują naszą politykę migracyjną. A jak patrzą na to zwykli ludzie?

Uważam, że wiele narodów Europy Zachodniej chciałoby mieć podobną politykę migracyjną jak Polska i Węgry: wybierasz, kogo chcesz przyjąć, udzielasz schronienia tym, których życie naprawdę jest zagrożone, są prześladowani. Ale jednocześnie zdecydowanie kontrolujesz granice, decydujesz o przyszłości swojego państwa i narodu. Ludzie mi mówią: „my też tego chcemy, to rozsądna polityka". Kiedy spacerujesz po Warszawie czy Budapeszcie, nikt i nic ci nie zagraża, jesteś bezpieczny. Dla was to może oczywiste i normalne, ale dla nas to ważne, inspirujące doświadczenie, bo w wielu miastach Europy Zachodniej jest zupełnie inaczej, znacznie gorzej.

> Tak, zyskaliście na wejściu do UE. Często ginie jednak z oczu druga strona tego medalu – potężne korzyści, jakie odniosły z otwarcia rynków na Wschodzie zachodnie koncerny i państwa

Skąd zatem tak duża presja Zachodu, by u nas, w Polsce i na Węgrzech, było tak samo?

Ta presja ma swoje źródła w dominacji Zachodu w sferze kultury, mediów, nauki. Rządzący tam ludzie są przekonani, że oni wiedzą, jak należy żyć i że mają prawo przymusić do tego pozostałych. Lewicowa ideologia woke sieje spustoszenie w Stanach Zjednoczonych, mocno weszła do Europy, prze do zajęcia Europy Środkowo-Wschodniej. Jej skutki są bardzo złe w każdej sferze życia i kultury. Budzi to zrozumiały opór narodów.

Jakiego rozwoju sytuacji spodziewa się pan w nowym Parlamencie Europejskim?

Bez wątpienia będzie bardziej prawicowy niż obecny. Zasadnicze pytanie dotyczy tego, czy Europejska Partia Ludowa zdecyduje się pójść w lewo i zawiązać koalicję z lewicą, czy pójdzie na prawo i tam poszuka koalicjantów. Pierwszy wariant będzie dla tej formacji w dłuższej perspektywie samobójczy, bo ludzie oczekują dziś zwrotu na prawo.

Czy w pańskiej ocenie możliwe jest stworzenie jednej, wielkiej frakcji prawicowej?

Taka koncepcja, nawiązująca do „wielkiego namiotu" Ronalda Reagana, wymagałaby silnego lidera. Nie mamy go, nie mamy też takiej tradycji. Lepiej zatem stworzyć kilka grup i dobrze współpracować, nauczyć się hamować wzajemne emocje, zapomnieć o konfliktach z przeszłości i skupić się na przyszłości Europy. Taka koalicja powinna wypracować wspólne stanowisko w sprawie wyboru Komisji Europejskiej i w kluczowych sprawach. W ten sposób będziemy najbardziej skuteczni.

Zdolni zatrzymać nowe traktaty unijne, które przerażają ludzi ceniących niepodległość własnych ojczyzn?

Nowe traktaty są promowane jako krok ku federalizmowi, ale w rzeczywistości to centralizacja Europy, dużo więcej władzy dla politycznego centrum w Brukseli. Mam nadzieję, że to zablokujemy – w nowym Parlamencie Europejskim i na poziomie rządów oraz państw narodowych. Zadanie jest jasne: skończyć z ignorowaniem głosu wielu Europejczyków.

eprasa.pl 17872d6a24

Wielka gra o Komisję Europejską

Po dokonaniu wyboru nowego składu Parlamentu Europejskiego w UE właśnie zaczyna się wielka gra o polityczny i personalny kształt nowej Komisji Europejskiej. Bez obawy o przesadę można skonstatować, iż od czasu zawarcia traktatu w Maastricht owa rozgrywka nie miała aż tak istotnego znaczenia dla bliskich politycznych losów naszego kontynentu

JAN ROKITA

Są dwa główne tego powody. Pierwszy to taki, iż zakres realnej władzy Komisji Europejskiej, a zwłaszcza jej szefa, nad teoretycznie suwerennymi państwami członkowskimi nigdy dotąd nie był tak rozległy i głęboki. Owszem, pierwszy milowy krok na drodze do takiej kumulacji władzy został poczyniony już dość dawno temu, na początku drugiej dekady naszego wieku, gdy w efekcie kryzysu walutowego ustanowiono władczy nadzór Komisji nad politykami gospodarczymi państw członkowskich (tzw. procedura scoreboardingu).

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl 17872d6a24

Ale tak naprawdę to dopiero praktyka rozwinięta w ciągu pięcioletniej kadencji Ursuli von der Leyen usankcjonowała niepisaną regułę, wedle której szef Komisji jest *de facto* władny narzucić swoją wolę każdemu krajowi członkowskiemu, i to w dowolnej dziedzinie polityki. Może to uczynić dzięki zastosowaniu tzw. budżetowej warunkowości i tzw. kamieni milowych, które dają w zasadzie nieograniczone pole szantażu finansowego wobec każdego rządu, w jakikolwiek sposób zależnego od partycypacji we wspólnych funduszach europejskich. A dzisiaj uzależnione od tych funduszów są już nie tylko rządy Europy Środkowo-Wschodniej, lecz także w zasadzie cała unijna Europa, łącznie z Francją, Włochami, a nawet w jakiejś mierze Niemcami.

Zatem obsada politycznie „życzliwego" szefa Komisji to dzisiaj kwestia narodowego interesu dla niemal wszystkich (może najmniej dla Skandynawów) rządów państw unijnych.

To jednak nie wszystko, bo jest i druga wyjątkowa okoliczność rozpoczynającej się właśnie wielkiej gry o Komisję. Jak nigdy dotąd obie główne instytucje wspólnotowe Unii (a więc Komisja Europejska i Parlament Europejski) stały się polem bitwy o dalszy kształt kilku kluczowych dla przyszłości Europy polityk, daleko wykraczającej poza granice narodowe. Z pewnym uproszczeniem można rzec, iż jest to wyjątkowo ostry (jak na dotychczasowe standardy wewnątrzunijnej polityki), ponadnarodowy spór pomiędzy unijną lewicą i prawicą. A stawką w nim jest po pierwsze – ekologiczna przebudowa całej europejskiej gospodarki, a co za tym idzie stylu życia Europejczyków. Po drugie – kierunek, w którym na długo rozstrzygnie się europejska polityka migracyjna. A po trzecie – sposób, w jaki zostanie rozładowane obecne napięcie, wynikające z presji na zmianę europejskich traktatów, tak by formalnie usankcjonować praktykę legalnego zwierzchnictwa Komisji i Parlamentu nad rządami oraz parlamentami państw członkowskich.

Na te fundamentalne kwestie nakłada się oczywiście rozległa i wielowątkowa intryga polityczno-personalna, w której chodzi (jak zawsze w polityce) o zadawnione urazy, uprzedzenia, czasem wrogość, a zawsze ambicje kluczowych figur europejskiej gry o władzę.

KONIEC DOMINACJI NIEMIEC?

Pięć lat temu Macron w decydującym momencie poparł wybór niemieckiej chadeczki von der Leyen na szefa Komisji, choć zrobił to dopiero wtedy, gdy upór Morawieckiego doprowadził do zablokowania nominacji dla wrogiego wobec Polski holenderskiego socjalisty Timmermansa. Opcja Francji na rzecz wyboru Niemki na tę funkcję była w tamtym czasie precedensem, bo aksjomatem francuskiej polityki przez długie lata było umiejętne blokowanie nadmiernej roli Niemców w instytucjach europejskich. Ale tym razem dla Paryża decydujące było to, iż kandydatką została zaufana przyjaciółka ówczesnej niemieckiej kanclerz, a Macron wszystkie swe rozległe plany reformowania Europy wiązał wtedy z Merkel. No i na tej zasadzie przyjaciółka pani kanclerz objęła na pięć lat kluczową funkcję w Europie.

> Z polskiej perspektywy najmniejszym złem wydaje się kontynuacja Komisji Europejskiej pod wodzą Ursuli von der Leyen

Teraz jednak coraz częstsze są spekulacje, iż w Paryżu chętnie by zakończono niemieckie panowanie w Komisji. Niedawno bliski prezydentowi Macronowi europoseł Pascal Canfin otwarcie zasugerował, iż Niemkę mógłby zastąpić bodaj najbardziej znany eurokrata, 76-letni Włoch Mario Draghi, były prezes Europejskiego Banku Centralnego, a potem premier Włoch, ustanowiony bardziej przez unijnych przywódców niźli przez włoski naród czy parlament.

A prezydent Francji ma przecież nie tylko ów „narodowy" powód, aby po cichu dążyć do zablokowania Niemki i zastąpienia jej politykiem bliższym Francji. Macron jest także *de facto* przywódcą europejskiej międzynarodówki liberałów, do której należy jego partia Odrodzenie. Zaś ta międzynarodówka wespół z socjalistami i zielonymi zdążyła już stanowczo potępić postawę von der Leyen, która kilkakrotnie sugerowała gotowość bliższej współpracy z nową europejską prawicą, zwłaszcza z obozem włoskiej premier Giorgii Meloni. Ta zaś nadal jest traktowana przez socjalistów i liberałów jako zręcznie maskująca się faszystka, wokół której w Europie należy raczej stworzyć kordon sanitarny, niźli zapraszać ją na unijne salony.

Wśród liberałów niemiecka szefowa Komisji ma jeszcze jednego nieprzejednanego wroga, który dotąd siedział cicho, ale teraz się uaktywnił, zamierzając utrudnić von der Leyen zdobycie kolejnej kadencji. Jest nim następca Tuska w roli szefa Rady Europejskiej – były belgijski premier Charles Michel. Jego druga kadencja w tej roli kończy się 1 grudnia br. i w przeciwieństwie do von der Leyen on nie może się już ubiegać o przedłużenie. Ale to właśnie Michel będzie teraz prowadzić kolejne zebrania przywódców Unii (najbliższe są 17 i 27 czerwca), w trakcie których kwestia obsady szefostwa Komisji z konieczności musi stać się sprawą numer jeden. Szef Rady publicznie nie kryje tego, iż jego zdaniem Niemka źle przewodziła Komisji przez ostatnich pięć lat, gdyż odrzuciła tradycyjną bezstronność postawy KE wobec różnych ideowo rządów państw członkowskich, otwarcie angażując się za jednymi, a przeciw innym.

Opis Michela jest oczywiście prawdziwy, o czym w Polsce wiemy chyba najlepiej. Można tylko mocno wątpić w to, czy polityk z obozu liberałów postawiony na czele Komisji (np. bezpartyjny, ale sprzyjający liberałom Draghi) nie byłby jeszcze bardziej ideologicznie stronniczy w takich kluczowych materiach, jak imigracja, Zielony Ład albo projekt nowych traktatów.

SOJUSZ Z PRAWICĄ?

Oczywiście von der Leyen może liczyć na poparcie rządu Niemiec, choć jej

eprasa.pl 17872d6a24

chadecka partia zwalcza ów rząd na wewnątrzniemieckiej scenie. W Berlinie jednak, podobnie zresztą jak w Paryżu, nawet ostre spory wewnętrzne nie przesłaniają państwowego interesu, którym są narodowe wpływy w instytucjach europejskich. Dlatego socjalistyczny kanclerz Olaf Scholz ze 100-proc. pewnością złoży wniosek o przedłużenie kadencji swojej chadeckiej rodaczki na następne pięć lat. W niemieckiej koalicji rządzącej to raczej tamtejsi zieloni mają spory interes w tym, aby ów wniosek nie przeszedł w Radzie Europejskiej (wymaga tam tzw. podwójnej większości) albo został odrzucony w późniejszym głosowaniu w Parlamencie Europejskim.

Niemiecka umowa koalicyjna zakłada bowiem, iż jeśliby Niemce nie udało się zyskać wystarczającego poparcia, to właśnie Partia Zielonych wysunie niemieckiego kandydata na komisarza. W Berlinie panuje przekonanie, że byłaby to Franziska Brantner, dziś prawa ręka wicekanclerza Roberta Habecka w resorcie gospodarki, odpowiadająca właśnie za sprawy europejskie. Naturalną rzeczą byłoby wtedy, aby Brantner przejęła koordynację polityki klimatycznej w skali Unii. A dla zielonych nie ma dziś rzeczy ważniejszej, niźli obronienie Zielonego Ładu, który chwieje się pod ciosami prawicy i farmerów. Von der Leyen coraz wyraźniej wypiera się tego programu, który jeszcze rok temu uważała za swoje sztandarowe przedsięwzięcie

W całej grze jeszcze jednym istotnym uczestnikiem jest włoska premier Meloni. Podczas decyzji w Radzie Europejskiej jej hipotetyczne poparcie dla von der Leyen mogłoby nie zwrócić aż tak wielkiej uwagi, zważywszy, że nominacja szefa Komisji wymaga zgody zaledwie 15 spośród 27 państw członkowskich (w tym państw dużych), nie jest zatem zbyt trudna do osiągnięcia. Ale aby objąć urząd, kandydat na szefa Komisji musi uzyskać aż 361 głosów w Parlamencie Europejskim, a to będzie wymagać albo solidnego sojuszu międzynarodówki chadeckiej EPL z socjalistami, liberałami i zielonymi, którzy chcą budować kordon sanitarny wokół całej prawicy łącznie z partią Meloni, albo skonstruowania przez von der Leyen trudnej na razie do wyobrażenia wielkiej koalicji centroprawicowej.

Rzecz w tym, że EPL chciałaby lekkiego skrętu na prawo, wyczuwając atmosferę w Europie niesprzyjającą ani radykalizmowi Zielonego Ładu, ani tolerancji dla obcych imigrantów, ani wreszcie jakiemuś kolejnemu skokowemu pogłębieniu integracji w hipotetycznych nowych traktatach. Taki zwrot wymagałby jednak centroprawicowej koalicji w Parlamencie Europejskim, co musiałoby oznaczać dla von der Leyen ryzyko utraty głosów socjalistów, liberałów i zielonych. A skoro tak, powstaje oczywiste pytanie: czyimi głosami miałaby być wtedy zatwierdzona von der Leyen? Meloni, Kaczyńskiego, Orbána i Le Pen? To w każdym razie dziś bardziej wygląda na jakieś ćwiczenie polityczne aniżeli realny scenariusz.

Z POLSKIEJ PERSPEKTYWY

Ta kwadratura koła sprawia, że przywódcy Unii mogą szukać pomysłu na zmianę szefa Komisji. Albo od razu, czyli za pierwszym podejściem, albo (co mniej prawdopodobne) po przegranym przez von der Leyen głosowaniu w Parlamencie. To w takich okolicznościach Francja może zacząć forsować kandydaturę Draghiego, dla której „narodowe" poparcie od Meloni nikogo by wtedy nie zdziwiło. Albo liderzy chadeków, czyli frakcji nadal dominującej w Parlamencie po wyborach, mogą wysunąć inną własną kandydaturę. Mniej prawdopodobne, aby mógł to być odchodzący z urzędu 65-letni prezydent Rumunii Klaus Iohannis, choć zdaje się, że on sam stawia właśnie na taki scenariusz. Nie wygląda jednak na to, aby Francja, Hiszpania albo Włochy były gotowe obsadzić polityka z Europy Środkowej na najważniejszym unijnym stołku, nawet gdyby okazało się to strawne dla Berlina, skoro Iohannis jest w końcu reprezentantem niemieckiej mniejszości narodowej żyjącej w Rumunii (tzw. Sasów siedmiogrodzkich).

Pewniejszą kandydaturą mogłaby być darzona osobistą sympatią w całej unijnej elicie dotychczasowa przewodnicząca Parlamentu Europejskiego 45-letnia Maltanka Roberta Metsola, która ma wyjątkowy talent do uprawiania obrotowej polityki i potrafi to nawet czynić z pewnym wdziękiem. Trudno powiedzieć, jak jej się to udaje, ale potrafi np. zachować zarówno sympatię ruchów pro-life, mówiąc im o nieszczęściu masowych aborcji, jak i feministek, z którymi ramię w ramię walczy o tzw. prawa reprodukcyjne. Metsola mogłaby przynajmniej przez jakiś czas opowiadać się jednocześnie za i przeciw Zielonemu Ładowi, być rzecznikiem imigrantów i popierać budowanie przeciw nim zapór granicznych, a nawet wspierać radykalną wersję nowych traktatów, broniąc zarazem suwerennych praw państw. Być może ktoś taki, dysponujący przy tym urokiem osobistym, byłby w stanie przez jakiś czas utrzymać koalicję złożoną z chadeków, konserwatystów, socjalistów, liberałów i zielonych. Niewykluczone, że właśnie kogoś takiego chętnie widzieliby unijni przywódcy w roli nowego szefa Komisji Europejskiej.

Na tak mniej więcej wyglądającym polu wyboru z polskiej perspektywy najmniejszym złem ciągle wydaje się kontynuacja Komisji pod wodzą von der Leyen. Jest bezspornym faktem, że w ostatnich pięciu latach prowadziła ona nieuczciwą grę z polskim rządem, najpierw udając wdzięczność wobec Morawieckiego za otwarcie drogi do jej kandydatury w 2019 r., a potem konsekwentnie oszukując go co do swoich prawdziwych intencji. Do pewnego stopnia można to zrozumieć, jeśli pamiętać, że jej partia EPL bezwzględnie dążyła do zmiany władzy w Polsce, więc szefowa Komisji z ramienia tej partii nie miała nazbyt szerokiego pola manewru. Tak czy owak, zmiana władzy w Polsce zamknęła cały tamten problem. A dzisiejsi poważni kontrkandydaci Niemki do posady szefa Komisji są bardziej ryzykowni z polskiej perspektywy. Dotyczy to w pierwszej kolejności powiązanego z francuskimi interesami eurokraty Draghiego oraz doskonale oportunistycznej Metsoli. Gdyby Iohannis miał jakieś szanse, to być może warto by na niego stawiać, choć i w tym tkwiłoby spore ryzyko popierania czegoś, co w gruncie rzeczy jest niepewne i nieznane.

eprasa.pl 17872d6a24

Franciszek w ogniu krytyki

W ostatnim czasie papież zaskakuje nie tylko obraźliwymi sformułowaniami, lecz także wykluczającymi się wzajemnie stwierdzeniami

GRZEGORZ GÓRNY

Pod koniec zeszłego miesiąca wokół Stolicy Apostolskiej rozpętała się kolejna burza medialna. Tym razem wywołały ją słowa Franciszka wypowiedziane 20 maja podczas zamkniętego spotkania z biskupami Italii. Pytany, czy należy przyjmować do seminariów kandydatów o skłonnościach homoseksualnych, papież miał się temu zdecydowanie sprzeciwić, dodając, iż jest tam za dużo „pedalstwa".

POTĘPIENIE I PRZEPROSINY

Użycie obraźliwego sformułowania wywołało falę krytyki we włoskich mediach. Gorzkich słów nie szczędzili Franciszkowi nie tylko komentatorzy najbardziej wpływowych dzienników, takich jak „La Repubblica", „La Stampa" czy „Corriere della Sera", lecz także publicyści katoliccy, jak np. Aldo Maria Valli, który napisał: „Słowo »pedał« nigdy nie przyszłoby na myśl tym, którzy choć sprzeciwiają się szerzeniu homoseksualizmu wśród duchowieństwa, darzą osoby homoseksualne głębokim szacunkiem. Słowa »pedał« używają ci, którzy gardzą homoseksualistami".

Znaleźli się co prawda obrońcy papieża, jednak ich argumentacja była mało przekonująca, np. oficjalny portal Kościoła katolickiego w Niemczech katolisch.de stwierdził, że słowa „pedalstwo" używa się w Rzymie często w języku potocznym, i to niekoniecznie w pejoratywnym znaczeniu.

Dla osób znających Jorgego Maria Bergoglia jeszcze z czasów argentyńskich używanie przez niego przekleństw nie jest żadnym zaskoczeniem. Półtora roku temu udało się wyciszyć skandal związany z nieparlamentarnymi słowami wypowiedzianymi publicznie przez Franciszka w czasie jego spotkania z seminarzystami z Barcelony 10 grudnia 2022 r. Tym razem jednak nie dało się przemilczeć jego wulgaryzmu – być może dlatego, że obrażona poczuła się grupa, która miała prawo oczekiwać od niego szczególnego szacunku. Przecież swego czasu gejowski magazyn „Advocate" ogłosił Franciszka Człowiekiem Roku dla społeczności LGBT+.

Fala krytyki była tak duża, że głos musiał zabrać dyrektor Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej Matteo Bruni, który oświadczył: „Papież nigdy nie miał zamiaru obrażać ani wyrażać się w sposób homofobiczny i przeprasza tych, którzy poczuli się urażeni użyciem terminu cytowanego przez media". Watykański urzędnik przy-

Fot. Riccardo De Luca – Update/Shutterstock.com

eprasa.pl 17872d6a24

wołał wcześniejsze słowa Franciszka: „W Kościele jest miejsce dla każdego, dla każdego! Nikt nie jest bezużyteczny, nikt nie jest zbędny, dla każdego jest miejsce. Tak jak my, my wszyscy”.

FURTKA DLA HOMOSEKSUALISTÓW

By lepiej zrozumieć zaistniałą sytuację, warto naświetlić jej kontekst. W 2005 r. Benedykt XVI wydał instrukcję zabraniającą przyjmowania do seminariów i wyświęcania na księży osób praktykujących homoseksualizm, mających głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne lub popierających tzw. kulturę gejowską. Sam Franciszek potwierdził ten zakaz w 2016 r.

Ponad pół roku temu, 16 listopada 2023 r., włoscy biskupi na posiedzeniu episkopatu zatwierdzili nowe reguły przyjmowania kandydatów do seminariów. W dokumencie stworzyli taką możliwość dla mężczyzn o „niezakorzenionych” skłonnościach homoseksualnych. Wiadomo, że w praktyce trudno jest jednak odróżnić skłonności „niezakorzenione” od „zakorzenionych”. Tego typu poprawka otworzyłaby więc gejom drzwi do wszystkich włoskich seminariów. Podobne obawy żywi watykańska Dykasteria ds. Duchowieństwa, skoro od pół roku nie chce zaakceptować wspomnianej reguły.

Tę właśnie sprawę postanowił poruszyć na spotkaniu włoskiego episkopatu z Franciszkiem bp Nicolò Anselmi z Rimini, znany ze swego wsparcia dla postulatów środowisk LGBT+. Najprawdopodobniej liczył on na życzliwość papieża, jednak ku swemu zaskoczeniu spotkał się z gniewną reakcją. Charakterystyczne było uzasadnienie negatywnej odpowiedzi. Franciszek nie wspomniał o niemoralnym zachowaniu homoseksualnych duchownych, prowadzących podwójne, a więc zakłamane, życie i przebywających w stanie grzechu ciężkiego, lecz o problemach wizerunkowych dla Kościoła, jakie wywołują oni swym postępowaniem. W tym kontekście przytoczył anegdotę, która – jak się upierał – jest prawdziwa. Wspomniał mianowicie o dwóch żyjących w konkubinacie księżach, którzy tak bardzo nie kryli się ze swoim związkiem, że gdy umarła matka jednego z nich, to drugiemu złożono kondolencje z powodu śmierci „teściowej”.

ZA, A NAWET PRZECIW

Część konserwatywnych publicystów przyjęła słowa Franciszka, mimo ich obraźliwego tonu, za dobrą monetę. Uznali, że utwardził on swoje stanowisko wobec „lawendowej mafii” w Kościele, choć nie potwierdzają tego jego inne czyny, zwłaszcza nominacje na znaczące stanowiska kościelne jawnych homoseksualistów (jak ks. Battista Ricca czy abp Gustavo Zanchetta) lub duchownych otwarcie progejowskich (jak kardynałowie Blase Cupich, Jean-Claude Hollerich, Victor Fernández czy ks. James Martin).

Dodatkowe zamieszanie wywołały kolejne zaskakujące słowa Franciszka. 28 maja na papieską skrzynkę e-mailową trafił list 22-letniego Lorenzo Michele Noè Caruso, który poskarżył się, iż został usunięty z seminarium z powodu swojego homoseksualizmu. W odpowiedzi 1 czerwca nadawca otrzymał odręczny list od samego Franciszka, który skrytykował klerykalizm jako „plagę” i „brzydką światowość”, by następnie stwierdzić: „Jezus wzywa wszystkich, wszystkich. Niektórzy myślą, że Kościół to urząd celny, a to jest złe. Kościół musi być otwarty dla wszystkich. Bracie, kontynuuj swoje powołanie”.

Odpowiedź wywołała niemałą konfuzję zarówno wśród zwolenników, jak i przeciwników obecnego pontyfikatu. Nie da się bowiem pogodzić ze sobą dwóch całkowicie sprzecznych ze sobą wypowiedzi na tak delikatny temat w odstępie tak krótkiego czasu. Wielu pyta zatem, który papież jest prawdziwy: ten, który 20 maja zamyka drzwi seminariów przed homoseksualistami, czy ten, który 1 czerwca je otwiera?

Sprzeczności w jego postępowaniu jest w ostatnim czasie znacznie więcej, zwłaszcza w kwestii związków homoseksualnych. Najpierw w grudniu 2023 r. Franciszek zaaprobował deklarację „Fiducia supplicans” zezwalającą na błogosławienie przez księży par jednopłciowych, potem potwierdził to publicznie, natomiast ostatnio zaskoczył wszystkich oświadczeniem, że nigdy nie zezwalał na błogosławienie związków homoseksualnych, a jedynie pojedynczych homoseksualistów. Nie odpowiada to jednak prawdzie, ponieważ we wspomnianym dokumencie jest wyraźnie mowa o „błogosławieniu par w sytuacjach nieregularnych i par tej samej płci, bez oficjalnego zatwierdzania ich statusu”.

Jeśli Franciszek rzeczywiście nie chciał zatwierdzać błogosławieństw związków jednopłciowych, pojawia się pytanie, po co w ogóle ogłaszał deklarację „Fiducia supplicans”, skoro niczego ona nie zmienia. Przecież Kościół zawsze zezwalał na błogosławienie pojedynczych osób, nawet homoseksualistów, natomiast odmawiał tego samego relacjom, które uważał za grzeszne. W rzeczywistości jednak watykański dokument zmienił wiele, ponieważ ośmielił część księży na świecie do publicznego błogosławienia par gejowskich i lesbijskich, a więc akceptacji dla grzechu ciężkiego.

„TAK”, „NIE”, „NIE WIEM”

Katolicy na świecie mają prawo czuć się zdezorientowani, otrzymując tak wiele sprzecznych sygnałów ze Stolicy Apostolskiej. Część komentatorów zastanawia się nad przyczynami tego stanu rzeczy. Niektórzy kładą to na karb zdrowia 87-letniego, coraz częściej hospitalizowanego Franciszka, pisząc, że „wraz z wiekiem normalne jest, iż uwydatniają się pewne słabości i coraz trudniej jest je ukryć”. Ich zdaniem papież wydaje się niekiedy nie panować już nad swoim przekazem.

Potwierdzeniem tego miałyby być jego kolejne słowa, które wywołały lawinę krytyki ze strony mediów. Chodzi o wypowiedź z 29 maja, gdy podczas spotkania z księżmi archidiecezji rzymskiej Franciszek powiedział, że „plotkowanie to domena kobiet”. Niektórzy publicyści zarzucili mu z tego powodu hołdowanie seksistowskim uprzedzeniom, inni z kolei przypominali, że w swojej ostatniej autoryzowanej biografii sam nie stronił od plotek.

Podobne niekonsekwencje w zachowaniu papieża nie pojawiły się tylko w ostatnim czasie, lecz były obecne już w poprzednich latach. Gdy w lutym 2016 r. odwiedził kościół luterański w Rzymie, podeszła do niego pewna protestantka, która zapytała go, czy jako żona katolika może razem ze swym mężem przystępować do Eucharystii. W odpowiedzi usłyszała trzy rady: tak, nie, nie wiem. Tego rodzaju wieloznaczność, niezależnie od jej przyczyny, wydaje się znakiem rozpoznawczym obecnego pontyfikatu.

eprasa.pl 17872d6a24

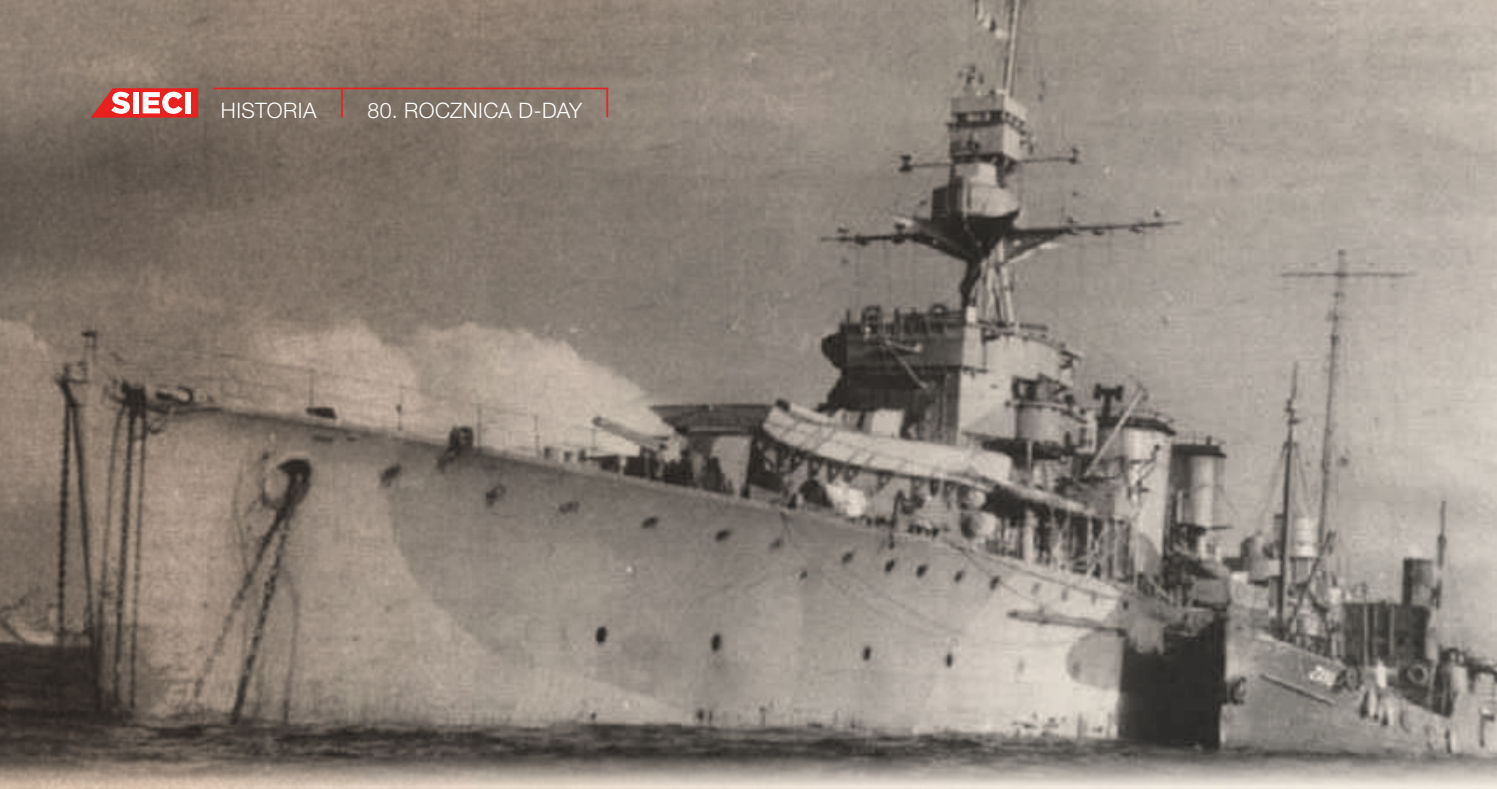

Polski Smok
u brzegów Normandii

Ten poranek Niemcy zapamiętali na długo. 6 czerwca 1944 r. obserwatorom lustrującym z wybrzeża Normandii kanał La Manche ukazała się gigantyczna flota sprzymierzonych. Rozpoczęła się operacja „Overlord" – największy desant w dziejach wojen. Polacy nie brali udziału w lądowaniu bezpośrednio, ale wspierali go z powietrza i morza. Masowo weszli do akcji dopiero 1 sierpnia 1944 r., kiedy polska 1. Dywizja Pancerna dowodzona przez gen. Stanisława Maczka została przerzucona do Francji z Wielkiej Brytanii. Ale w dniu lądowania (D-Day) jako pierwsi do akcji weszli nasi lotnicy

PAWEŁ MIKOŁAJ ROZDŻESTWIEŃSKI

ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

Samoloty w polskich dywizjonach pomalowano w biało-czarne pasy do szybkiej identyfikacji, zatankowano i uzbrojono. Jak napisał historyk i pilot Michał Fiszer w swoim artykule o przygotowaniach do inwazji: „Dowódcy skrzydeł na odprawach dywizjonów otworzyli zalakowane koperty z rozkazami i odsłonili wielkie mapy, na których piloci po raz pierwszy zobaczyli cel inwazji. A więc Normandia... Skrupulatnie notowano kursy, poprawki na wiatr, wysokości planowanych lotów, kolejność startów i lądowań. Wieczorem w kasynach nie podawano już alkoholu. Byli gotowi".

UDRZENIE Z POWIETRZA

Operację osłaniali polscy lotnicy ze 131. Skrzydła Myśliwskiego, wyposażeni w brytyjskie samoloty Supermarine Spitfire, i z 133. Skrzydła Myśliwskiego, latający na amerykańskich mustangach.

Fot. IWM

eprasa.pl 17872d6a24

Dla 131. skrzydła, złożonego z dywizjonów nr 302, 308, 317, dowodzonego przez ppłk. pil. Juliana Kowalskiego, D-Day rozpoczął się świtem o godz. 5.12. Zadaniem polskich pilotów była osłona desantu głównych sił. Por. pil. Jerzy Szymankiewicz, dowódca eskadry A 302. Dywizjonu Poznańskiego, obserwował ze swojego spitfire'a ogromne pole walki: „Widok był wspaniały i przerażający. Widziałem setki okrętów opluwających brzeg ogniem artylerii. Niemcy też strzelali fantastycznie. Barki desantowe nie mogły przedostać się na brzeg". Dywizjony ubezpieczały lądowanie na plaży „Sword", a także „Gold" i „Juno". Pierwszego dnia inwazji polskie samoloty startowały cztery razy, tracąc jednego pilota, por. Bolesława Paleja, który został zestrzelony przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą i do końca wojny przebywał w obozie jenieckim.

Ppłk pil. Stanisław Skalski, najsłynniejszy polski as myśliwski II wojny światowej, podczas D-Day dowodził 133. Skrzydłem Myśliwskim złożonym z 306. Dywizjonu Toruńskiego, 315. Dęblińskiego oraz brytyjskiego 129. Polscy i brytyjscy piloci otrzymali rozkaz osłony lądujących jako forpoczta głównego desantu słynnych amerykańskich dywizji powietrznodesantowych: 82. All American (inna nazwa American Airborne) i 101. Screaming Eagles. Żołnierze skakali na spadochronach w ciemną noc tuż przed rozpoczęciem inwazji. Dzięki m.in. lotniczej pomocy pilotów Skalskiego stało się możliwe, że 82. dywizja zameldowała na koniec swojego pobytu w Normandii: „33 dni bez odpoczynku, bez uzupełnień. Każda misja zakończona sukcesem. Raz zdobyta ziemia nigdy nie została oddana wrogowi".

Lewe skrzydło desantu w ramach brytyjskiego skrzydła myśliwskiego osłaniał sławny polski dywizjon 303. Nie tylko polscy piloci myśliwców pokazali się ze swej najlepszej strony. Piloci bombowi nie byli gorsi. Największy sukces odnotował 305. Dywizjon Bombowy Ziemi Wielkopolskiej i Lidzkiej dowodzony przez mjr. pil. Kazimierza Konopaska. Polacy latający dwusilnikowymi lekkimi bombowcami Mosquito od pierwszego dnia inwazji trafiali, atakując niemieckie cele. W Nomeny pod Nancy zniszczyli 13 mln litrów niemieckiego paliwa. Strata ta spowodowała problemy logistyczne i unieruchomiła na pewien czas formacje zmechanizowane oraz pancerne wroga. Brytyjska prasa, lubująca się w chwytliwych tytułach, pisała: „Tym brawurowym atakiem Polacy wstrzymali niemieckie jednostki i wygrali bitwę o Francję".

MARYNARKA WOJENNA I HANDLOWA

Lądowanie w Normandii było przede wszystkim ogromnym przedsięwzięciem alianckiej marynarki wojennej. Rozpoczęło się od morskiej operacji o kryptonimie „Neptune". Ku normandzkim brzegom popłynęło ponad 7 tys. jednostek morskich. Siły i środki inwazyjne rozmieszczone na 1,6 tys. statkach transportowych i 4126 okrętach desantowych osłaniało 1213 okrętów wojennych.

W operacji „Neptune" nie zabrakło okrętów i statków pod biało-czerwoną banderą. Okręty wojenne reprezentowały: krążownik ORP Dragon, niszczyciele ORP Błyskawica i ORP Piorun oraz eskortowce ORP Kujawiak, a także ORP Ślązak. Dużym zaangażowaniem wykazała się również marynarka handlowa. Dwa transatlantyki – MS Batory i MS Sobieski – przewoziły żołnierzy, a statki handlowe SS Chorzów, SS Katowice, SS Kmicic, SS Kraków, SS Narew oraz SS Poznań posłużyły do transportu materiału wojennego niezbędnego do wsparcia inwazji. Wincenty Cygan, artylerzysta z ORP Dragon, zapamiętał słowa kpt. Jerzego Łukaszewskiego, który instruował swych podkomendnych przed akcją: „Przepisowy strój – granatowy nr 2. Mijające nas barki z wojskiem będą patrzeć na nas jak na opiekunów, swoim wyglądem musimy więc dodać im otuchy. Ogolić się, bo tam nie będzie czasu".

Na czele alianckiej floty inwazyjnej płynął ORP Ślązak. W nocy z 5 na 6 czerwca jako pierwszy niszczyciel na brytyjskim odcinku lądowania zajął pozycję między normandzkim brzegiem a trałowcami poławiającymi miny, by osłaniać je na wypadek ewentualnego kontrataku Niemców. O godz. 6.30 na grotmaszcie okrętu podniesiono polską banderę i niszczyciel rozpoczął ostrzał plaż. Kmdr Romuald Nałęcz-Tymiński, dowódca Ślązaka wspominał: „[...] wraz z HMS Middleton ORP Ślązak dał bliskie wsparcie saperskim barkom inwazyjnym, podchodząc do brzegu na około milę. Niemieckie baterie strzelały do naszej formacji gęstym, ale na szczęście niecelnym ogniem. Widocznie były przytłoczone siłą bombardowania naszych okrętów". W czasie inwazji artyleria Ślązaka wspierała lądujących komandosów z 41. Royal Marine Commando. Ok. godz. 13.00 Brytyjczycy poprosili Polaków o pomoc. Nasz okręt ogniem swoich dział zlikwidował oddział niemieckiej piechoty, a następnie zniszczył kolejne nieprzyjacielskie umocnienia. Przez cały dzień działa Ślązaka nie milkły, raz po raz miażdżąc kolejne cele wskazywane przez brytyjskich żołnierzy w zielonych beretach. Wieczorem kmdr Nałęcz-Tymiński zanotował: „Gdy powiadomiliśmy obserwatora, że zakończyliśmy bombardowanie, usłyszeliśmy w mikrofonie jego entuzjastyczny głos – Sądzę, że uratowaliście naszą skórę. Dzięki wam za to. Tymczasem dowódca Force S kontradmirał Talbot nadał do nas sygnał: Ślązak. Dobra robota. Wieczorem, przed zakończeniem z nami łączności, obserwator artyleryjski raz jeszcze nadał: Dzięki od komandosów".

POLSKI SMOK U BRZEGÓW NORMANDII

Największym okrętem wojennym polskiej floty podczas inwazji był krążownik ORP Dragon. Ta „stara brytyjska krypa" z 1917 r. w rękach polskich marynarzy stała się godnym swojej nazwy zionącym ogniem smokiem. Wcześniejszym koncepcjom zmiany angielskiej nazwy Dragon na bardziej polsko brzmiącą sprzeciwili się nasi marynarze, bowiem niegdyś, w czasach króla Zygmunta Augusta, zwodowano galeon o nazwie Smok jako zalążek królewskiej floty. A „dragon" to po polsku właśnie „smok". W 1944 r. wszedł w skład alianckiego zespołu dowodzonego przez kontradm. Wilfrida Pattersona. Jego głównym zadaniem było zniszczenie niemieckich baterii nadbrzeżnych.

Dragon otworzył ogień dopiero ok. godz. 7.00, ponieważ oficer naprowadzający zrzucony na spadochronie został

eprasa.pl 17872d6a24

ranny i Smok musiał czekać na przydzielenie samolotu rozpoznawczego. W swoich wspomnieniach artylerzysta Wincenty Cygan napisał: „Rzygnęliśmy zaraz na przemian z rufowych i dziobowych dział, dziewiętnaście kilometrów w głąb nieszczęsnej Normandii". Zespół z Dragonem znajdował naprzeciwko plaży „Sword", gdzie lądowała angielska 3. Dywizja Piechoty. „Dzień ten na zawsze pozostanie w pamięci marynarzy – pisał bosmanmat Mieczysław Kurkowski – W moim pojęciu nie był to dzień normalny. Słońce wschodziło zza chmur jakoś dziwnie purpurowe i wolno, leniwie podnosiło się w górę, jakby w obawie, że za chwilę ujrzy na ziemi rzeczy straszne. [...] Kiedy lekka mgła poczęła opadać, wynurzyły się z niej stopniowo maszty okrętów, tworząc po prostu las w zatoce Le Havre. Za nimi widniały groźne, milczące sylwetki okrętów. Kiedy mgła znikła zupełnie, ukazała się również masa łodzi desantowych, które wolno posuwały się ku brzegom".

Pierwszego dnia inwazji Niemcy zdecydowali się przeprowadzić kontratak na plaże siłami swojej Panzerwaffe (broń pancerna). Do dyspozycji mieli tylko i aż dwie dywizje pancerne: 12. SS Hitlerjugend i 21., która pod marsz. polnym Erwinem Rommlem biła się w Afryce. Najbliżej plaż znajdowała się akurat 21. Dywizja Pancerna, której 22. Panzer Regiment, wyposażony w czołgi Panzer IV C, pamiętające jeszcze kampanię wrześniową 1939 r., szykował się do zepchnięcia Brytyjczyków z plaży „Sword" z powrotem w fale kanału La Manche. Z pozoru przestarzałe czołgi ze swoją krótkolufową armatą 75 mm po pięciu latach wojaczki znakomicie nadawały się do walki z piechotą, strzelając amunicją odłamkowo-burzącą. Wystarczyło zająć pozycję na wzgórzach wokół plaży i unicestwić pozostawionych bez osłony oraz broni przeciwpancernej angielskich piechurów.

Przygotowania do walki 22. Pułku Pancernego opisał Cornelius Ryan w swojej słynnej książce „Najdłuższy dzień". Dowódca LXXXIV Korpusu Armijnego gen. Erich Marcks ok. godz. 6 rano, żegnając się z gen. Hermannem von Oppeln-Bronikowskim (dowódcą 22. Regimentu Pancernego), powiedział: „Oppeln [...] na twoich barkach być może spoczywa los Niemiec. Jeżeli nie wepchniesz Brytyjczyków z powrotem w morze, to przegraliśmy wojnę". Co ciekawe, Oppeln-Bronikowski pochodził z polsko-niemieckiej szlachty. Ten olimpijczyk z 1936 r. (zwycięzca drużynowego konkursu ujeżdżenia na koniu Gimpel) herbu Osęk był bliskim krewnym Rajmunda Oppeln-Bronikowskiego, powstańca listopadowego. Zrządzeniem losu przyszło mu spotkać się w walce na śmierć i życie z członkami polskiej odnogi swojej rodziny. Zanim Niemcy dotarli ze swoimi czołgami, ORP Dragon zajął nową pozycję w sektorze nazwanym „Juno", skąd ostrzeliwał artylerię brzegową Niemców, gniazda moździerzy i pozycje, gdzie koncentrował się Wehrmacht. „Czołgi Oppeln-Bronikowskiego – napisał Cornelius Ryan – pięły się na wzgórze w Bieville w ogłuszającym ryku silników. Do tej pory nie napotkali najmniejszego oporu nieprzyjaciela. [...] Nagle jego prowadzący czołg wyleciał w powietrze, nie oddawszy nawet jednego strzału. Podeszły dwa dalsze czołgi, teraz już strzelając z dział. Ale wyglądało na to, że brytyjscy artylerzyści wcale się nimi nie przejmują. Bronikowski powoli zaczynał pojmować, dlaczego tak się dzieje: nieprzyjaciel miał nad nimi przewagę ogniową. Działa brytyjskie wydawały się mieć ogromny zasięg. Czołgi Bronikowskiego rozbijano jeden po drugim. W niecałe piętnaście minut stracił sześć czołgów. Nigdy nie oglądał takiego strzelania. Nic nie mógł na to poradzić. Zatrzymał atak i rozkazał się wycofać".

> Największym okrętem wojennym polskiej floty podczas inwazji był krążownik ORP Dragon. Ta „stara brytyjska krypa" z 1917 r. w rękach polskich marynarzy stała się godnym swojej nazwy zionącym ogniem smokiem. Jego głównym zadaniem było zniszczenie niemieckich baterii nadbrzeżnych.

Niemiecki dowódca nawet nie przypuszczał, że jego czołgi zniszczyły cztery działa 152 mm znajdujące się na pokładzie ORP Dragon. Ich siła ognia nomen omen była dokładnie taka sama, jak czterodziałowej baterii helskiej we wrześniu 1939 r. I choć polscy marynarze oddaleni o 10 Mm nie byli w stanie widzieć celu, strzelając wedle przekazywanych im koordynatów, to nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, czego dokonali. Dragon trzykrotnie powracał do macierzystego portu po amunicję i zwalczał niemieckie cele aż do 8 lipca 1944 r., kiedy został trafiony niemiecką „żywą torpedą", w wyniku czego zginęło 37 marynarzy. Sam okręt nie nadawał się już do walki i został zatopiony u wybrzeży Normandii, stając się dodatkowym wzmocnieniem falochronu sztucznego portu. Schodzący z pokładu polscy marynarze pozostawili na maszcie polską banderę na znak gotowości do dalszej służby. Niedługo potem obsadzili nowy polski krążownik nazwany ORP Conrad od nazwiska wielkiego pisarza Józefa Konrada Korzeniowskiego.

Na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie znajdują się dwie tablice o podobnej treści i dacie działań. Jedna jest poświęcona marynarzom: „INWAZJA W NORMANDII 6 VI 1944", a na tej poświęconej lotnikom znajduje się napis: „NORMANDIA 6 VI 1944". Choć stosunkowo nakład polskich sił nie był zbyt duży, to wkład, jaki włożyli w powodzenie lądowania, był spory. A o nowy front w Europie walczyli również żołnierze, którzy toczyli bój z Niemcami najdłużej, bo już od 1 września 1939 r.

Dr Paweł Mikołaj Rozdżestwieński jest głównym specjalistą w Biurze Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej

eprasa.pl 17872d6a24

Operowy sen o Warszawie

Dzieło o odbudowie stolicy na otwarcie sezonu 2025/2026 i premierowe wydarzenia już od tej jesieni. W tym intrygujące spotkanie ze światem kina. Chwilę przed wakacjami Teatr Wielki – Opera Narodowa podgrzewa artystyczną atmosferę

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 17872d6a24

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Włoskie znaczenie słowa „opera" to dzieło, dzieło kompletne, a zatem proces odbudowy Warszawy był także operą – zauważa dyrektor TW-ON Waldemar Dąbrowski, zapowiadając wyjątkowe przedsięwzięcie. – Dziś przeglądamy się w lustrze, odbijającym nam świat, którego jesteśmy także uczestnikami, w kolejnym już pokoleniu – dodaje.

JAK FENIKS Z POPIOŁÓW

„Opera o Warszawie. Najlepsze miasto świata" z pewnością będzie robić wrażenie. Zarówno z powodu tematu nieoczywistego dla świata opery, czasu premiery i jej okoliczności, jak i planowanego rozmachu. Na wielkiej scenie, z imponującą obsadą, ze spektakularnym wsparciem elektroniki oraz projekcji audiowizualnych.

Prapremiera zaplanowana na otwarcie sezonu 2025/2026 w TW-ON jednocześnie zainauguruje 67. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień", ale nie tylko. Uświetni 80. rocznicę rozpoczęcia odbudowy Warszawy, wpisując się także w inne rocznicowe obchody: 200 rocznicę położenia kamienia węgielnego pod budowę Teatru Wielkiego i 60-lecie otwarcia gmachu po podniesieniu ze zniszczeń wojennych.

W takich okolicznościach przestaje dziwić pomysł, by w świat klasycznej sztuki wprowadzić grozę wojennych zniszczeń, exodusu dawnych mieszkańców i napływu nowych, wreszcie nie tylko odbudowy, lecz także tworzenia na zgliszczach nowej wizji miasta.

OGROMNE PRZEDSIĘWZIĘCIE

Libretto opery na motywach książki Grzegorza Piątka „Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944–1949" (2021) napisał Beniamin Bukowski. Akcja obejmuje czas od upadku powstania warszawskiego do 1950 r. Zniszczoną i podnoszoną z gruzów stolicę oglądamy oczami dwóch kobiet, postaci autentycznych: architektki Biura Odbudowy Stolicy Heleny Syrkusowej oraz zafascynowanej komunizmem amerykańskiej dziennikarki Anne Louise Strong, która obserwowała i relacjonowała sytuację w powojennej Polsce. Za sprawą Syrkusowej w wizualizacjach spektaklu pojawią się także wspomnienia przedwojennego Paryża Północy.

Przygotowanie inscenizacji (po rozstrzygnięciu wewnętrznego konkursu) zostało powierzone Barbarze Wiśniewskiej, absolwentce reżyserii warszawskiej Akademii Teatralnej i jej obecnej wykładowczyni. Nie bez znaczenia jest fakt, że od 2012 r. Wiśniewska współpracuje z Mariuszem Trelińskim jako asystentka oraz reżyserka wznowień jego spektakli w TW-ON.

Teraz pod jej kierunkiem nad wystawieniem opery będzie pracować imponujący skład artystyczny: Bassem Akiki (dyrygent), Natalia Kitamikado (scenografia), Marcin Cecko (dramaturgia), Emil Wysocki (kostiumy), Maćko Prusak (choreografia), Aleksandr Prowaliński (światło), Bartek Macias (projekcje), Mateusz Stępniak (charakteryzacja), a także liczne grono wykonawców.

– W projekt zaangażowanych jest bardzo wiele osób, począwszy od autora książki Tomasza Piątka, pomysłodawcy opery Jarosława Trybusia, przez Sinfonię Varsovię [koproducenta opery i wykonawcy muzyki, której autorem jest Cezary Duchnowski – przyp. red.], festiwal Warszawska Jesień. W obsadzie znajdą się dwie solistki wcielające się w główne bohaterki, aktor, chór TW-ON oraz chór dziecięcy. Na samej scenie będzie ok. 200 osób. To ogromne przedsięwzięcie – podkreśla reżyserka.

PIĘKNO, KTÓRE KREUJE

– Powojenna Warszawa nasycała się ludźmi przyjezdnymi. Zderzali się z koniecznością zbudowania miasta w sytuacji politycznej więcej niż trudnej – mówi Waldemar Dąbrowski. – Ale Warszawę trzeba było odbudowywać. I wciąż musimy ją porządkować. Potrzebujemy piękna tego miasta, piękna, które kreuje [...]. Wierzę w to, że kreacja na scenie Opery Narodowej, w świetnym gronie, to wyjątkowy projekt – dodaje.

Prapremiera „Opery o Warszawie. Najlepszego miasta świata" została zaplanowana na 19 września 2025 r. Tymcza-

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 17872d6a24

sem już tej jesieni rozpocznie się bogaty w wydarzenia sezon 2024/2025. Zapowiadanych jest sześć premier operowych, w tym dwie w wersjach koncertowych oraz dwie premiery baletowe. W klasycznym teatrze w roli reżyserki zadebiutuje związana do tej pory z kinem Agnieszka Smoczyńska.

OD „PEER GYNTA" DO „PROMETEUSZA"

Już w październiku na deskach TW-ON odbędzie się pierwsza baletowa premiera sezonu – „Peer Gynt" Henrika Ibsena w choreografii Edwarda Cluga.

W listopadzie widzom zostanie przedstawiona opera „Czarna maska" Krzysztofa Pendereckiego pod batutą Bassema Akiki. Jak czytamy w opisie, reżyser David Pountney, mimo akcji, która rozgrywa się w XVII w. i porusza wątek niepokojów religijnych, będzie starał się wykreować „współczesną przestrogę przed budowaniem ładu społecznego na kruchych podstawach".

W grudniu na scenie kameralnej reżyser Jarosław Kilian pokaże wersję sceniczną cyklu Łukasza Godyli „Wòlô bòskô". Opierając się na tradycyjnych tekstach i melodiach kaszubskich wybranych przez pochodzącego z regionu śpiewaka Damiana Wilmę, kompozytor stworzył pieśni na baryton i fortepian.

Waldemar Dąbrowski zapowiada, że będzie to początek prezentacji składających się na kulturę polską, a zarazem zachowujących swoją tożsamość kultur, takich jak śląska czy kurpiowska.

W lutym 2025 r. w roli operowej reżyserki zadebiutuje Agnieszka Smoczyńska, która ma na swoim koncie głośne kinowe filmy „Córki dancingu" i „Silent Twins".

„Simon Boccanegra" Giuseppe Verdiego to „tragiczna historia miłosna, której tłem są polityczne rozgrywki, ukazana w niekonwencjonalnej scenerii postapokaliptycznej".

– Przenieśliśmy cały świat w przyszłość, w czasy po katastrofie klimatycznej, kiedy słońce nie jest już symbolem Boga, lecz zniszczenia – tłumaczy reżyserka.

Kwiecień będzie miesiącem premiery „Ariadna na Naxos" Richarda Straussa w reżyserii Mariusza Trelińskiego, pod dyrekcją Lothara Koenigsa. Opowieść skupi się na losach dwóch głównych postaci: młodego Kompozytora, który „pod wpływem warunków zewnętrznych musi nagiąć swoje zasady, i tytułowej Ariadny, szukającej, po porzuceniu przez Tezeusza, własnego miejsca na ziemi".

Również w kwietniu w wersji koncertowej zostanie wystawiona XIX-wieczna opera komiczna „Duch wojewody" Ludwika Grossmana. Wyreżyseruje ją Cezary Tomaszewski, a za pulpitem stanie Marta Kluczyńska.

Kolejna wersja koncertowa, tym razem opery „Romeo i Julia" Charles'a Gounoda, zostanie wykonana (pod dyrekcją Patricka Fournilliera) w maju 2025 r.

Sezon zamknie czerwcowa prapremiera, w której dyrektor Polskiego Baletu Narodowego Krzysztof Pastor rozwinie mit tytułowego „Prometeusza", sięgając do muzyki Philipa Glassa i Wolfganga Amadeusa Mozarta. Patrick Fournillier, dyrektor muzyczny TW-ON, uznał to spotkanie Glassa z Mozartem za rzecz oryginalną i śmiałą. „Wielki szok i niebywały skok, aby zestawić obok siebie dwie tak różne, oddalone od siebie kultury muzyczne" – podkreśla.

POZA PREMIERAMI

W nadchodzącym sezonie na scenie Teatru Wielkiego nie zabraknie też spektakli operowych z poprzednich lat (m.in. „Ślepy tor" Krzysztofa Meyera czy „Pinokio" do muzyki Mieczysława Wajnberga, a także „Carmen", „Straszny dwór", „Madama Butterfly" czy „Tosca", w dwóch ostatnich przedstawieniach usłyszymy Aleksandrę Kurzak) oraz baletowych („Dama kameliowa" czy „Don Kichot"). W wersji online nieodpłatnie można oglądać m.in. spektakl: „María de Buenos Aires" Piazzoli w reżyserii Wojciecha Farugi.

2–7 czerwca 2025 r. w TW-ON będziemy mogli śledzić 12. edycję Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki. Tu też wspólnie z Narodowym Centrum Kultury zostanie zainaugurowany (premierą „Czarnej maski") VI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej „Eufonie", a także odbędzie się uroczysta inauguracja prezydencji Polski w Radzie UE.

TW-ON będzie również miejscem rozpoczęcia (14 lipca br.) – kolejnej trasy koncertowej Ukrainian Freedom Orchestra pod dyrekcją Keri-Lynn Wilson. Po występach w Polsce zespół uda się do Francji, Wielkiej Brytanii, Nowego Jorku i Waszyngtonu.

eprasa.pl 17872d6a24

MACIEJ WALASZCZYK

Święto klakierów i konformistów

Debiutanci przewidywalni niczym armia klonów, podstarzali rockowi „heretycy" bez żenady biorą udział w politycznej inscenizacji, a kabareciarze jako klakierzy władzy puszą się, że nikt ich nie ocenzurował, bo ocenzurowali się sami. Opole dogorywa, tak jak dogorywa polska piosenka

61. Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu po prostu się odbył. Zgodnie z przewidywaniami było nijak, choć momentami nostalgicznie. Przede wszystkim towarzystwo artystów ułożyło się z TVP zgodnie ze schematem: „Swój do swego po swoje". Festiwal przypominał bowiem rozwinięcie formuły politycznych wieców PO, a występujący na nim wspierający obóz władzy artyści po prostu odebrali w ten sposób swoje tantiemy za udzielone mu poparcie.

Zaczęło się od koncertu premier i debiutów, a na dokładkę recitali Michała Bajora i Natalii Niemen. Tego wieczoru widzów powitał konferansjerski duet Kayah i „Piasek". Ta pierwsza, choć zupełnie nieucharakteryzowana, przypominała nieco lansowanych ostatnio przebierających się za kobiety mężczyzn, choć żonglując modnymi feminatywami starała się jednak udowadniać, że jest kobietą. Zdenerwowany „Piasek" zdawał się obawiać, czy jego sceniczna partnerka czegoś nie nawywija, ale jakoś poszło, choć ze sporą dawką zgrzytów i niedociągnięć. Zwyciężył duet Józefina & Skubas z piosenką „Gdy jest brzydko". Pewnie dlatego ich wykonanie było po prostu programowo ładne, choć trochę sentymentalne i niezbyt oryginalne. Bo wpisujące się w schemat, według którego przemysł rozrywkowy produkuje przeboje, co zaobserwował pewien australijski kabaret. Przez pięć minut odegrał on kiedyś ciągiem fragmenty kilkunastu hitów, z których wszystkie przypominały melodię opartą na tych samych czterech akordach. Tak jest i w tym przypadku. Debiutanci – jak zwykle lepsi czy słabsi, ale niewyraźni. Ich autentyczne talenty gubią się wśród formuł wymyślanych przez producentów i marketingowców albo sami nie posiadają własnej tożsamości. I tak od lat.

GWIAZDY Z RZĄDOWĄ KONCESJĄ

Koncert SuperJedynek, a więc dawno zgasłych gwiazd muzyki „młodzieżowej" z udziałem m.in. Tomasza Lipińskiego, był wprost rozwinięciem wspomnianej formuły konwencji partii Donalda Tuska, podczas których śpiewano „Jeszcze będzie przepięknie". Piosenki, która w takich okolicznościach stała się raczej wyrazem ich tęsknoty za utratą władzy, posad i koryta niż jakimkolwiek protest-songiem o lepszych czasach. Niestety Lipiński od dawna nie potrafi zaśpiewać swoich kawałków, ale niezmiennie, niczym kaznodzieja, przestrzega przed tymi, co „chcą, byśmy się pozabijali". Publika, która pewnie jeszcze niedawno pokrzykiwała w całym kraju „Wyp...ć" i „J...ć PiS", zadowolona z siebie biła mu w tym momencie brawo.

Polski rock A.D. 2024 jest niestety kopią samego siebie, i to taką wielokrotnie przeskanowaną telefonem komórkowym, wywołującą raczej politowanie niż wzruszenie. „Idole, heretycy, Systemu są produktem, Systemu są wytworem" – wrzeszczał kiedyś Dezerter, demaskując starszych kolegów rockmanów za ich konformizm doby PRL. Dziś „heretycy" typu Big Cyc i inni w politycznej inscenizacji odgrzewają stare kotlety swojego konformizmu, nie ukrywając się przed nikim i odbierając rentę za popieranie Tuska oraz walkę z Kaczyńskim. Przyznaję, że gdy zobaczyłem zapowiedź występu Chłopców z Placu Broni, zamurowało mnie. Ich obecny skład to coverband z oryginalnym perkusistą i „Yaniną" Iwańskim przy mikrofonie. Lady Pank z kolei udowodniło, że Janusz Panasewicz po prostu nie powinien już śpiewać, choć o dziwo lepiej szło zazwyczaj nietrafiającemu w dźwięk Robertowi Gawlińskiemu.

eprasa.pl 17872d6a24

Zapowiedź kabaretonu dało się już wyczuć podczas występu Proletaryatu, którego pojawienie się w Opolu, jak przyznał wokalista „Oley", było „absolutnym debiutem". Ci goście rzeczywiście debiutowali z 35 lat temu, nerwowo zaliczając po drodze zmieniające się jak w kalejdoskopie muzyczne mody, załapali się też na objazdowy cyrk Jerzego Owsiaka, po czym szybko przepadli. Dzisiaj, podobnie jak większość zespołów występujących 1 czerwca, są eksponatem w jednym z działów popkulturowej archeologii nad Wisłą. Następnym razem wszyscy powinni pojawić się na paradzie równości, zapewne wzbudzając tam sobą zainteresowanie.

OCENZUROWALI SIĘ SAMI

Kobranocka, odgrzewając na deskach opolskiego amfiteatru „I nikomu nie wolno się z tego śmiać", przypadkiem zapowiedziała ogłaszany wszem wobec powrót kabaretonu. Bo czy ktoś odważył się w nim wykpić politykę „kradzieży z włamaniem" ministra kultury Sienkiewicza, parodii państwa prawa w wykonaniu ministra sprawiedliwości Bodnara, rządu z rekordowym przyrostem ministerialnych stołków i podatków? Odpowiedzialny za jego wyreżyserowanie Robert Górski zapowiadał przed festiwalem, że nie będzie cenzury. Rzeczywiście, cenzury nie było, bo kabareciarze ocenzurowali się sami. Jak to bywa od lat, przyjęli oni bowiem wygodną pozycję klakierów władzy, obśmiewając właściwie wyłącznie sytuacje kojarzące się z będącą dziś w opozycji prawicą, słabości popierającego go zwykłego człowieka, czujnie stojąc na straży komfortu nietykalnych elit. Także tych z własnego showbiznesowego środowiska.

Kabaret Skeczów Męczących, jak sama nazwa wskazuje, wciąż nie opanował sztuki tworzenia skeczów wywołujących śmiech niewymuszony, serwując publice zlepek przewidywalnych i pozbawionych komizmu politycznych memów. Takich mniej więcej, jakich produkcji podejmuje się pierwszy lepszy internetowy troll. Interesująco zrobiło się dopiero wtedy, gdy okazało się, że ich propozycja jest śmieszniejsza od tego, co zaserwował kabaret Nowaki, chałturząc kiepskimi sytuacyjno-obyczajowymi gagami. Potem było jeszcze gorzej, gdy pojawił się Zenon Laskowik. To nie przesada, ale strasząc na scenie niczym upiór, który przed momentem wyszedł z trumny, chodził w obie strony, podrzucając publice mętne aluzje, w których więcej było frustracji niż celnej kpiny. Ten z grubsza niski, bo grobowy, poziom utrzymał również Jerzy Kryszak, wzorcowo odnajdując się w roli klakiera i parodiując samego siebie sprzed lat. Zresztą jego występ – nie wiem, czy było to zamierzone – zapowiedziano w sposób przypominający wywołanie piosenkarza Korcza w „Co mi zrobisz jak mnie złapiesz" Barei, namawiając do tego osobę z widowni. Pozytywnym zaskoczeniem był występ kabaretu K2, portretującego sytuację szarego Polaka, zagubionego między kobietami preparowanymi przez chirurgów plastycznych a skołowanymi ideologią LGTB+ facetami. Ale to za mało. I tego kiepskiego wrażenia nie jest w stanie przykryć poetycki oddech w wykonaniu Zbigniewa Zamachowskiego czy jak zwykle trzymający niezły poziom Kabaret Moralnego Niepokoju. Co zresztą wywołuje dziwne podejrzenia, że Robert Górski w taki sposób dobrał sobie konkurencje, by na ich tle górować lekkością swych skeczów i sensowną puentą. Ale na odpalenie posiedzenia rządu i „haratania w gałę" się nie zdecydował. Ciekawe, dlaczego?

Fot. TVP

POLSKA PIOSENKA POST MORTEM

Na zakończenie koncert „Zakochani są wśród nas" z piosenkami do tekstów zmarłego 10 lat temu Janusza Kondratowicza. Pod tym względem to także kolejny festiwal, podczas którego przypomniano, że polska muzyka rozrywkowa od dawna przeszła na emeryturę, a może i w zaświaty. Bo to, co było w niej najlepszego, pozostało na płytach, w archiwalnych zapisach koncertów oraz wspomnieniach i wzruszeniach publiczności. Kondratowicz napisał teksty do kanonu polskiej piosenki rozrywkowej – „Pytasz mnie, co ci dam" „Rysunek na szkle", „Tyle słońca w całym mieście", a także dla naszej rockowej klasyki, m.in. „Kwiaty we włosach", „10 w skali Beauforta", „Asfaltowe łąki", a nawet polską odmianę dyskoteki „Ciao Italia" zespołu Top One.

Na koncercie w Opolu zabrakło jednak wciąż znakomicie śpiewającej Haliny Frąckowiak, dla której Kondratowicz pisał największe przeboje. Gwiazdy nie zaproszono z wiadomo jakich powodów, wypraszając z festiwalu również słynny „Papierowy księżyc". A może ocalając go przed fatalnymi interpretacjami, udziwnianiem i brakami warsztatowymi? Tak jak w przypadku Bovskiej, która potknęła się na „Dancing Queen", nie radząc sobie z nawet przearanżowaną pod nią wersją nieskomplikowanego przecież przeboju. I choć znacznie lepiej wypadł Damian Ukeje, nieźle interpretując „Natalie", to już „Radość najpiękniejszych lat" z repertuaru Anny Jantar, synonimu piosenki emanującej optymizmem i kapitalnymi dla wielu wspomnieniami, w wykonaniu Ani Karwan niestety została rytualnie zamordowana na oczach opolskiej publiczności. Na finał usłyszeliśmy „Tyle słońca w całym mieście". Jednak to, co świetnie rozpoczęła Natalia Kukulska, na łopatki położyli pozostali uczestnicy koncertu. Choć okazało się, że wszyscy bez zarzutu sprawdzili się w roli chórku śpiewającego znany wszystkim refren. Może w tym również tkwi problem?

eprasa.pl 17872d6a24

3 MIŁOŚCI

Zwiedziony zwodziciel

ROBERT TEKIELI

Nie brał pieniędzy za uzdrawianie, stworzył groźną sektę. Wierzył, że uzdrawia Bożą mocą, prowadził ludzi do otwarcia się na demoniczny świat duchowy. Na przełomie lat 40. i 50. XX w. dzień po dniu gromadził w Niemczech 30-tys. tłumy. Naukę skończył na piątej klasie szkoły podstawowej, w życiu nie przeczytał ani jednej książki. Do dziś kręcone są filmy na jego temat, powstają opracowania, reportaże. Do dziś Bruno Gröning ma dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy wyznawców.

Głosił: „Nieuleczalne nie istnieje", a nie uzdrowił swoich synów, obaj zmarli w wieku dziewięciu lat – Harald z powodu wady zastawki serca, Günther na ropne zapalenie opłucnej. Powtarzał: „Jest wiele rzeczy, których nie można wyjaśnić, ale nie ma niczego, co nie mogłoby się wydarzyć", a był całkowicie bezradny wobec swoich chorób. Cierpiał na niedoczynność tarczycy, miał potężne wole, zmarł na raka żołądka. Wielu twierdzi, że dzięki niemu odzyskało zdrowie. Wielu sądzi, że mimo śmierci jego uzdrowicielskie moce wciąż działają.

Bruno Gröning urodził się w 1906 r. w Oliwie jako Bruno Grönkowski. Ze wspomnień wyłania się obraz samotnika, dziecka ledwo umiejącego mówić, które uciekało z domu czasami nawet na kilka dni do pobliskiego dużego lasu. Ojciec miał ciężką rękę. Bruno bardzo dużo czasu przebywał ze zwierzętami, były one dla niego ważniejsze niż rodzeństwo. Zwierzęta biegały za nim, szczególnie ciągnęły do niego te chore. Tak wspominał swoje leśne ucieczki: „Tu przeżywałem Boga w każdym krzaku, w każdym drzewie, w każdym zwierzęciu, a nawet w kamieniach. Wszędzie mogłem stać godzinami, pojęcie czasu nie istniało, stać i zamyślać się, i ciągle czułem się tak, jakby całe moje wewnętrzne życie sięgało w nieskończoność".

Bruno Gröning, niezależnie od intencji, szkodził chorym. Oferując fałszywą nadzieję, odciągał ich od leczenia i inicjował w demoniczny świat duchowy, na który sam się wcześniej otworzył. Jego dzisiejsi naśladowcy kaleczą duchowo kolejne cierpiące osoby

Podobne wątki – słaba socjalizacja, traumatyczne przeżycia, pozazmysłowa komunikacja ze zwierzętami – można odnaleźć w historii wielu uzdrowicieli, radiestetów czy neoszamanów. Ich wspólnym mianownikiem jest nieświadoma inicjacja – nieintencjonalne otwarcie się na świat duchowy.

O Gröningu stało się głośno w 1949 r. dzięki rzekomemu wyleczeniu Dietera Hulsmanna, ośmioletniego chłopca cierpiącego na zanik mięśni, którego stan na pewien czas się poprawił, choć finalnie chłopiec zmarł.

Do miejscowości, w której mieszkała rodzina Hulsmannów, codziennie przybywało do 30 tys. ludzi. Prasa i radio donosiły o „cudownym doktorze" i w brytyjskiej strefie okupacyjnej stał się on tematem dnia. Nakręcono film kinowy pod tytułem „Gröning", który dokumentował związane z nim zdarzenia. Manfred Lütgenhorst z monachijskiej gazety „Münchner Merkur" napisał 24 czerwca 1949 r.: „Gdy przybyłem do Herford o godz. 10.30 rano, przed małym piętrowym domem na placu Wilhelma zgromadziło się około tysiąc ludzi. Był to nieopisany obraz ludzkiego nieszczęścia. Niezliczeni sparaliżowani na wózkach inwalidzkich, na noszach dźwiganych przez swych krewnych. Niewidomi, głuchoniemi, matki ze sparaliżowanymi i upośledzonymi psychicznie dziećmi, stare babcie i młodzi mężczyźni tłoczyli się, jęcząc. Prawie sto samochodów osobowych, ciężarowych i omnibusów parkowało na placu – i wszystkie przybyły z daleka".

W krótkim czasie Bruno Gröning zyskał międzynarodową sławę.

W kolejnych latach działał jako ktoś w rodzaju wędrownego kaznodziei i udzielał pseudomedycznych porad. Był kilkukrotnie zatrzymywany i sądzony, dostawał administracyjne zakazy działalności i nauczania. W 1956 r. został aresztowany i oskarżony o przyczynienie się do śmierci Ruth Kuhfuss, chorej na płuca dziewczynki, która zmarła po

eprasa.pl 17872d6a24

zabiegach Gröninga i odstawieniu leków przepisanych jej przez lekarzy. Po spektakularnym procesie został skazany na karę grzywny, a rok później na karę sześciu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu. Wniósł apelację, jednak zmarł przed wydaniem prawomocnego wyroku. Analiza wyników kilku zdjęć rentgenowskich wykazała: rak żołądka w zaawansowanym stadium.

Bruno Gröning został pochowany w Dillenburgu. Jego grób od kilkudziesięciu lat jest celem pielgrzymek jego wyznawców. Tak samo jak miejsce narodzin w Gdańsku Oliwie, gdzie jego zwolennicy przyjeżdżają autokarami, by „czerpać energię". Rozpowszechniane przez to środowisko opowieści z życia uzdrowiciela są odmianą naiwnej literatury hagiograficznej: jego urodzinom towarzyszyły niezwykłe zjawiska, umieraniu – burza, zmarł nie na raka, lecz na wewnętrzne wypalenie wynikające z faktu, że zabroniono mu uzdrawiać; miał przepowiedzieć daty wybuchu obu wojen światowych oraz exodus rodziny z Gdańska. Równie naiwnie groźne są niektóre opowieści autorstwa samego guru: tarczycowe wole było według niego gruczołem życia, a synowie zmarli, bo żona uwierzyła lekarzom.

W pewnym momencie, jeszcze za życia, Gröning zaczął leczyć na odległość. „Ładował energią" m.in. kulki ze staniolu. Umieszczał w nich swoje ścięte włosy, skrawki paznokci rąk i nóg oraz własną spermę. Jeszcze 10 lat temu członkowie stowarzyszenia zwolenników uzdrowiciela sprzedawali je w ofercie wysyłkowej.

Zrzeszenie Przyjaciół Brunona Gröninga ma być „jedną z największych na świecie organizacji działających na rzecz uzdrowień na drodze duchowej" i informuje o istnieniu wspólnot lokalnych we wszystkich państwach europejskich, a także na wszystkich kontynentach, w ponad 100 krajach.

Wyznawcy Gröninga tak tłumaczą mechanizm oddziaływania swojego guru: „Istnieje siła wyższa, która jest fundamentem wszelkiego życia i może uzdrawiać. Przez przyjęcie odpowiedniej pozycji ciała i odpowiednie nastawienie ducha każdy człowiek może przyjąć w siebie bożą siłę. Odczuwalny w ciele »Heilstrom« może dokonać uzdrowienia, nawet ze schorzeń przewlekłych, zwyrodnieniowych i ciężkich chorób organicznych". Najlepiej jest medytować przed zdjęciem Gröninga, który pod koniec życia przepowiedział, iż po swojej śmierci dalej będzie uzdrawiał.

Nienastawiony krytycznie czytelnik mógłby uznać, że za życia Gröninga jego uzdrawianie było formą sugestii, specyficznym przypadkiem oddziaływania psychologii mas albo szukać innych naturalnych wyjaśnień. Jednak fakt, iż tysiące osób jest przekonanych, że doznało uzdrowień również po jego śmierci, musi prowadzić do zadania pytania: jaką mocą się one dzieją? I w jaki sposób pomaga w tym medytowanie przy zdjęciu guru? Odpowiedź jest prosta: w przypadku istniejących dziś grup paraterapeutycznych powołujących się na nauki Brunona Gröeninga i jego oddziaływanie duchowe zza granicy śmierci mamy do czynienia z toksycznym inicjacyjnym systemem duchowym.

Nie zakładam złej woli wszystkich osób związanych z kołami przyjaciół Brunona Gröeninga, choć prasa przynosi informacje o typowych dla sekt nadużyciach związanych z ich działalnością: uzależnianiu dzieci, nakłanianiu przynajmniej jednej adeptki do zmiany imienia czy wyłudzaniu dużych sum pieniędzy. Moje ostrzeżenie jest o wiele poważniejszej natury. Duchowej.

Gröning nie brał od chorych pieniędzy. Miał gdzie spać i co jeść dzięki ludziom, którzy zapraszali go do swoich domów. Na zbiorowych spotkaniach wyraźnie deklarował, że jego uzdrawiająca siła nie pochodzi od niego samego, lecz od Boga. Nic nie wskazuje na to, by był człowiekiem świadomie żyjącym z krzywdy ludzi. Jednak dobre intencje to za mało, gdy uruchamiamy procesy tak potężne, jak te, którym był poddany uzdrowiciel z Oliwy.

Mechanizm takiego właśnie zwiedzenia opisał poetycką frazą Johann Wolfgang Goethe w „Uczniu czarnoksiężnika". Człowiek i duchowe narzędzie, nad którym nie jest w stanie zapanować i które w końcu buntuje się przeciwko niemu. Nie wystarczy być dobrym człowiekiem. Nieświadomość swej inicjacji i niezrozumienie reguł życia duchowego doprowadziło Gröninga do okultyzmu.

Gdy kończy się historia tego zwiedzenia, Bruno Gröning ma 52 lata. Nadal wierzy, że dysponuje otrzymanym od Boga specjalnym darem. Dar jednak nie pomaga. Postawiony pod ścianą człowiek, w wyniku działań którego chorzy są separowani od lekarzy i umierają, sam poddaje się badaniom lekarzy akademickich, ale jest już za późno, rak żołądka jest zbyt zaawansowany. Bruno Gröning umiera mimo dwóch operacji.

Gdy po śmierci młodszego syna w 1949 r. małżeństwo Gröningów się rozpadło, Bruno oskarżył żonę o to, że śmierci chłopców były skutkiem zaufania lekarzom i braku wiary w jego moc. 10 lat później sam ostatecznie zderzył się z rzeczywistością. Smutna historia zwiedzionego zwodziciela.

Niezależnie od intencji Bruno Gröning szkodził chorym. Oferując fałszywą nadzieję, odciągał ich od leczenia i inicjował w demoniczny świat duchowy, na który sam się wcześniej otworzył. Jego dzisiejsi naśladowcy kaleczą duchowo kolejne cierpiące osoby.

Nauka Gröninga, wbrew temu, co sądzą jego wyznawcy, nie jest opisem naturalnego sposobu uzdrawiania, a prymitywną okultystyczną ideologią „energetyczną". Nie ma ani jednego badania naukowego potwierdzającego obiektywne istnienie energii, o której mówił Gröning. „Heilstrom" nie istnieje, tak samo jak „orgon", „eter", „energia życiowa" „chi", „ki" czy „prana". Realnym skutkiem otwarcia się na autorytet guru w trakcie uzdrawiania, oprócz zdarzającego się niekiedy czasowego ustania objawów choroby, jest uczestnictwo w świecie duchowym uzdrawiacza. I o ile nie jest on tylko oszustem, jest to demoniczny świat duchowy.

Bruno Gröning był groźnym okultystą. Jak każdy uzdrowiciel, który nie poddał swej „mocy" badaniu narzędziami nauki ani rozeznaniu duchowemu. Zaś jego historia pokazuje, że w dziedzinie duchowości nie ma najmniejszego sensu eksperymentować z własnym życiem.

eprasa.pl 17872d6a24

Kpił z wpływowych i nadętych
Janusz Rewiński
(1949–2024)

Brunet z gęstą czupryną, brodą i paroma kilogramami nadwagi, a przede wszystkim z wrodzonym poczuciem humoru. „Siara – i wszystko jasne" – tę kwestią znają wszyscy. Publiczność zapamiętała Janusza Rewińskiego głównie z roli mafiosa Siary z „Killera", w którym parodiował dorobkiewiczów z lat 90., często mieszających biznes z pospolitą gangsterką. Ta epizodyczna kreacja została znakomicie rozwinięta w zrealizowanym w tym samym czasie serialu „Tygrysy Europy" Jerzego Gruzy. Film pozostaje jedyną i bezlitośnie jadowitą satyrą na elity III RP, a jego osią jest brawurowo odegrana postać Edwarda Nowaka, biznesmena, symbolu tandety, korupcji, ciemnych układów i głupoty. Podobnych typów wykreował zresztą więcej.

Już w latach 80. sławę przyniosła mu rola dyrektorów „Miśka" w Kabarecie Olgi Lipińskiej czy Mroczkowskiego w „Zmiennikach". Występował w poznańskim kabarecie „Tey", m.in. w duecie z Bohdanem Smoleniem, a dorosłe dziś dzieci zapamiętały go z roli bosmana Banka i piosenki o „Latającym Holendrze" z „Podróży pana Kleksa", a także jako jednego z piwnych skautów, z prawdziwym obrzydzeniem zachwalającego picie mleka. Niektórzy pamiętają też zapewne rolę chłopa Simurina z telewizyjnej adaptacji „Przedstawienia Hamleta we wsi Głucha Dolna" Lipińskiej albo skecz „RPA", w którym szydera z apartheidu wprost opisywała milicyjno-wojskową dyktaturę Jaruzelskiego.

W przeciwieństwie do dzisiejszych kabareciarzy punktował słabości ludzi władzy, parodiował pychę silnych, nadęcie własnego środowiska, a na ostrze jego czasem bezceremonialnej satyry boleśnie nadziewali się wszyscy. Dowodziły tego programy „Ale plama!", „Szkoda gadać" czy kapitalny i zdjęty w 2010 r. z anteny przez związane z PO władze TVP „Siara w kuluarach". Rewiński, wyczulony na fałsz, korzystał bowiem z wolności słowa, czasem dochodząc do granic rubaszności, ale pozostając zabawnym i przenikliwym.

Aktor wplątał się również w politykę. Najpierw, czego potem żałował, jako poseł Polskiej Partii Przyjaciół Piwa, a potem wspierając podejmowane przez prawicę próby naprawy życia publicznego. Przez pewien czas był też felietonistą tygodnika „Sieci". W końcu porzucił scenę i zajął się kulturą w jej najbardziej podstawowym wymiarze – prowadząc gospodarstwo rolne. „Skończył się zawód satyryka" – mówił ze smutkiem.

Maciej Walaszczyk

Modfather świętuje urodziny

Paul Weller, „66", Polydor 2024

Ponieważ data premiery przypadła na dzień przed 66. urodzinami Paula Wellera, nie było wątpliwości, że ta płyta to taki jubileuszowy prezent. Zapowiadany zresztą od dawna, a który brytyjskie media przyjęły z nieukrywaną atencją. Bo to kolejna bardzo dobra solowa płyta „Modfathera", ojca chrzestnego britpopu, a na przełomie lat 70. i 80. XX w. filaru zespołu The Jam, a więc punkowo-modsowskich kontynuatorów The Kinks. Potem był The Style Council, dzięki któremu Weller wkroczył w świat soulu, a powstające od ponad 30 lat jego solowe dzieła to wynik wszystkich poprzednich doświadczeń. Muzycznie jest więc znakomicie, z rockowo-soulowych piosenek wyciska to, co najlepsze, a całość, rozpisana na bogate instrumentarium, wtapia się w orkiestracje przygotowane w Abbey Road przez kompozytorkę muzyki elektronicznej Hannah Peel. Rockową tradycję uosabiają liczni goście, m.in. Suggs z Madness („Ship of Fools"), Bobby Gillespie z Primal Scream czy Richard Hawley z Pulp. Ale także młodsze talenty, w tym francuski producent art-pop Christophe Vaillant czy trio wokalne z Brooklynu Say She She. Weller wzrusza folkowo-popowymi fantazjami („I Woke Up"), kapitalnymi lirycznymi balladami („Flying Fish", „Nothing") czy jazzową i romantyczną „Burn Out", gdzie już na sam koniec zespół wspierany przez subtelny saksofon wprawia w ruch kalejdoskop britpopowej psychodelii. Ogólnie dominuje klasyczny, brytyjski biały soul z pazurem, którego najjaśniejszą perełką jest „In Full Flight". W przesłaniu impresjonistyczna i pełna pytań, ale jednocześnie optymistyczna podróż przez starzenie się, czas i przemijanie. Muzyk od dawna bowiem rozkoszuje się dobrodziejstwami życia rodzinnego i pielęgnowaniem ogrodu. Nie wzywa do rewolucji, będąc świadomym, że żyje w świecie, w którym kłamstwa stają się „prawdą", a my pozostajemy ślepi na to, by to dostrzec. Na ostatnich solowych płytach Wellera nie ma więc szczególnych odniesień do polityki, choć w latach 80. organizował wspieraną przez laburzystów grupę pod nazwą Red Wedge na rzecz strajkujących górników. Liczy się muzyka, a dawno rozczarowany Partią Pracy, pewny siebie, choć stonowany, przemierza przestrzeń pop-rockowego kosmosu, którego granice określili kiedyś Beatlesi. Warto wybrać się w taką podróż.

Fot. Andrzej Wiktor, materiały prasowe

eprasa.pl 17872d6a24

Natchniony marzyciel

Chrześcijaństwo jak wszystko, co odnosi sukces, „obrasta w tłuszcz", dołączając do umierającego świata. Chrystus obiecał jednak pozostać z nim do końca. Upadek uaktywni wolę życia – przekonuje John Senior

To apologia Zachodu napisana na gruncie „ochrzczonej" przez Kościół arystotelesowskiej metafizyki. Z przekonania o rzeczywistej relacji między umysłem a rzeczą. I polemiką z ciągle tym samym oponentem – sofistyką, nominalizmem, utylitaryzmem, fenomenologią. Ten nieco poetycki, ale filozoficznie spójny manifest nauczyciela akademickiego, który w latach 50. XX w. przeszedł drogę od marksizmu przez fascynacje religiami Wschodu i okultyzmem ku katolicyzmowi, jest świadectwem tego, że powrót z tych bezdroży wiedzie wyłącznie szlakiem przetartym przez Magów, którzy złożyli swe dary Dzieciątku. To marzycielska apologia Zachodu, który przeminął, wyidealizowanego, choć zbudowanego przez klasyczną kulturę z jej filozofią i literaturą – „egipskim złotem i srebrem" zabranym przez chrześcijaństwo w trakcie swej dziejowej pielgrzymki. Dla autora jego centrum jest „łacińska Msza i benedyktyńskie Oficjum". Podąża więc z kompasem metafizyki istnienia św. Tomasza i postaciami świętych – Newmana i Benedykta. W końcu Senior przyczynił się do założenia benedyktyńskiego opactwa Matki Bożej w Clear Creek w Oklahomie i nawróceń wielu swoich studentów.

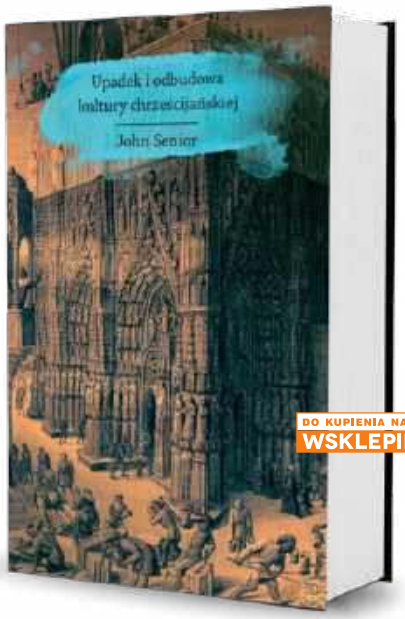

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

John Senior, „Upadek i odbudowa kultury chrześcijańskiej", Dębogóra 2021

Według niego najboleśniejsze ciosy kulturze chrześcijańskiej zadała moderna w XIX w. – Marks, teoria Darwina, psychoanaliza i powieść psychologiczna. Sartre stwierdził potem, że „pozór jest istotą", traktując istnienie tak jak partia komunistyczna użyje „miłości" i „pokoju" (jak się okazuje, nie tylko ona), by oznaczały swoje bezpośrednie przeciwieństwa. Więc i w nasze myślenie wkradają się wyobrażenia i pozory, dominuje relatywizm, poezja wyraża już tylko samą siebie. Obraz zastępuje byt, modele Picassa rozpływają się w liniach i bryłach, eksperymentator znika w eksperymencie, nauka prowadzi do psychologizacji wiedzy, znika nie tylko prawda, lecz także fałsz. To nić Ariadny, wprowadzająca nas do wnętrza labiryntu, a nie odwrotnie. Do tego ciągła rewolucja rozumiana jako nie tyle niszczenie, ale reinterpretacja pojęć. Ktoś ciągle proponuje nam budowę ziemskich rajów, tymczasem ekonomizacja życia konsumuje kapitał kulturowy minionego pokolenia, nie potrafiąc przeciwdziałać jego wyczerpaniu. Rodzi to poczucie bezsensu, a technologia jedynie łagodzi ból istnienia i zapewnia komfort w powolnym oczekiwaniu na śmierć.

Już w latach 70. XX w. Senior dostrzegał, że tzw. bomba populacyjna jest mitem, a prawdziwy problem to spadek płodności. „Paradoksalnie nie można pozwolić sobie na dzieci w społeczeństwie dobrobytu" – pisał, zadając pytanie, czy uprzemysłowione społeczeństwo w ogóle może się jeszcze rozmnażać. Senior jest bardzo krytyczny wobec liberalnego systemu edukacyjnego, produkującego „neurotyków z talentem do zdawania testów" – tych „współczesnych odpustów sprzedawanych przez uniwersytety", dewaluacji podstawowych pojęć, takich jak sprawiedliwość czy wolność, a w końcu degradacji rodziny i małżeństwa. Upadek więc będzie głęboki, ale – jak przekonuje – uaktywni wolę życia.

W momencie apogeum rewolty studenckiej organizował na swojej uczelni w Kansas interdyscyplinarny program humanistyczny, na którym czytano Homera, Platona, Boecjusza i Szekspira, uczono się łaciny i teologii. Tego wszystkiego, co jest przeciwieństwem dickensowskiego Thomasa Gradgrinda, konstruktora systemu edukacyjnego kształtującego przypominającego automat „człowieka faktu i rachunku". Po kilku latach program Seniora zlikwidowano z powodów politycznych, a na akademiach zatriumfował relatywizm, który jest dziś dogmatyczną ortodoksją. Ale on nie załamuje rąk, jest przekonany, że klasyczna edukacja, surowa asceza silniej przemówią do młodzieży niż „przerażone, tłuste chrześcijaństwo [...] składające brudny pocałunek pokoju komunistom i gwiazdom filmowym na rewolucyjnych wiecach [...], dołączając do umierającego świata". Św. Augustyn pisał „Państwo Boże" w czasie, gdy mury jego miasta oblegali Wandalowie. Nasza kultura odrodzi się – jak przekonuje Senior – na „zakwasie" sporządzonym przez św. Benedykta, którego reguła ocaliła spadek po Rzymie i zbudowała Europę. Optymistyczne.

eprasa.pl 17872d6a24

Kopanie Europy

STANISŁAW JANECKI

Szanse piłkarskiej reprezentacji Polski na wygranie Euro 2024 są szacowane na 0,84 proc., ale futbol to też sensacje

W marzeniach Polaków każda wielka impreza piłkarska powinna się kończyć medalem dla naszej reprezentacji, o ile nie mistrzostwem. O ile podczas mundialu było tak dwukrotnie (w 1974 r. i 1982 r. Polska była trzecia), o tyle w mistrzostwach Europy tylko raz mieliśmy jakieś szanse (w 2016 r. we Francji). Nasza reprezentacja wygrała w grupie mecze z Irlandią Północną i Ukrainą (po 1:0) oraz zremisowała 0:0 z Niemcami. W fazie pucharowej Polska prowadzona przez Adama Nawałkę wygrała (po rzutach karnych 5:4) ze Szwajcarią, a potem w ćwierćfinale rzutami karnymi (3:5) przegrała z późniejszym triumfatorem Portugalią.

Ale ogólnie Euro przez prawie 50 lat było dla polskich piłkarzy imprezą straconych złudzeń. Nawet w latach 70. i początku 80., gdy Polska plasowała się w światowej czołówce, na mistrzostwach Europy było źle albo jeszcze gorzej. Wprawdzie w eliminacjach do turnieju w 2008 r. kadra prowadzona przez Leo Beenhakkera pokonała m.in. Portugalię (z Christiano Ronaldo), ale w turnieju finałowym była jedną z najgorszych drużyn. W rozgrywanych w Austrii i Szwajcarii mistrzostwach zdobyliśmy zaledwie jeden punkt i jedną bramkę. W 2012 r. Polska była organizatorem Euro wspólnie z Ukrainą. Zaczęło się zgodnie z marzeniami, czyli w 17. minucie meczu otwarcia z Grekami Robert Lewandowski strzelił gola. Skończyło się jednak remisem 1:1. W sumie Polacy zdobyli zaledwie dwa punkty i zajęli ostatnie miejsce w grupie.

Euro 2024 zainauguruje 14 czerwca 2024 r. mecz Niemcy–Szkocja na Allianz Arenie w Monachium. Polacy rozegrają swoje pierwsze spotkanie 16 czerwca 2024 r. z Holandią (na Volksparkstadion w Hamburgu). Serwis We Global Football przedstawił prawdopodobieństwo wygranych: uznano, że Polska ma 0,84 proc. szans na zwycięstwo w Euro 2024. Na wyjście z grupy We Global Football daje polskiej reprezentacji 37,24 proc. szans, co oznacza, że plasujemy się na ostatniej pozycji w naszej grupie (D). Mniej szans na awans do fazy pucharowej We Global Football daje tylko drużynom Słowacji (34,48 proc.) oraz Albanii (13,12 proc.). Według serwisu największe szanse na zwycięstwo w mistrzostwach mają Niemcy (11,40 proc.), potem Francuzi (9,60 proc.) i Hiszpanie (8,92 proc.). Polska ma na Euro mizerny dorobek i mizerne uczestnictwo. Dlatego nasi rekordziści – Robert Lewandowski, Jakub Błaszczykowski i Łukasz Piszczek – rozegrali na mistrzostwach tylko po 8 meczów. Portugalczyk Cristiano Ronaldo ma na koncie 21 spotkań, Niemiec Bastian Schweinsteiger – 18, a Włoch Gianluigi Buffon – 17. Najwięcej goli na Euro dla reprezentacji Polski strzelił dotychczas Błaszczykowski – 3, podczas gdy rekordzista Ronaldo – 14.

Fot. zmotions/Shutterstock.com

eprasa.pl 17872d6a24

SPÓŹNIENI EUROPEJCZYCY

Mistrzostwa Europy w piłce nożnej można nazwać spóźnionymi pod wieloma względami. Euro wystartowało ponad 30 lat po ogłoszeniu pomysłu przez Henriego Delaunaya, wtedy sekretarza generalnego FIFA (światowej federacji piłkarskiej). Było spóźnione o 50 lat wobec Copa América (mistrzostw Ameryki Południowej), o 4 lata w stosunku do mistrzostw Azji i 3 lata – Pucharu Narodów Afryki.

Gdy pod koniec lat 20. XX w. Francuz Henri Delaunay, sekretarz generalny FIFA, ogłosił pomysł zorganizowania europejskich mistrzostw, weto postawił inny Francuz, Jules Rimet, ówczesny przewodniczący FIFA. Delaunay przekonywał: „Europa to mozaika państw potrzebujących futbolu jako formy wyrażania się. Wszystkie inne sporty zorganizowały mistrzostwa Europy, zaś piłka nożna jest uwięziona w starych ramach". Rimet był przeciwny mistrzostwom Europy jako konkurencji dla mistrzostw świata, które wystartowały w 1930 r. W 1954 r., gdy odszedł on ze stanowiska szefa FIFA, idea Euro wróciła. Utworzona wtedy UEFA (europejska federacja piłkarska) postanowiła zorganizować własny turniej. Delaunay został sekretarzem generalnym organizacji, ale pierwszego turnieju nie doczekał (zmarł w 1955 r.). Pierre, jego syn i następca, w 1958 r. ogłosił zamiar zorganizowania mistrzostw Europy. Z udziału w kwalifikacjach do pierwszego turnieju zrezygnowali jednak potentaci: Anglicy, Włosi, Niemcy i Holendrzy. Poza Albanią w kwalifikacjach wzięły udział wszystkie drużyny z bloku komunistycznego. Miała to być demonstracja aspiracji i siły. W drugiej rundzie eliminacji Hiszpanie mieli zagrać z ZSRR, ale rządzący krajem gen. Francisco Franco nie zgodził się na wylot reprezentacji narodowej do komunistycznego państwa, więc Hiszpanie przegrali walkowerem.

Pierwszym zwycięzcą Euro (w 1960 r. we Francji) był ZSRR. Do kwalifikacji zgłosiło się 17 narodowych reprezentacji, a do turnieju finałowego zakwalifikowały się Francja (gospodarz), Jugosławia, Czechosłowacja i ZSRR. Francja w półfinale przegrała 4:5 z Jugosławią. W drugim półfinale Związek Sowiecki pokonał 3:0 Czechosłowację. Finał rozegrano w Paryżu (przy 20 tys. widzów) – ZSRR wygrał 2:1 z Jugosławią, a decydującego gola strzelono dopiero w 113. minucie, czyli w drugiej części dogrywki. Za zwycięstwo każdy z sowieckich piłkarzy miał otrzymać 200 dol. Żadne z państw medalistów pierwszych mistrzostw Europy już nie istnieje. Polska w eliminacjach do Euro 1960 wpadła na Hiszpanię i przegrała oba spotkania. Ten kraj był z kolei gospodarzem mistrzostw w 1964 r. i wygrał wtedy turniej. Na Estadio Santiago Bernabéu w Madrycie w półfinale Hiszpanie pokonali reprezentację Węgier po dogrywce, a w finale wygrali 2:1 z obrońcami tytułu – ZSRR.

Pierwszy turniej pod nazwą mistrzostwa Europy został rozegrany w 1968 r. we Włoszech. W eliminacjach wystartowało 31 drużyn. Otwarcie turnieju finałowego z udziałem czterech drużyn przeszło do historii. W meczu Włoch z ZSRR mimo dogrywki nie padły bramki. Ale wtedy nie było przepisu o rzutach karnych, więc o awansie zdecydował rzut monetą, korzystny dla Włochów, którzy awansowali do finału. To jedyny taki przypadek w historii Euro. Finał też był historyczny, gdyż o mistrzostwie zdecydowały dwa spotkania. Pierwszy mecz Włoch z Jugosławią zakończył się remisem 1:1 po dogrywce. Dwa dni później rozegrano drugi mecz i tym razem lepsi okazali się Włosi, zwyciężając 2:0.

REKORDY I NOWOŚCI

Piłkarskie mistrzostwa Europy odbywają się co cztery lata, w latach parzystych, na przemian z mistrzostwami świata.

Po raz pierwszy do wyłomu w tym systemie doszło przy okazji Euro 2020, które z powodu pandemii koronawirusa przełożone zostało na 2021 r. Wtedy po raz pierwszy gospodarzami mistrzostw były więcej niż dwa państwa. W planach Euro 2020 państw gospodarzy miało być 13, potem zdecydowano się na 12 miast i 12 stadionów. Ostatecznie w kwietniu 2021 r. zapadła decyzja, że mecze odbędą się w 11 miastach. Kibice zajmowali maksymalnie 25 proc. pojemności obiektów.

12 razy gospodarzem Euro było jedno państwo, a 3 razy dwa: w 2000 r. Belgia i Holandia, w 2008 r. – Austria i Szwajcaria oraz w 2012 r. Polska i Ukraina. We wrześniu 2018 r. podjęto decyzję, że Euro 2024 odbędzie się w Niemczech – w 10 miastach na 10 stadionach.

Niemcy i Hiszpania mają na koncie po trzy tytuły mistrzowskie, co czyni je najbardziej utytułowanymi drużynami w historii Euro. Najlepszym strzelcem w jednym turnieju okazał się Michel Platini, legenda francuskiej piłki nożnej, który w 1984 r. podczas mistrzostw we Francji zdobył dziewięć goli. Z kolei najlepszy strzelec w historii Euro Cristiano Ronaldo (14 goli) to jedyny zawodnik, który strzelał bramki w pięciu różnych turniejach finałowych. Najmłodszym mistrzem Europy jest francuski napastnik Kylian Mbappé, który zdobył mistrzostwo w wieku 19 lat, kiedy Francja triumfowała na Euro 2016. Natomiast największą sensacją Euro jest dotychczas zwycięstwo Grecji w 2004 r., jednego z outsiderów turnieju przed jego rozpoczęciem.

Od Euro w 1980 r. we Włoszech, a potem na turniejach we Francji (1984 r.), RFN (1988 r.) i aż do mistrzostw w 1992 r. w Szwecji uczestniczyło 8 zespołów narodowych. 16 uczestników turnieju finałowego zgromadziły Euro w Anglii (1996 r.), Belgii i Holandii (2000 r.), Portugalii (2004 r.), Austrii i Szwajcarii (2008 r.) oraz w Polsce i na Ukrainie (2012 r.). W Euro w 2016 r. we Francji uczestniczyły już 24 drużyny, podobnie jak w turnieju w 2020 r., ostatecznie przesuniętym o rok z powodu pandemii (organizację w wielu miastach zaplanowano na długo przed jej wybuchem, a niektóre miasta zostały potem zamienione). Dopiero od szóstej edycji mistrzostw Europy (w 1980 r. we Włoszech) gospodarze mają zapewniony udział w turnieju finałowym bez konieczności rozgrywania meczów eliminacyjnych. Ale zwycięzca Euro nigdy nie był zwolniony z udziału w eliminacjach w następnej edycji. Mistrzostwa w 1980 r. były pierwszymi,

eprasa.pl 17872d6a24

w których rozegrano fazę grupową. Osiem uczestniczących drużyn podzielono na dwie grupy, których zwycięzcy spotkali się w finale, a drużyny z drugich miejsc walczyły o miejsce trzecie. Ale od turnieju w 1984 r. we Francji brązowe medale przyznawane były obydwu przegranym w półfinałach zespołom.

CYWILIZACJA FUTBOLU

W mistrzostwach było sporo sensacji. W Euro w 1976 r. w Jugosławii wygrała niespodziewanie Czechosłowacja. Na ten turniej reprezentacja RFN przyjechała po zdobyciu dwa lata wcześniej mistrzostwa świata i w roli obrońców tytułu z 1972 r., Holendrzy byli natomiast aktualnymi wicemistrzami świata. Do poprzednich mistrzostw świata i Europy Czechosłowacy nawet się nie zakwalifikowali. W półfinale ich zespół pokonał (po dogrywce) wielką wtedy Holandię, dyrygowaną przez Johana Cruyffa. W finale Czechosłowacja w regulaminowym czasie zremisowała 2:2 z RFN, dogrywka nie zmieniła rezultatu, więc o tytule decydowały rzuty karne. Wygrała je Czechosłowacja, a decydującą „jedenastkę" wykorzystał Antonín Panenka, który zmylił niemieckiego bramkarza długim rozbiegiem sugerującym mocne uderzenie, po czym lekko podciął piłkę – ta wpadła w środek bramki, podczas gdy bramkarz rzucił się w lewy róg. Tak narodził się styl strzelania karnych „na Panenkę".

Euro w 1992 r. w Szwecji niespodziewanie wygrała Dania. Był to ostatni turniej, w którym uczestniczyło 8 drużyn (od następnego liczba uczestników została powiększona do 16). Głównie dlatego, że po upadku komunizmu powstały nowe państwa, niektóre się połączyły, inne podzieliły. Organizacja Narodów Zjednoczonych wykluczyła z różnych rozgrywek reprezentację Jugosławii, gdzie trwała wojna. Skorzystali na tym Duńczycy, którzy w grupie eliminacyjnej zajęli drugie miejsce. W dwóch pierwszych meczach Dania nie zdobyła ani jednego gola, remisując 0:0 z Anglią i przegrywając 0:1 ze Szwecją. Awans do półfinału dało Duńczykom zwycięstwo 2:1 z Francją. W półfinale zremisowali oni 2:2 z Holandią i o awansie decydował konkurs rzutów karnych (wygrany 5:4 przez Danię). W finale Duńczycy pokonali 2:0 Niemców.

Euro w 2004 r. w Portugalii zakończyło się sensacyjnie, gdyż wygrała Grecja, uchodząca za outsidera. Nie odniosła żadnych sukcesów międzynarodowych: wcześniej wzięła udział tylko w jednym mundialu (1994 r.) i jednych mistrzostwach Europy (1980 r.), obydwa turnieje kończąc w fazie grupowej. Po wygranej 2:1 z Portugalią Grecy zremisowali 1:1 z Hiszpanią i przegrali 1:2 z Rosją, ledwo awansując do fazy pucharowej. Kolejnych rywali pokonywali w stosunku 1:0: w ćwierćfinale Francję, w półfinale Czechy (po dogrywce) i w finale Portugalię.

Jest pewną prawidłowością, przynajmniej w Europie, że w różnych państwach piłkarze odnosili największe sukcesy wtedy, gdy te kraje wyróżniały się także pod innym względem. Reprezentacja Niemiec przez lata była maszyną, która nie zawodzi – jak silniki aut czołowych niemieckich marek w tamtym czasie. Skuteczność niemieckiej reprezentacji i organizacja gry były odpowiednikami skuteczności niemieckiego przemysłu i eksportu, a dyscyplina przypominała „ułożenie" niemieckiego społeczeństwa. Ale kilka ostatnich lat to głębokie i niekorzystne zmiany w Niemczech, a wypadkową tych przemian jest zdecydowany regres w grze niemieckiej reprezentacji.

Przełom ustrojowy oraz członkostwo Polski w Unii Europejskiej nie przełożyły się na sukcesy reprezentacji piłkarskiej, jak choćby w przypadku Hiszpanii czy Portugalii. Ale można to tłumaczyć imitacyjnym charakterem polskiej transformacji oraz quasi-kolonialnym piętnem modernizacji. Cywilizacyjnie i organizacyjnie już dojrzeliśmy do odnoszenia sukcesów w futbolu, ale kulturowo wciąż chyba nie. Dlatego nasza drużyna narodowa nie ma własnego charakteru, własnego stylu. Choć mamy pokolenie piłkarzy ukształtowanych w III RP i grających w dobrych ligach na Zachodzie, w ich grze coś nie funkcjonuje. Czy zacznie funkcjonować na Euro 2024 w Niemczech?

Najwięcej goli na Euro dla reprezentacji Polski strzelił dotychczas Jakub Błaszczykowski – 3, podczas gdy rekordzista Cristiano Ronaldo wbił dla Portugali piłkę do bramki 14 razy

Fot. Fahad Tariq/Shutterstock.com

eprasa.pl 17872d6a24

Królewscy rekordziści

Najbardziej utytułowany klub w historii piłki nożnej Real Madryt zdobył kolejne trofeum, czyli już 15. Puchar Ligii Mistrzów. Piłkarze zanieśli go nawet w geście wdzięczności przed oblicze patronki Madrytu – Matki Bożej z Almudeny. Co takiego skrywa historia klubu, a może nawet ziemia na Półwyspie Iberyjskim, że wydaje tak utalentowanych piłkarzy i specjalistów w tej dziedzinie sportu? Czy jest jakaś tajemnica tego klubu, którą można skraść i wykorzystać nad Wisłą?

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Oglądający zasłużoną euforię Hiszpanów kibic z Polski jest zmuszony radzić sobie z bardzo ludzkim ukłuciem zazdrości albo odśpiewywać ku pokrzepieniu tradycyjne: „Polacy nic się nie stało". Nawet jeśli setki razy słyszał, że „piłka jest okrągła, a bramki są dwie", to już zdążył przywyknąć, że w Madrycie lub Barcelonie ta piłka w cudowny sposób częściej odnajduje drogę do bramki niż na boisku polskich klubów. Złośliwość obiektów martwych i okrągłych nad Wisłą czy po prostu brak myśli strategicznej?

NAJLEPSZY KLUB XX w.

Historia Królewskich, zwanych też zazwyczaj „Los Blancos" (od koloru koszulek), uczy przede wszystkim tego, co stwierdzają sami piłkarze już od dekad: „Klub jest rodziną, dlatego wygrywamy prawie wszystko". „Nigdy się nie poddajemy, po prostu wyczekujemy aż przeciwnik słabnie". „Zawsze mamy niezaspokojony głód zwycięstw." Co jest chyba prawdą, bo jak inaczej można wytłumaczyć zdobycie 15 pucharów Ligii Mistrzów, 36 pucharów ligi hiszpańskiej, 5 superpucharów Europy, 2 pucharów UEFA, 13 superpucharów Hiszpanii i 8 klubowych pucharów świata? Zapewne niechcący pominęłam jeszcze jakieś trofeum, więc dodam asekuracyjnie, że jest to klub z największą liczbą pucharów (31) w rozgrywkach międzynarodowych, co sprawia, że deklasuje wszystkie inne na planecie. Dzięki znakomitemu bilansowi osiągnięć w 2000 r. został uznany przez FIFA za najlepszy klub XX w. Jeśli więc drużyna wydaje się fabryczką sukcesów, należy pilnie przyjrzeć się jej historii.

Wszystko zaczęło się pod koniec XIX w. w „perfidnym Albionie", jak zwą Hiszpanie swego historycznego wroga, czyli Brytyjczyków. Być może nawet w akcie zemsty przejęli od synów Albionu wynalazek piłki nożnej, aby w przyszłości zgarniać im sprzed nosa trofea.

W historię Realu Madryt wprowadza mnie mój nieoceniony ekspert

Fot. Raffaele Conti 88/Shutterstock.com

eprasa.pl 17872d6a24

i komentator futbolu w internetowych programach, a przy okazji doktor historii Uniwersytetu w Valladolid Alfonso Velasco Sendra. – Uznawana za kanoniczną data utworzenia klubu to 6 marca 1902 r. Stało się to za sprawą barcelończyków – braci Juana i Carlosa Padrós. Nawet nasz największy rywal, czyli FC Barcelona, powstał przed Realem, bo już w 1899 r. Przodkiem Realu Madryt byłby klub Madryt Football, założony w 1897 r. przez Juliána Palacios – mówi Sendra.

GRAĆ DLA KRÓLA

Zanim jednak powstała liga hiszpańska, te nieliczne drużyny walczyły jedynie o Puchar Króla, wówczas Alfonsa XIII. Kolejne lata istnienia klubu były związane z małym boiskiem – grę na nim mogło obserwować 7 tys. widzów. W 1920 r. drużyna z powodu swych sukcesów otrzymała tytuł Królewski (hiszp. Real) nadany przez tegoż Alfonsa XIII. W 1923 r. Real Madryt nabył część ziemi w dzielnicy Chamartín i zainaugurował budowę stadionu, a już w 1929 r. został gospodarzem pierwszego meczu mistrzostw ligowych. Musiał jednak czekać do sezonu 1931/1932, aby zdobyć swój pierwszy tytuł mistrzowski. Już w latach 30. XX w. szefowie klubu zrozumieli, że sukces jest możliwy jedynie poprzez pozyskanie najlepszych zawodników i na owoce takiego myślenia nie trzeba było długo czekać. Wkrótce jednak wojna domowa przerwała dobrą passę. Liga hiszpańska przestała istnieć, bo bratobójczy konflikt demolował kraj i spowodował obecny w zasadzie do dziś podział na lewicę i prawicę, który dotyczy też czasami emocji sportowych.

W okresie powojennym Real, zresztą tak jak inne kluby, przeszedł restrukturyzację. Jak podpowiada mi mój ekspert: – FC Barcelona lepiej niż Real dostosowała się do powojennych warunków, zdobywając trzy tytuły mistrzowskie, podczas gdy Madryt ani jednego. W dodatku musiał grać w bardzo złych warunkach, bo wielu jego zawodników ze względu na lewicowe sympatie skończyło na wygnaniu lub w więzieniu. W rzeczywistości prezes klubu w latach 1935–1936 Rafael Sánchez Guerra, republikanin, spędził dwie dekady na wygnaniu.

Przy okazji zabawne, że polska Wikipedia tak stronniczo opisuje tego działacza sportowego, poświęcając mu zaledwie trzy zdania: „Jako republikanin dostał się do niewoli i był torturowany przez ludzi gen. Franco. Uciekł z więzienia i przedostał się do Paryża, gdzie stał się członkiem rządu na uchodźstwie. Powrócił do kraju w 1959 r., zmarł 5 lat później [...]". Po pierwsze, nie jest prawdą, aby był torturowany, a poza tym nie ma ani słowa o tym, że po śmierci żony wstąpił do zakonu dominikanów, a na jego ślubach był obecny minister rządu gen. Franco. Eksprezes Realu w habicie wydał przed śmiercią książki „Mój klasztor" i „Listy do moich wnuków".

KOMU KIBICOWAŁ FRANCO?

Inny tymczasowy prezes Realu w czasie wojny domowej, Antonio Ortega Gutiérrez, został rozstrzelany przez frankistów, był bowiem wysoko postawionym członkiem Partii Komunistycznej i dowódcą części wojsk republikańskich, współpracował z Sowietami. Republikańskie sympatie prezesów Realu stanowiły taką hańbę, że, jak twierdzą niektórzy, reżim poważnie rozważał rozwiązanie Realu Madryt. Dlatego plotki, jakoby gen. Franco faworyzował klub, są wyssane z palca. Rok temu, gdy prezes Barçy Joan Laporta powiedział publicznie, że Królewscy byli „drużyną reżimu", wywołał ogromne oburzenie.

Laporta przeprowadził serię ataków na Real być może właśnie po to, aby odwrócić uwagę od bankructwa klubu czy zarzutów ciążących na jego szefach. Ujawniono, że w latach 2001–2018 Barça zapłaciła łącznie 7,3 mln euro byłemu wiceprzewodniczącemu Komitetu Technicznego Sędziów (CTA) José M. Negreirze, za, jak można zgadywać, pomyślne werdykty sędziowskie.

Real Madryt potrzebował zaledwie paru godzin, aby odpowiedzieć Laporcie dobitnie za pomocą wideo ukazującego zapis, jak gen. Franco faworyzował drużynę Barcelony. To on zapewnił Barçy stabilność w obliczu rozbitego Realu Madryt, więc otrzymał od klubu aż trzy odznaczenia i został nawet mianowany jego honorowym członkiem. W sieci jest zresztą mnóstwo zdjęć pokazujących, jak piłkarze i fani Barcelony faszystowskim salutem pozdrawiają ukochanego caudillo Franco.

REAL ODRADZA SIĘ Z POPIOŁÓW

Mimo że powojenne lata były korzystne dla FC Barcelony, to Real Madryt już w latach 40. odrodził się z popiołów i na zawsze zmienił historię światowego futbolu. Wszystko za sprawą błyskotliwego prezesa i znów barcelończyka z urodzenia – Santiago Bernabéu (tak, to jego imię nosi stadion Królewskich w Madrycie). Bernabéu sam był wcześniej piłkarzem ekipy Los Blancos, więc poznał futbol od poziomu murawy po fotel prezesa stołecznego klubu. Został mianowany w 1943 r. i to od wtedy datuje się początek zaciekłej rywalizacji z Barceloną, kładąc podwaliny pod zespół, który przez lata będzie znany jako najlepszy klub lat 50. i 60.

Real Madryt przeżywał swój pierwszy wspaniały złoty okres, plasując się na szczycie światowego futbolu. Była to zasługa głównie Argentyńczyka Alfreda Di Stéfano, który przewodził drużynie i popychał na sam szczyt z pomocą innych zawodników: Ferenca Puskása i Paco Gento. Jak jednak sufluje mi ekspert Alfonso: – Wielkość Bernabéu [1943–1978] wynika z tego, że był pionierem i jednym z największych architektów tworzenia Pucharu Europy, czyli turnieju, który uczynił Real wielkim. Jego pierwsza edycja odbyła się w latach 1955–1956. Co ciekawe, Bernabéu, choć walczył w wojnie domowej po stronie narodowej, nie był w dobrych relacjach z gen. Franco, bo nie podobało mu się, że sukcesy jego drużyny mają być używane przez dyktaturę do swoich celów.

W 1960 r. Real zdobył trofeum w pierwszej edycji Pucharu Interkontynentalnego i został ogłoszony królem królów. Na początku lat 70. do Madrytu przybył Santillana, jedna z największych legend klubu, a siedem lat później Królewscy pozyskali jednego z najbardziej pożądanych zawodników owego czasu – Juanito. Jego temperament oraz błyskotliwa gra sprawiły, że stał się legendą. Lata 60. i 70. były pasmem suk-

eprasa.pl 17872d6a24

cesów, bo FC Barcelona wygrała tylko jeden finał ligi. Tak naprawdę największym wyzwaniem dla Królewskich był wtedy klub Atlético Madryt.

Gdy Bernabéu zmarł po 35 latach na stanowisku prezesa Realu, świat futbolu uczcił odejście człowieka, któremu udało się uruchomić geniusz tej drużyny. Lata 80. to kolejna złota era Królewskich. Piłkarz Emilio Butragueño wzmocnił drużynę i poprowadził do pięciu mistrzowskich tytułów z rzędu. Meksykański napastnik Hugo Sánchez także miał w tym udział. Klub zdobył wówczas także dwa pierwsze puchary UEFA i zapoczątkował tradycję udawania się pod fontannę Cibeles, aby świętować swoje zwycięstwa (co praktykuje do dziś w obecności milionów fanów). Jeśli w latach 60., 70. i 80. Real zgarniał niemal wszystko, to od lat 90. rosła potęga największego jego rywala, czyli FC Barcelony. Na szczęście w tym czasie klub wzbogacił się o bardzo utalentowanego młodego zawodnika – Raúla Gonzáleza. Pod jego komendą w 1998 r. Królewscy po raz siódmy sięgnęli po Puchar Europy. W 1999 r. zadebiutował Iker Casillas, czyli najlepszy bramkarz w historii klubu.

ROZPOCZYNA SIĘ ERA GALÁCTICOS

W 2000 r. z Raúlem i Casillasem Królewscy sięgnęli po ósmy Puchar Europy, a Florentino Pérez został prezesem klubu. To on zmienił funkcjonowanie instytucji, dbał o jej imperialny rozmach; zaczęła się era kupowania „galácticos": najpierw Luísa Figo, potem Zinedine'a Zidane'a i Davida Beckhama. Jednak mimo niekwestionowanego sukcesu gospodarczego, klub ledwie wygrał ligę w sezonie 2002/2003, przez co Pérez nie przedłużył kontraktu z trenerem Vicente del Bosque. Ten z kolei (w młodości także piłkarz Realu) nie mógł wybaczyć tego despektu i odtąd żywił urazę do Realu, co ponoć było widać w jego pracy jako selekcjonera narodowej ekipy.

Florentino sprowadził Cristiano Ronaldo, a ponieważ był to najdroższy transfer w historii, klub sprzedał Arjena Robbena Bayernowi. Odszedł Kaka, ale dołączył Karim Benzema. I jak mówi mój ekspert: – Zaczęła się okropna era trenera Josepa Guardioli, bo choć Barça pozyskała przeciętnych graczy, to wspierał ich kapryśny geniusz Messiego. Guardiola wypromował Busquetsa, Xaviego, Iniestę i Puyola. Do Realu sprowadzono więc José Mourinha, który z Porto i Interem sięgnął po dwa Puchary Europy, i chociaż przełamanie dynamiki Barçy zajęło mu dwa lata, Real zdobywał z nim coraz więcej trofeów. Klub zdecydował się jednak zamienić temperamentnego Portugalczyka na powściągliwego Carlo Ancelottiego. Drugi sezon Ancelottiego zakończył się fiaskiem, więc zastąpiono go Rafaelem Benítezem. I znów na krótko, bo jego następcą został Zidane, który wygrał trzy Ligi Mistrzów z rzędu, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Ta gwiazdorska drużyna z Ronaldo, Benzemą, Balem, Marcelo i Ramosem jest zdaje się w świeżej pamięci wielu kibiców, bo szli niemal po wszystkie puchary, superpuchary, ale mało kto pamięta, że mimo świetnych wyników Zidane został zwolniony w środku mistrzostw świata (2018 r.) przez skorumpowanego prezesa hiszpańskiego związku piłkarskiego Luisa Rubialesa (tego od nieszczęsnego pocałunku piłkarki).

> „Uznawana za kanoniczną data utworzenia klubu to 6 marca 1902 r. Stało się to za sprawą barcelończyków – braci Juana i Carlosa Padrós" – opowiada o początkach Realu Madryt mój nieoceniony ekspert i komentator futbolu Alfonso Velasco Sendra

Najnowsze karty dziejów klubu kibice piłki nożnej znają lepiej niż autorka tego tekstu, dlatego wolę dostarczyć ciekawostek, o których może nie wszyscy wiedzą.

1. Real Madryt od 2019 r. ma także swoją drużynę kobiecą, nie licząc sławnej i wybitnej drużyny koszykarskiej.
2. W przeciwieństwie do innych klubów piłkarskich, będących własnością inwestorów lub firm, Real Madryt jest własnością swoich członków. Klub liczy ponad 90 tys. członków, którzy wybierają prezesa i zarząd w wyborach. Ta wyjątkowa struktura odegrała kluczową rolę w historii Królewskich i zapewniła im łączność ze społecznością fanów.
3. Real Madryt to jeden z najcenniejszych klubów na naszej planecie, którego szacowana wartość wynosi ponad 4 mld dol. Jest także jednym z najbogatszych, z rocznym dochodem ok. 750 mln euro.
4. Herb klubu zmieniał się w ciągu dekad, a krzyż na jego szczycie zmalał. Został nawet usunięty z koszulek sprzedawanych w Emiratach Arabskich „w dowód szacunku dla tamtejszej religii".
5. W niedzielę 2 maja br. podczas świętowania zwycięstwa i w drodze do katedry Matki Bożej z Almudeny autobus Królewskich był eskortowany przez konny oddział policji, m.in. przez ojca piłkarza Carvajala.
6. W odróżnieniu od Barçy Real jest apolityczny i przez to znienawidzony przez lewicę (również za wierność tradycji). Trofea ofiarowuje Matce Bożej z Almudeny, ale nie jest klubem konfesyjnie katolickim, choć wielu członków ekipy publicznie przyznawało się do wiary.

Dlaczego wygrywają? Nie tylko dlatego, że czują się rodziną, a każdy piłkarz wie, że są silniejsi właśnie wtedy, gdy swoje egoizmy i chęć błyszczenia poświęcają na rzecz ducha zespołu. Poza tym, i tu już moja prywatna ocena, są spadkobiercami imperium spod herbowej dewizy „Plus Ultra" („Wciąż dalej"), zatem każde pokolenie wie, że może zdobywać, co zapragnie i nikt nie wyśmieje ich „gigantomanii".

eprasa.pl 17872d6a24

graficznej oprawie – powinny zaintrygować odbiorców w szerokim przedziale wiekowym. Wliczając tych, którzy z sentymentem wspominają wakacje z duchami oraz Panem Samochodzikiem.

Czas więc ruszyć w drogę, tropiąc przeróżne widziadła, mary czy upiory nie tylko w zamkach i pałacach, lecz także w starych kamienicach, podziemnych sztolniach i bunkrach. A jeśli weźmiemy pod uwagę pogańskie wierzenia czy ludowe przekazy, to strzygi lub topielice mogą nas zaprowadzić na mokradła i do leśnych uroczysk.

Na początek pojawia się jednak Zamek Książąt Pomorskich, gdzie straszy nieszczęsna Sydonia von Borck. Trasa prowadzi też przez Krzywy Las i Darłowo, gdzie bryluje „ostatni wiking Bałtyku" Eryk Pomorski.

Wędrując przez kolejne regiony, autorki docierają m.in. do kostrzyńskiego Starego Miasta – jedynej, jak zaznaczają, polskiej dzielnicy zamieszkanej wyłącznie przez duchy (nie może być inaczej, skoro przestrzeń wypełniają tylko ruiny, efekt zniszczeń po zaciętych walkach w 1945 r.).

Stając pod murami międzyrzeckiego zamku, wspominają skaczącą do W lasach i wśród niezwykłych formacji skalnych wypatrują Liczyrzepy i błędnic, o rycerzach-rozbójnikach nie wspominając. W Bisztynku trudno przeoczyć Diabelski Kamień. Czarci ślad, przypominający odcisk dłoni, znajdziemy też na stole sędziowskim Trybunału Koronnego w Lublinie.

Nie białą damę, a czarną pannę (czyli cień zakochanej w rybaku księżniczki Heleny Lubomirskiej) może uda się wypatrzyć w Janowcu, zaś od ruin w Zawieprzycach nie mogą się uwolnić trzy... greckie zjawy.

Z kolei w podziemnych tunelach pod Jarosławiem pojawia się ponoć powóz zaprzężony w szóstkę koni, a z Łańcuta nie chce się wynieść duch okrutnika i warchoła Stanisława Stadnickiego. Z płonącymi oczami i własną głową pod pachą paraduje po zamkowym parku.

Siedziby książąt mazowieckich w Ciechanowie broni olbrzymia zjawa czarnego psa, w którego zmienił się krwiożerczy rycerz Sulimir. W zamku Krzyżtopór o palmę pierszeństwa bój toczą biała dama bez głowy i czarny husarz. W Suchej Beskidzkiej, jak twierdzą niektórzy, wciąż słychać jęki rozbójników torturowanych na rozkaz

MARTYNA SKIBIŃSKA*

Wakacje z duchami

Są książki, które najlepiej wybrzmiewają w dwugłosie. Tak jest z „Duchowym przewodnikiem po Polsce", który słowami stworzyła Martyna Skibińska, a ilustracjami dopełniła Dominika Czerniak-Chojnacka. Nie dziwi, że „101 wycieczek z dreszczykiem" (jak czytamy w podtytule), ukazało się nakładem wydawnictwa Dwie Siostry, które od lat dostarcza czytelnikom książki autorskie, tekstowo i ilustracyjnie współgrające, kompletne. Tak jest i w tym przypadku.

Spotkania ze zjawami – przedstawione w klimatycznej narracji i takiej fosy szlachciankę Małgorzatę, niefortunnie zakochaną w przyszłym królu Henryku Walezym. W Wielkopolsce trafiają na szlak wytyczony przez młodego Adama Mickiewicza i znajdujące się na nim, a zasiedlone przez duchy szlacheckie rezydencje, m.in. w Kopaszewie, Objezierzu, Śmiełowie czy Rydzynie.

Dolny Śląsk wita ich tajemnicami ukrytymi także pod ziemią – choćby w labiryntach dawnych transportowych szlaków.

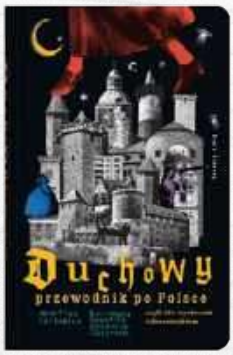

damy w czerni (lub bieli) Anny Konstancji z Lubomirskich Wielopolskiej, a ze studni zamku w Niedzicy dobywa się czasem echo błagania: „Przebacz mi, Brunhildo!".

Imponujący korowód zjaw z różnych miejsc i epok przewija się na ponad 360 stronach. Trzeba uważać, bo ich historie potrafią wciągnąć.

Jolanta Gajda-Zadworna

** Współautorka „Duchowego przewodnika po Polsce"*

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 17872d6a24

SŁODKO-SŁONY

Kapusta inaczej

ANNA MONICKA

Biała kapusta – kiedy na straganach pojawiają się młode główki, zaczyna się kulinarne święto, przynajmniej u mnie. Zajadamy ją nawet na surowo, jest bardzo smaczną przekąską, która nie potrzebuje nawet dodatku soli. Wystarczy pokroić ją w kawałki wielkości chipsów i podjadać zamiast słonych przekąsek. Mój znajomy leczył się takim „daniem" z awitaminozy, zresztą całkiem skutecznie. A gdy się znudził, krótko dusił kapuściane kawałki na patelni, dodawał do nich podsmażony boczek albo paseczki szynki i miał królewski obiad. Zgadzam się z nim w 100 proc. – to jedno z najbardziej uniwersalnych warzyw, które można podawać na ciepło, zimno, z owocami, mięsem albo po prostu młodymi ziemniakami, solidnie oprószonymi koprem.

Pierwszą tegoroczną główkę poszatkowałam na rewelacyjną surówkę. Wystarczy dodać do niej odrobinę soli i dobrze wygnieść, żeby puściła sok. Już pierwszego dnia jest świetna, ale drugiego, gdy się ją skropi sokiem z cytryny, octem jabłkowym lub ryżowym i kilkoma kroplami oliwy, można się nią zajadać w burgerach, spring rollsach, z grillowanym mięsem, rybą lub pieczonymi w ognisku ziemniakami. Można ubić w słoikach i trzymać kilka dni w lodówce, żeby się odrobinę podkwasiła.

Drugą główkę upiekłam. Oczywiście nie w całości, ale pociętą w grube na centymetr plastry. Obtoczone w oliwie z czosnkiem, solą i pieprzem ułożyłam w brytfannie, delikatnie posmarowałam na wierzchu gęstym, słodko-słonym sosem teriyaki, który nadaje głębię zarówno daniom z warzyw, jak i mięsu, po czym zapiekłam w solidnie nagrzanym piekarniku. Pół godziny wystarczy, po 20 minutach warto przełożyć kawałki na drugą stronę, żeby się równomiernie przypiekły. Ja dolewam na dno odrobinę wody, by danie nie wyszło za suche. Niby prosta sprawa, ale tak przyrządzone liście to zupełnie nowy, rewelacyjny wymiar kapusty. Moi rodzice, którzy ugotowali w swoim życiu pewnie kilka tysięcy główek na gołąbki, parzybrody czy do bigosów, początkowo nie poznali, że to właśnie to warzywo. Jedliśmy ją z ryżem basmati i pieczonym, mocno cytrynowym łososiem. Polecam!

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Harcerz w lesie

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Polskie lasy powiększyły się powierzchniowo, dokonał się także przyrost drewna na hektar: drzewa są starsze i większe. To naturalna kolej rzeczy, gdy po latach zniszczeń zaprowadzi się ład. „W okresie I wojny światowej rabunkowa gospodarka okupanta doprowadziła do zniszczenia najpiękniejszych drzewostanów. [...] Podczas okupacji niemieckiej w trakcie II wojny światowej lasy nadleśnictwa były użytkowane rabunkowo. Drewno było wykorzystywane na miejscu lub wywożone do Rzeszy" – tak opisało na stronach internetowych historię swoich lasów Nadleśnictwo Łochów, lecz w ten sposób można opisać dzieje wszystkich polskich kniei. Obecnie las odrasta.

Zasadniczo to dobrze. Jest jednak grupa społeczna poszkodowana tym faktem. To harcerze. Nikt, nawet leśnik, nie spędza tak intensywnie czasu w lesie. Na jeden miesiąc w roku drużyny harcerskie przenoszą się z miast do lasów. Tam budują obozy i żyją w nich. W środku puszczy harcerze jedzą, bawią się, odpoczywają. Wieczorem sznurują poły namiotów i śpią wśród szumiących drzew. Są tam podczas wiatrów i burz. I tu pojawia się problem. Obozowe życie toczy się pod ważącymi setki kilogramów konarami i u boku pni kolosów. Przewracające się drzewo nie jest niczym niezwykłym w leśnym ekosystemie. Dla harcerzy to śmiertelne zagrożenie. Dzieci i młodzież są wobec niego zupełnie bezbronni. Szczególnie niebezpieczne są noce.

Czy zabronić wypoczynku w lesie? Nic z tych rzeczy! Las i czas w nim spędzony to dobra kuracja na dziecięce i młodzieżowe problemy współczesności. Tu hartuje się męstwo, rodzi odpowiedzialność, kształtuje charakter i zawiązuje braterstwo. Bez smartfonów. Jak więc pogodzić te dwa żywioły: młodość, życie i przygodę z rytmem życia coraz starszego lasu? To wyzwanie dla leśników. Las ma różne fazy rozwoju drzewostanu. Idealnym rozwiązaniem byłoby udostępnienie drużynom terenów wśród tzw. tyczkowin. Las nie jest już wówczas małym młodnikiem, nieprzydatnym na obóz, lecz nie jest jeszcze stary i niebezpieczny. Korony młodych drzew tworzą odpowiedni leśny mikroklimat, a stosunkowo cienkie pnie nie stanowią zagrożenia. Wytyczanie terenów pod obozy wyłącznie w takich miejscach powinno być praktyką wszystkich nadleśnictw goszczących harcerzy.

eprasa.pl 17872d6a24

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Komisja na DK63

Napisałem kiedyś, że Donald Tusk nie kłamie tylko wtedy, gdy milczy. Całkowicie pozbawiony wiarygodności mówi, co tylko chce, ze świadomością, że nikt go z tych słów nie rozliczy, a skrytykuje jedynie nieliczna grupka dziennikarzy. Przykładów jego zakłamania nie da się spisać na wołowej skórze. I zawsze może liczyć na swój wierny elektorat, który będzie go wspierał głównie dlatego, że Tusk gardzi Polakami, a swoimi decyzjami szkodzi Polsce, której oni nie lubią.

Ten elektorat ma swój twardy rdzeń – to komunistyczne relikty, dawni funkcjonariusze służb PRL oraz liczna agentura wpływu. Swego czasu Sławomir Cenckiewicz mówił o ponad 50 tys. Rosjan pozostałych w Polsce po wojnie, pod zmienionymi na polsko brzmiące nazwiskami, w Warszawie zostało też ponad 5 tys. budowniczych Pałacu Kultury im. Józefa Stalina, którym Moskwa pozwoliła zamieszkać w naszym kraju. Ten polsko-rosyjski elektorat jest gotów zaakceptować tylko takiego polityka, który czynnie zwalcza działaczy polskiej prawicy, konserwatystów, narodowców, katolików, polskich patriotów i który szkodzi krajowi, w którym żyją, ale się z nim nie utożsamiają.

Donald Tusk potrafi szczególnie mocno judzić i nakręcać emocje, jak na ostatnim wiecu na pl. Zamkowym w Warszawie. Kiedy zaczął mówić o wojnie polsko-polskiej i o tym, że mamy wybrać Europę, a nie Rosję, ludzie rzucili się na grupkę osób stojących spokojnie z transparentem „Tak dla CPK", „Tak dla rozwoju". Adam Czarnecki, pomysłodawca idei popularyzacji potrzeby budowy CPK, usłyszał od nich, że są rosyjskimi kacapami. Banery zostały zniszczone, tak jak plakat wyborczy Sebastiana Kalety, kandydata do europarlamentu, któremu ktoś namalował na czole czerwoną sowiecką gwiazdę. Zainicjowane przez Tuska kłamliwe odwrócenie pojęć i znaczeń – że to PiS jest partią proputinowską, że to PiS realizuje rosyjskie interesy – jest, jak widać, możliwe w Polsce przy takim jak opisany wyżej elektoracie. Tym bardziej że ma on swoje wpływowe „elity". Zaprezentowano je na konferencji Donalda Tuska w sprawie powołania komisji ds. rosyjskich wpływów. Poprzednią rozwiązano, gdyż miała jedną podstawową wadę – powstała za rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Tak oto ludzie zaangażowani we współpracę z Rosją w myśl zapewnienia premiera Tuska z 2008 r. – „chcemy dialogu z Rosją, taką, jaką ona jest" – będą badać zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa ze strony Moskwy i Mińska. Przewodniczący komisji gen. Jarosław Stróżyk, szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, wymienił trzy obszary badawcze: gospodarkę, bezpieczeństwo państwa i media. Czy komisja wyjaśni fałszywkę opublikowaną przez PAP o polskiej mobilizacji, czy skoncentruje się raczej na szukaniu rosyjskich wpływów w wolnych, niezależnych od rządu mediach?

Zgodnie z odwróconą logiką Tuska cudownego przemienienia doznał także szef MSWiA Tomasz Siemoniak. Wśród zagrożeń na granicy polsko-białoruskiej dostrzegł działania „na zlecenie służb rosyjskich i białoruskich".

A ja bym szukał zagrożeń na własnym podwórku. Czym jest bowiem odwołanie szefów Centralnego Wojskowego Centrum Rekrutacyjnego? Czy naprawdę nie jest to zagrożenie bezpieczeństwa państwa, jak twierdzi rzecznik CWCR mjr Renata Mycio? Jeżeli zadania koordynacyjno-nadzorcze i sprawozdawcze centrali CWCR i jej ośrodków zamiejscowych przejmuje Wojskowe Centrum Rekrutacji, to jaki był cel powoływania CWCR i kto teraz rzeczywiście będzie realizował i koordynował plany mobilizacyjne?

Inne zagrożenie znam z autopsji. Droga krajowa nr 63 Kolno–Pisz ma tylko jedną stronę przejezdną, raz lewą, raz prawą. Aż dziewięć razy trzeba się zatrzymywać przed światłami i czekać. Nie da się zjechać na drogi boczne, bo ich tam nie ma. Dookoła Puszcza Piska, a na wschód od drogi kanały i mokradła. Głębokie wykopy może świadczą o ambicjach samorządowców i drogowców, którzy postanowili wreszcie naprawić tę ważną drogę do serca Mazur, ale są one naturalną, trudną do pokonania przeszkodą nawet dla czołgów. Bo DK63 to nie tylko droga dla miejscowych i turystów, o czym świadczą ustawione na poboczach wojskowe słupki drogowe z informacjami o mostach i przepustach (głównie dla czołgów i wozów bojowych). To główna droga dla wojska z południa Polski do Orzysza przez Pisz. Inną sprawą jest, że Pisz otrzyma obwodnicę dopiero w 2030 r. Teraz DK63 jest jedyną najkrótszą drogą, po której może się przemieszczać Wojsko Polskie i nasi sojusznicy: Amerykanie, Anglicy, Rumuni, Chorwaci do swojej bazy, czyli Batalionowej Grupy Bojowej NATO w Orzyszu.

Znając zagrożenie bramy suwalskiej ze strony Białorusi i Rosji, znając tempo prac naszych drogowców, uważam remont tak ważnej dla naszego bezpieczeństwa drogi właśnie teraz za błąd. I to może być zadanie dla nowej komisji ds. rosyjskich wpływów. Jeżeli niczego nie wykryją, to może chociaż dopilnują, aby nowa droga powstała jak najszybciej.

www.wojciechreszczynski.pl

Autopromocja

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

OGLĄDAJ NAS
W TELEWIZJI NAZIEMNEJ

CZĘSTOCHOWA	POZYCJA 26	MUX L-3
GDAŃSK	POZYCJA 62	MUX L-7
JELENIA GÓRA	POZYCJA 26	MUX L-1
ŚWIDNICA	POZYCJA 26	MUX L-4
TOMASZÓW MAZOWIECKI	POZYCJA 26	MUX L-3
WARSZAWA	POZYCJA 62	MUX L-7
WROCŁAW	POZYCJA 62	MUX L-7
	POZYCJA 26	MUX L-4

Odśwież listę kanałów w twoim telewizorze

OGLĄDAJ NAS

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 17872d6a2

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Luka Nowackiej

Aleksander Nalaskowski

Minister Barbra Nowacka, której powierzono resort edukacji, jest osobą przypadkową na tym stanowisku i takie też podejmuje decyzje. O szkole wie niewiele, o dydaktycznych zasadach nauczania jeszcze mniej, a o pedagogice kompletnie nic. Taka opinia nasuwa się po przeanalizowaniu jej kolejnych decyzji.

Jedną z nich jest anulowanie (a w zasadzie bezmyślne amputowanie) obowiązku odrabiania zadań domowych. Nauczyciele mogą zadawać prace do domu, ale uczeń nie ma obowiązku zadań odrabiać i nie grozi mu za to żadna sankcja. Tak daleko posuniętego permisywizmu szkoła jeszcze nie zanotowała. Minęło już trochę czasu i postanowiłem sprawdzić, jak to wygląda w praktyce. Porozmawiałem ze znajomymi, których dzieci dotyczy ten problem, czyli, jak to mówią, zasięgnąłem języka – bo sam mam dzieci już od kilku dekad w wieku pozaszkolnym.

Zapytałem zatem, co ich dziecko robi z czasem niepoświęconym na naukę w domu. Jak go wykorzystuje. Bo w końcu jest to może nawet parę naście godzin w ciągu tygodnia.

Odpowiedzi dały się uporządkować w trzy grupy.

Pierwsza z nich to danie dziecku wolnej ręki. Niech robi, co chce. Jeśli szkoła nie wymaga zadań, to znaczy, że nie są one konieczne, a więc dziecko może dowolnie skonsumować ten czas. Przy czym miejmy świadomość, że owa dowolność to gapienie się w smartfona albo granie w gry komputerowe. Znacznie rzadziej książka i prawie wcale wartościowe programy w TV. Rzecz jasna to czas stracony bezpowrotnie, czas próżny, który wyparł autentyczną pracę nad sobą i przyswajanie pożytecznych treści. To chyba największa grupa wśród moich indagowanych.

Druga grupa to inwestowanie w dziecko. Więcej czasu oznacza tutaj więcej dodatkowych zajęć. Mieści się w tym aktywność hobbystyczna i sportowa. To parę ładnych godzin tygodniowo przeznaczonych na przygody mózgu i ruch. Naszym najmłodszym dotkliwie brakuje jednego i drugiego. Jest w tym jeszcze jedna korzyść – takie zajęcia wymagają zaangażowania rodzica. Dziecko trzeba gdzieś zawieźć, odebrać, zaopatrzyć w rzeczy niezbędne w danej aktywności, czasami przypilnować. Oferta kulturalna i sportowa jest duża, niestety głównie w większych aglomeracjach. Dzieci z małych miast i wsi są tutaj wyraźnie pokrzywdzone. Dla nich jest mało propozycji, a tych sensownych jeszcze mniej. Poza tym żadne zajęcia sportowe czy artystyczne nie wypełnią luki dydaktycznej wytworzonej przez Nowacką. Pływanie czy gra w piłkę nie zastąpią czytania lektur ani rozwiązywania zadań z treścią. Mogą z pożytkiem wypełnić czas, ale nie pomogą w nauce.

Trzecia grupa to rodzice zaangażowani. Szkoła ma mniej pracy, ale rodzice mają jej więcej. Oni przejęli od szkoły dopilnowanie, aby dziecko odrabiało lekcje, nawet jeśli nie ma takiego obowiązku, aby czytało lektury i uczyło się systematycznie. To reakcja dość rzadka, ale jednak występująca. Przypomina to trochę tajne komplety i jest pewną namiastką tzw. edukacji domowej, która jak dotąd stanowi margines w naszym systemie oświaty. Prędzej czy później pogłębi się różnica między dziećmi dopilnowanymi i douczonymi przez rodziców a pozostałymi. Istniała ona zawsze, ale z czasem zacznie być drastycznie widoczna.

Decyzje Nowackiej uderzają w samo jądro lewicowych ideologii, w równość startu, wyrównywanie szans i pogłębiają różnicę pomiędzy miastem a wsią

Decyzje Nowackiej uderzają w samo jądro lewicowych ideologii, w równość startu, w wyrównywanie szans i pogłębiają różnicę pomiędzy miastem a wsią czy między szkołami publicznymi i prywatnymi. Taka jest bowiem cena lewackiej bezmyślności.

Tym wszystkim zabiegom towarzyszy atak na szkolne lekcje religii. Pomysły na łączenie grup wiekowych, zmniejszanie liczby zajęć zmierzają do jednego – marginalizacji lekcji religii i marginalizacji (przez okrojenie godzin) funkcji katechetów w szkołach.

Jak Sienkiewicz został oddelegowany na odcinek kultury tylko po to, aby bezprzykładnie zniszczyć publiczną telewizję, tak Nowacką skierowano do oświaty, aby podjęła zadanie jej zasadniczej destrukcji i stopniowej ateizacji. W tym eksperymentowaniu ze szkołą trudno usłyszeć głos akademickich pedagogów. Poza nielicznymi (np. prof. B. Śliwerskim) nie słychać głosów sprzeciwu, buntu, polemiki. Podobnie milczy Związek Nauczycielstwa Polskiego. A przecież idzie tu o dobro wspólne, o dobro naszych dzieci.

Obawiam się, że te eksperymenty oświatowe odcisną mocne piętno na młodszych pokoleniach. Obym był złym prorokiem.

eprasa.pl 17872d6a24

Michał Korsun prezentuje:
Minister Kosiniak-Kamysz na straży Polski

Referencje: KSikorski/Shutterstock, Karolis Kavolelis/Shutterstock

Wycinki z przeszłości

W czerwcu 1932 r. „Tygodnik Ilustrowany" zachęcał do zwiedzania nieznanych zakątków Polski. „W miarę, jak coraz lepiej i szczegółowiej poznajemy nasz kraj – odkrywamy coraz to inne powaby polskiego krajobrazu. Ileż poezji i niecodziennego czaru kryją w sobie mało znane i nie dość jeszcze cenione zakątki w województwach północno-wschodnich" – głosił podpis.

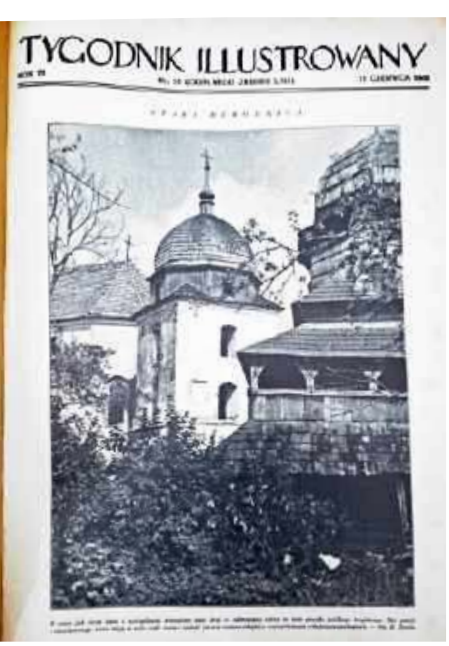
TYGODNIK ILLUSTROWANY

Mapa Polski jest dziś inna, duża część tych zakątków jest już poza granicami. Ale są nowe, a i tamte dawne zakątki można odwiedzić (choć obecnie nie wszystkie).

Tak czy inaczej wezwanie pozostaje aktualne – warto poznawać piękno Polski z jej często nieoczywistymi, zaskakującymi krajobrazami.

(mk)

Z WOLEJA

Nic się nie stało? To tylko sport?

Ryszard Czarnecki

Najgorszy i najgłupszy okrzyk skandowany przez kibiców piłkarskich to: „Polacy! Nic się nie stało!". To hasło słyszymy po strzelonym nam golu lub porażce. Bardzo mnie to irytuje. Jak to – nic się nie stało? Ależ stało się! Tego typu okrzyki mogą tylko przyzwyczaić naszych futbolistów do sytuacji, że my, kibice, rozgrzeszamy ich za niepowodzenia. Tymczasem trzeba raczej zimnego prysznica, wstrząsu, aby pobudzić sportową złość i zwiększyć wolę zwyciężania mimo kontuzji, bólu, zmęczenia i innych rzeczy, które słusznie kojarzą nam się ze sportem wyczynowym.

Napisałem już, co mnie irytuje u kibiców. A teraz napiszę, co mnie irytuje u sportowców. Nie znoszę, jak po przegranym meczu, pojedynku, walce, obojętnie w jakiej dyscyplinie sportowej, wychodzi gość i na pytania dziennikarzy odpowiada z olimpijskim spokojem, widać, że niespecjalnie przejęty tym, że przegrał – on, ona, jego drużyna: „To tylko sport". Tak, to też mnie wkurza niemożebnie. Oczekuję jako kibic, wymagam jako podatnik, który łoży na sport ze swoich zarobków, aby zawodnik, który przegrał, był wściekły, zły, targały nim emocje, które mogą się przekuć w jeszcze większą chęć zwyciężania czy rewanżu. Takie machnięcie ręką (nawet jeśli go fizycznie nie ma) i uznanie, że raz się wygrywa, a raz przegrywa i „o co w ogóle, drodzy kibice, chodzi" – jest dla mnie przykładem odpuszczania, a nawet braku odpowiedniej woli zwyciężania, która może wystarczyć do małych wiktorii, ale dużych już nie.

Pamiętam, jak jeden z najwybitniejszych piłkarzy reprezentacji Francji w latach 50. ub.w., nasz rodak Rajmund Kopaszewski (grał jako Raymond Kopa), narzekał, że nie rozumie tych młodych piłkarzy, którzy po obiedzie, a przed wieczornym meczem ucinają sobie drzemkę. Tymczasem on tak przeżywał kolejne spotkanie, że nie było mowy o spaniu. Kopa pewnie nie miał do końca racji, bo sen to regeneracja organizmu, bardzo ważna dla zawodowców, ale w futbolu doszedł do dużo większych rzeczy niż ci, którzy ucinali sobie drzemkę, niespecjalnie przejmując się tym, że za kilka godzin jest mecz. Nasz krajan Kopa jest mi bliższy w podejściu do sportu niż ci sportowcy, którzy mają do swojego zawodu (powołania, pasji, przeznaczenia) mocno letni stosunek.

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 17872d6a24

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Zerwać owoc?

Na koniec ponad dwugodzinnej rozmowy o zagrożeniach, jakie ludzkości może przynieść sztuczna superinteligencja, jeden gość pyta drugiego: „Jak myślisz, jaki jest sens tego wszystkiego? Mówiliśmy o istotach ludzkich oraz nieludzkich, które nie umierają, ale dlaczego tu jesteśmy?”.

W reakcji na to fundamentalne pytanie ma miejsce taka wymiana zdań:

– To symulacja. Jesteśmy poddani testowi. Test polega na tym, czy będziemy na tyle głupi, by stworzyć superinteligencję i ją uwolnić.

– Zatem obiektywną funkcją tej sytuacji jest to, byśmy nie byli aż tak głupi, że siebie zabijemy.

– Jesteśmy w niebezpiecznym położeniu. Mamy udowodnić, że jesteśmy odpowiedzialnymi podmiotami, za to dostaniemy się do następnej gry.

– Następny poziom gry. Co jest tym następnym poziomem?

– Nie wiem. Jeszcze tej symulacji nie zhakowałem.

Rozmówcy to niebanalne postacie. Pierwsza to Lex Fridman, znany podcaster, którego kanał na YouTube ma prawie 4 mln subskrybentów. Gości najwybitniejsze umysły naszej epoki. Druga osoba to Roman Yampolskiy, profesor nauk komputerowych na Uniwersytecie w Louisville. W Polsce ukazała się książka pod jego redakcją „Sztuczna inteligencja. Bezpieczeństwo i zabezpieczenia” (2020). Obaj panowie eksplorują wielkie problemy w trybie, nazwijmy to, zdecydowanie pozareligijnym.

Gdy piszemy ten tekst (4 czerwca 2024 r.), dobę po wyemitowaniu rozmowy na YT, miała ona już prawie 300 tys. wyświetleń.

A JEDNAK

Gdyby Bóg chrześcijan chciał spełnić swoje zapowiedzi z Nowego Testamentu, trudno by było znaleźć lepszy sposób „wykonania” apokalipsy niż budowanie przez nieroztropnych ludzi sztucznej inteligencji, która nas przewyższy. I wymknie się spod kontroli, i wystąpi w roli biblijnej Bestii.

Nasze słabości i pokusy – to je musimy opanować. Inaczej czeka nas ścieżka głupoty

Podobno jeszcze dziś w sprawie naszej kontroli AI mamy być spokojni. Ale badacze i firmy dysponujące miliardami dolarów już zbudowali systemy sztucznej inteligencji, tzw. wielkie modele językowe, pod wieloma względami przewyższające możliwości ludzkiego umysłu. W dodatku w systemach tych stwierdzono zjawisko emergencji, tzn. wyłaniania się w nich takich umiejętności, które: po pierwsze, nie były przez twórców tych systemów zaplanowane, po drugie, ich wyłonienia się z zasady nie można z góry przewidzieć.

Ale co tam. Przecież chłopców bawiących się zapałkami przede wszystkim ekscytuje przejście na wyższy poziom gry – dzięki budowaniu superinteligencji. Akurat prof. Roman Yampolskiy uważa, że ryzyko dla ludzkości, jakie przynosi AI przekracza 99 proc. i dlatego jest on zdecydowanym zwolennikiem zatrzymania tych badań. Niestety, jego stanowisko to głos wołającego na puszczy.

ODWIECZNA POKUSA

Oszałamiające jest to, że intelektualiści dalecy od wiary chrześcijańskiej po długiej, miejscami wyrafinowanej rozmowie, rozważając problem „sensu tego wszystkiego”, wchodzą na ścieżkę dociekań wyraźnie naznaczoną teologią.

Wyższy poziom gry – to zbawienie. Można je osiągnąć pod warunkiem, że oprzemy się głupim instynktom, powstrzymamy się od zrobienia czegoś, co już zostało zapisane w Księdze Rodzaju. Człowiek miał do dyspozycji raj i dużą swobodę działania. Miał oprzeć się jednej tylko rzeczy.

Biblia mówi: „Pan Bóg dał człowiekowi taki rozkaz – »Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania, ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz«”. Te słowa bywają rozumiane jako krytyka ludzkiej pychy, próba wyznaczenia granic dla ludzkiego dążenia do wiedzy i mocy.

A gdyby resztę tego, co powiedział Yampolskiy, odczytać tak: jeśli coś tu jest do zhakowania to nie symulacja, ale... my sami. Nasze słabości i pokusy – to je musimy opanować. Inaczej czeka nas ścieżka głupoty. Ścieżka folgowania zwodniczej pokusie stworzenia bytu zupełnie nowego rodzaju, którym ma być świadoma siebie sztuczna inteligencja.

Może to złudzenie, wygląda bowiem, jakby ludzka cywilizacja została „zaprogramowana” tak, iż po tysiącleciach rozwoju znów stajemy przed dylematem Adama i Ewy: sięgnąć po zakazany owoc czy nie?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 17872d6a24

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI

SUBSKRYPCJA

wPolityce.pl + SIECI

KUP 50% TANIEJ

- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl**,** również te w sekcji Premium+ – to ok. 1 300 tekstów rocznie!
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 – to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie!
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 17872d6a24

Już jest nowe e-wydanie

wSIECI HISTORII

- **Poczet polskich władców**
- **Zbrojne legendy**
- **Kobiece strony historii**

Zamów prenumeratę cyfrową SIECI już **od 5,90 zł**, a nowe e-wydanie wSIECI HISTORII dostaniesz **w prezencie!**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Zamów już dziś na **siec.wpolityce.pl/oferta**

eprasa.pl 17872d6a24